

DLP INP EIC-9-79016782

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/381

1979



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

AI. ZINOWIEW : **OPOZYCJA W SPOŁECZEŃSTWIE
KOMUNISTYCZNYM**

K. A. JELEŃSKI : **O « ZIEMI ULRO » PO DWÓCH
LATACH**

J. KWIATKOWSKA : **PRÓBA BILANSU
NIEZALEŻNYCH INICJATYW OBYWATELSKICH**

SPIS RZECZY

Aleksander Zinowiew:	<i>Opozycja w społeczeństwie komunistycznym</i>	3
Konstanty A. Jeleński:	<i>O „Ziemi Ulro” po dwóch latach</i> ..	15
Zdzisław Bau:	<i>Jeszcze o Argentynie</i>	32
Isaac Bashevis Singer:	<i>Gołębie</i>	42
Tadeusz Polanowski:	<i>Dane bio-bibliograficzne o I. Bashevis Singerze</i>	51
Kuba Goldberg:	<i>Tropy pamięci</i>	52

ARCHIWUM POLITYCZNE

Maciej Poleski:	<i>Polityka niepodległościowa</i>	59
Leopolita:	<i>Alternatywa</i>	67

K R A J

Jadwiga Kwiatkowska:	<i>Próba bilansu niezależnych inicjatyw obywatelskich</i>	73
Anatol Marek Lipiec:	<i>Totalitaryzm na co dzień</i>	85
J. Ś.:	<i>Przegląd prasy niezależnej</i>	89
Anna:	<i>Życie nauczyciela w PRL</i>	93

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	103
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	111
—	<i>Polska i Ukraina</i>	113

SPRAWY I TROSKI

Andrzej Koraszewski:	<i>Polscy protestanci</i>	115
Roman Breszka:	<i>Nowi</i>	117

WOŁANIE NA PUSZCZY

Kisiel:	<i>Cienie w jaskini</i>	122
Kisiel:	<i>Masto</i>	126

KSIĄŻKI

M. Broński:	<i>Własny głos</i>	129
Rudolf Gatkowski:	<i>Portret inteligenta</i>	132
Benedykt Heydenkorn:	<i>Powieść kanadyjskiej Kaszubki</i>	141
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	144



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	148
---	----------------------------------	-----



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	154
M. Borwicz, A. Mieczysław-ska, E. Stein, A. Urbański, Bez podpisu, M. Morawski:	<i>Listy do Redakcji</i>	155

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Czerwiec - Juin

1979

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Dr Aleksander Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz 21-szy	F. 86,00
Dr Jan S. Dobrucki, Mississauga, Ont. (Kanada), po raz 14-ty	F. 190,00
J. Dybóg, Jerozolimá	F. 20,00
Paweł Kalinowski, Paryż, po raz szósty	F. 100,00
Rita Kłoszewska, Beverly Hills, Cal. (USA), po raz 2-gi	F. 43,00
Pamięci Stefana Komornickiego w czwartą rocznicę śmierci — Żona (Londyn)	F. 90,00
Tadeusz Lisicki, Charleston, So. Ca. (USA), po raz 2-gi	F. 68,80
R. A. Quas de Penno, Wilmington, Da. (USA) — zamiast kwia- tów na grób śp. Feliksa Żmurki	F. 34,50
J. S. Stankiewicz, Trenton, N.J. (USA), po raz 14-ty	F. 34,50
Czesław Zaim, Cleveland, Ohio (USA), po raz 12-ty	F. 56,00
Dla uczczenia pamięci najukochańszego Brata Pawła Zaremby — Jerzy i Janina Zarembowie, Hamilton, Ont. (Kanada)	F. 100,00
Aleksander Zawadzki, Westfield, Mass. (USA), po raz 8-my	F. 21,00
Bezimiennie z Bamako (Mali), po raz 3-ci	F. 50,00
Bezimiennie z Canberry (Australia), po raz 3-ci	F. 478,30

Bezimiennie z Round Lake, Ill. (USA) na pomoc dla opozycji w Polsce	F. 250,00
D.M.P. z Winnipegu, Man. (Kanada)	F. 430,00
Federacja Uchodźstwa Polskiego w Szwecji kwotę uzyskaną ze sprzedaży <i>Dziennika i Tygodnia Polskiego</i> w czasie wystę- pów w Sztokholmie i Västeras Teatru ZASP ze sztuką „Pani Gabriela” — na opozycję demokratyczną w Kraju	F. 180,00
Tadeusz Brzostek, Paryż — na pomoc dla Kazimierza Świtonia	F. 100,00
Od Czytelników <i>Pomostu</i> w Chicago, Ill. (USA) — na S.K.S.	F. 215,00
Rada Weterańska, Cleveland, Ohio (USA)	F. 107,50

DZIĘKUJEMY!

WPLĄTY NA KSS „KOR”

Bezimiennie z Cambridge, Mass. (USA)	F. 410,00
K. Grabowski, Düsseldorf (RFN)	F. 164,04
Stefan Jachna, Parippany, N.J. (USA)	F. 430,00
Paweł Kalinowski, Paryż	F. 100,00
Od Czytelników <i>Pomostu</i> w Chicago, Ill. (USA)	F. 215,00

WPLĄTY NA P.P.N.

Tadeusz Brzostek, Paryż — w nadziei, że Naród Polski zgotuje naszemu Papieżowi większą manifestację niż Meksyk	F. 200,00
---	-----------

Na Apel „Konfederacji 78” w USA wpłacili z Bostonu i okolic
pp. F. Dziadul, J. Żołądkowski, W. Ostrowski, oraz A. Gołda
po \$ 10,00; Mirka i Czernik, S.H.S., J. i A. Banasiak,,
A. Żołądkowski, Jan M. po \$ 5,00; K. i E. Grabowski —
\$ 3,00; S. Tarnowska i F. Jakowicka po \$ 1,00. — Z No-
wego Jorku, New Jersey i in. pp. ks. W. Kłós — \$ 70,00,
B. Pilecki (zebrane na Konwencji KPA) — \$ 55,00,
T. Dziekanowski — \$ 50,00, R. Winowski i T. Sunday po
\$ 25,00, B. Pilecki, Bezimiennie z Newark i W. Adamcewicz
po \$ 10,00 oraz Bezimiennie z N.Y., W. Horezga, R. K.
z New Britain i J. Wójcik z New Britain po \$ 5,00
razem: \$ 350,00 z czego na:

KSS „KOR” — \$ 175,00	F. 752,50
ROPCiO — \$ 175,00	F. 752,50

Opozycja w społeczeństwie komunistycznym

Stosując termin „społeczeństwo komunistyczne” mam na
myśli takie społeczeństwo, jakie ukształtowało się w Związku
Sowieckim. Wprowadzenie ustroju komunistycznego w innych
krajach spowoduje oczywiście pojawienie się jakichś wariantów
i modyfikacji w tym modelu. Nie mniej — typ formacji społecz-
nej jest i będzie taki sam. Oto pewne konieczne i niezbywalne
cechy społeczeństwa tego typu.

Ulega zniesieniu własność prywatna środków produkcji, ich
nacionalizacja ma charakter ogólnopaństwowy. Totalny i ujed-
nolicony system władzy obejmuje i przenika całe społeczeństwo
od góry do dołu i we wszystkich jego rozgałęzieniach. Ów sys-
tem władzy jest samowystarczalny i ma zdolność do autorepro-
dukcji drogą kooptacji odpowiednich osobników, dokonywanej
odgórnie przez odpowiednie organy. Aczkolwiek władza ta stara
się o pozory wybieralności, w istocie nie jest wybieralna. W całym
kraju wprowadzona zostaje ujednolicona gospodarka, którą ce-
chuje ścisła zależność wzajemna wszystkich jej członków, system
wspólnego planowania, brak konkurencji i wolnego rynku, ogóln-
nopaństwowa polityka cen itd. Społeczeństwo zostaje podzielone
na standardowe komórki socjalno-wytwórcze, wykonujące narzu-
cone z góry i ściśle kontrolowane zadania. Ulegają standaryzacji
warunki życia i działalności zarówno w jednostkach produkcyj-
nych jak i w innych sferach ludzkiej aktywności. Poszczególni
członkowie społeczeństwa w ten czy inny sposób zostają przypie-
sani na stałe do zakładów pracy i miejsca zamieszkania. Wszys-
tkie istotne aspekty życia społecznego poddane są kontroli kolek-
tywu. Ustala się skomplikowana hierarchia zespołów socjalno-
produkcyjnych co prowadzi do powstania wielostopniowej dra-

biny piastowanych urzędów i socjalnych pozycji poszczególnych jednostek ludzkich. Społeczeństwo rozdziela się na warstwy uprzywilejowane i nieuprzywilejowane. Różnice pomiędzy stopą życiową poszczególnych warstw stają się ogromne. Specjalne organy kontrolują wszystkie aspekty życia obywateli. Olbrzymią rolę zaczyna pełnić monopolistyczna ideologia państwowa. Ujednocila się i standaryzuje szkolnictwo i działalność wychowawcza. Po-dział dóbr dokonywany jest w ścisłej zależności od pozycji socjalnej uprawnionych jednostek.

Nie wyczerpałem tu bynajmniej spisu ogólnych cech każdego społeczeństwa typu komunistycznego, ale sądzę, że przytoczone wyżej stwierdzenia dają pojęcie o przedmiocie rozważań. Celowo pominąłem takie zjawiska życia w ustroju komunistycznym jak represje, brak wolności obywatelskich, niska stopa życiowa większości mieszkańców kraju, szerzenie się niekompetencji, niegospodarność, bezmyślne trwonienie środków na pokazowe imprezy, karierowiczostwo, łapownictwo, alkoholizm itd., ponieważ zjawiska te są skutkami komunistycznego ustroju, nie zaś jego przyczynami sprawczymi. Grupy kierownicze tego społeczeństwa nie dążą świadomie do tego by np. produkować towary niskiej jakości, przeszkadzać w rozwoju produkcji, zwiększać szeregi łapówkarzy, fuszerów i karierowiczów. Wszystko to jednak zachodzi wbrew ich woli, jako nieunikniony skutek życia społecznego w danym ustroju.

Komunistyczny układ stosunków społecznych jest w zasadzie układem stabilnym (a nawet spetryfikowanym) z szeregu przyczyn; wymienię tu kilka dla przykładu. Monumentalnie rozrosły system zarządzania i kontroli przeniknął swymi odnogami wszystkie postacie życia społecznego, tak że obywatel jest dosłownie opłątany tą siecią władzy. Dość znaczna ilość ludzi składa się na uprzywilejowane warstwy społeczeństwa, bezpośrednio zainteresowane w jego zachowaniu i konsolidacji. Jeśli pominąć rozmaite wypadki anomalii (choć nie są one wcale przypadkowe ani odosobnione), to wszyscy zdolni do pracy, a więc aktywni członkowie społeczeństwa tak czy inaczej przykuci są do jakiejś kolektywnej organizacji podstawowej, za jej pośrednictwem oddają swoje siły społeczeństwu i ona też jest dla nich szafarką wszelkich dóbr. Dlatego to każdy osobnik ma swój interes w tym, aby żyć w zgodzie w normami współżycia i wymogami zespołu. Zbiorowość zapewnia zarazem swoim członkom jakieś minimum obrony i oparcia w trudnych sytuacjach. Warunki pracy zazwyczaj są względnie lekkie. Chociaż stopa życiowa jest stosunkowo niewysoka: zaspakajane są — gorzej czy lepiej — minimalne potrzeby, jak dach nad głową, wikt, odzież, rozrywki, pomoc

lekarska i możliwość wypoczynku. Między poszczególnymi osobnikami a zespołami ustalają się takie zależności, że wszyscy w końcu są zainteresowani w stabilności codziennej rutyny. Okazywanie posłuszeństwa wyznaczanym z góry urzędnikom jest mniej poniżające, niż słuchanie rozkazów prywatnego przedsiębiorcy. Tym bardziej, że na niższych szczeblach ci urzędnicy wywodzą się po prostu z niższych warstw ludności i praktycznie dalej żyją w tym samym środowisku. Zalety tego ustroju wydają się oczywiste w sytuacjach krytycznych (np. podczas klęsk żywiołowych).

Ludzie mają spore możliwości tzw. urządzania się i polepszania swoich warunków życia przez wykorzystywanie stanowiska służbowego i stosunków (małwersacje, przysługi wzajemne, łapówki, znajomości). Krótko mówiąc: jeśli rozpatrzemy bez uprzedzeń realne życie takiego społeczeństwa, dostrzeżemy tyśiączne nici, wiążące ze sobą miliony ludzi i czyniące z nich ten właśnie jednolity monolit, jaki chce widzieć oficjalna propaganda. Dodajmy narzucony pedantycznie system wychowania i obróbki ideologicznej obywateli, dzięki któremu wytwarza się jednolity stereotyp zachowań, obowiązujący wszystkich (z rzadkimi wyjątkami) członków społeczeństwa, od przywódców do sprzączek. Chociaż społeczeństwo komunistyczne jest społeczeństwem ludzi niezadowolonych ze swojego życia, jednakże miazdząca większość tych ludzi nie jest zdolna do życia w innych warunkach i uważa za naturalne te warunki, w jakich teraz bytuje. Naiwny jest pogląd, zgodnie z którym ustrój ten stoi tylko przemocą i fałszem. Owszem, przemocą i kłamstwem przesiąknięte są wszystkie człony tego społeczeństwa. Ale gwałt i fałsz nie tyle narzucone są ludziom z zewnątrz czy z góry, ile wyrastają z ich codziennej działalności w charakterze naturalnych jej płodów — jako środki samoobrony i przystosowania do wymogów, jako metody organizacji i zarządzania.

Nie należy jednak myśleć, że panuje tu spokój, zgoda i harmonia w stosunkach wzajemnych poszczególnych osób, grup i zespołów. Zawsze i wszędzie toczy się tu zażarta walka. Społeczeństwo to dosłownie pieni się ze złości. Żrą się między sobą i przywódcy, i profesorzy, i drobni urzędnicy, i generałowie, i pisarze. Ta walka między nimi jest nieuniknionym składnikiem normalnego życia tego społeczeństwa. Prowadzona jest w takich formach i takimi środkami, które społeczeństwo aprobeuje. Walka ta bynajmniej społeczeństwa nie osłabia i w bardzo rzadkich jedynie wypadkach staje się źródłem jakiejś opozycji wobec samego ustroju. Zatem — bynajmniej nie każdy objaw niezadowolnienia i wcale nie każdy rodzaj konfliktu w łonie społeczeństwa typu komunistycznego uważać można za przejaw opozycji w stosunku

do samego ustroju społecznego i za akt walki z nim, albo z jakimś istotnym jego składnikiem.

Społeczeństwo komunistyczne, podobnie jak każde inne, daje obywatelom asumpt do zupełnie naturalnego niezadowolenia z istniejących warunków życia, co powoduje chęć ich zmiany. Ale każdemu typowi społeczeństwa odpowiada inny typ niezadowolenia i inny typ marzeń o przemianach. W Związku Sowieckim możecie np. znaleźć sporo ludzi niezadowolonych z tego, że zlikwidowano tu prywatną własność środków produkcji i prywatną inicjatywę w gospodarce. Możecie znaleźć także takich, którzy pragnęliby powrotu monarchii wraz z kapitalistami i ziemianami. Czy można jednak zjawiska takie brać na serio i rozpatrywać jako objawy niezadowolenia i chęci zmian, charakterystyczne właśnie dla społeczeństwa komunistycznego? Rzecz jasna, że nie. Przeważająca część ludności ZSSR (w tym — jej najbardziej kwalifikowany odłam) jest zdecydowanie przeciwna reprivatyzacji przedsiębiorstw czy instytucji, w których pracuje. Inicjatywa prywatna przybiera tu formę działalności przestępczej i ludność odnosi się z uznaniem do jej ścigania. Zaś perspektywa restauracji caratu budzi tu po prostu śmiech.

Z drugiej strony — wszyscy w ZSSR są jednak z czegoś niezadowoleni. Wszyscy tu wszystko krytykują. Materiałami o krytycznym charakterze zapełnione są wszystkie gazety i periodyki. Jeśli chodzi o krytyczne spojrzenie na sowiecki sposób bycia, to oficjalna literatura wcale tu nie ustępuje dysydenckiej, a niekiedy nawet ją prześciga. Trudno spotkać obywatela sowieckiego który, w tej lub innej formie, nie narzekałby na sowieckie porządki i organy władzy. Jak więc patrzeć na ten fakt? Istnieją ludzie, którzy twierdzą na tej podstawie, że dni sowieckiej władzy są policzone i że lud zaraz obaliłby sowiecki ustrój, gdyby dać mu rzeczywistą możliwość wyboru typu władzy i sposobu bycia. Można było zrozumieć nadzieje pierwszej rosyjskiej emigracji, która siedziała na walizkach, spodziewając się że system sowiecki lada chwila runie. Ale gdy dziś słyszy się podobne opinie, to można w nich widzieć tylko objaw chorobliwej niezdolności do oceny faktycznego stanu rzeczy, albo też chęć basowania za wszelką cenę pewnym zachodnim nastrojom. Można to zrozumieć, nie sposób tego usprawiedliwić. Już najwyższy czas, aby spojrzeć prawdzie w oczy i przyjąć, że komunistyczny ustrój ma korzenie głębsze i trwałość taką — że nie można jej złożyć na karb samej łatwowierności obywateli i gwałtu zadawanego im przez jakichś złoczyńców. Jest to ustrój uważany przez wielomilionowe rzesze ludności za zupełnie naturalny i zgodny z prawem, ustrój z pokolenia na pokolenie odtwarzający swoją substancję i kształtujący (przez dobór i wychowanie) odpowiadający jego potrzebom typ

człowieka. Wcale nie twierdzę, że ustrój ten jest dobry, tym mniej — że jest lepszy od zachodniego, że mi się podoba itd. Stwierdzam tylko fakty.

Powtarzam, niezadowolenie z warunków życia jest widoczne wśród najrozmaitszych warstw ludności. Jest to niezadowolenie dość znaczne. Ale tu trzeba sobie odpowiedzieć na szereg pytań. Jaki jest stosunek wzajemny między siłą tego niezadowolenia a ogólnym stosunkiem ludzi do warunków w jakich żyją? Czy siła ta jest dość wielka, by skłonić ludzi do odrzucenia owych warunków i form życia? Czy i jakie istnieją możliwości wyrażenia (tj. zauważalnego dla otoczenia i dla władz) przejawiania tego niezadowolenia, czy rysuje się możliwość generalizacji i zespolenia tych objawów na możliwie szerokiej podstawie w przewidywaniu długiej walki niezadowolonych o polepszenie warunków ich życia? Czy tłumienie przez władze przejawów otwartego niezadowolenia jest jedyną i główną przyczyną nieobecności masowych ruchów protestu? Po jakich to kościach rozchodzi się wreszcie owo jawne niezadowolenie?

Aby odpowiedzieć na te i inne pytania, dotyczące problemów tu poruszanych, trzeba by wielu poważnych i zasadniczych badań socjologicznych. Dlatego ograniczę się jedynie do kilku uwag. Z czego mogą być niezadowoleni ludzie w dowolnym ustroju? Z niskiej stopy życiowej, ze złych warunków pracy i z ograniczonych możliwości osobistego sukcesu. W ustroju komunistycznym zaspokojenie ludzkich potrzeb zależy z samej zasady od ogólnej sytuacji w kraju i od ustalonego z góry systemu podziału dochodu narodowego, o czym ludzie wiedzą od kołyski. Nie ma tu osoby, którą można by uznać za rzeczywistego sprawcę wszystkich bied, ludzie starają się więc o polepszenie swojej sytuacji osobistej wyłącznie w ramach stworzonych przez panujący system, przy tym robią to indywidualnie (albo w małych grupach). Natężenie niezadowolenia rzadko dochodzi tu do poziomu krytycznego, bo ludzie przyzwyczaili się od pokoleń do życia na bardzo niskim poziomie. Możliwości tłumienia wszelkich prób wyrażania otwartego niezadowolenia są tu ogromne (ma je administracja przedsiębiorstwa, miejscowe organy władzy, milicja, organy bezpieczeństwa, wojsko). Płace są niskie, ludzie nie mogą po prostu długo utrzymać się przy życiu bez jakiejś pracy. Państwo decyduje o dostępie do wszystkich środków utrzymania. Ale nie dość na tym. Struktura społeczna ludności jest taka, że wyklucza wszelką możliwość tworzenia się większych i wystarczająco trwałych grup spontanicznych, nie autoryzowanych przez władze. Cały porządek codziennego życia i zajęć popycha tu wszystkich bez wyjątku ludzi do zrzeszania się czysto negatywnego — zrzeszania mającego na celu tłumienie niezadowolenia współbraci.

Ich własne niezadowolenie przejawia się konkretnie tylko w sposób rozproszony i sprowadza się w najlepszym wypadku jedynie do biernego oporu (niesumienna praca, fuchy, nabieranie zwierzchności, pijaństwo).

Podkreślam, że po to aby zrozumieć sytuację niezadowolonych w sowieckim systemie i ich perspektywy należy brać pod uwagę nie oderwane fakty protestu i jakieś cyfry absolutne (ilość niezadowolonych z tego lub innego powodu), lecz pozycję owych niezadowolonych w zespole do którego należą, stosunek owych zespołów do nich, oraz ich widoki na przyszłość w razie wyrzucenia z danego zespołu. W kraju może być wiele milionów niezadowolonych, ale są oni rozsiani na terenie państwa i włączeni do rozmaitych zespołów w taki sposób, że ich niezadowolenie jest praktycznie w stadium stagnacji. Zrzeszanie się takich osób w odpowiednio duże grupy jest ponadto uniemożliwione przez samą organizację życia.

Chcę zwrócić uwagę na jeszcze jedną okoliczność ściśle związaną z problemem opozycji w społeczeństwie komunistycznym: chodzi o charakter wolności i niewoli osobistej w tym społeczeństwie. Nie sposób żyć w społeczeństwie i być zupełnie od niego niezależnym — to banał. Zarazem wiadomo, że nawet niewolnicy i chłopci pańszczyźniani korzystali z jakichś swobód, bez których niemożliwy byłby sam proces życia. Trzeba tedy zdawać sobie sprawę w jakim sensie poszczególny osobnik jest w danym społeczeństwie wolny, a w jakim zależny. Z tego punktu widzenia byłoby grubym błędem określać społeczeństwo komunistyczne jako królestwo absolutnej niewoli, albo absolutnej wolności. Błędem byłoby także uznanie braku wolności za wynik złowrogich zamiarów jakichś niedobrych ludzi, istnienie zaś wolności — za przejaw czyjejs zacności. Tak na przykład — fakt przykucia ludzi do miejsca pracy nie jest po prostu skutkiem umyślnego ograniczania swobód i przejawem ucisku. Koniec końców znajduje w tym swój wyraz czysto ekonomiczna i odczuwana przez ogromną większość ludności konieczność zdobywania środków do życia właśnie taką drogą. Z drugiej strony, władza kolektywu nad jednostką i władza kierownictwa kolektywu nad podwładnymi ma swoje granice. Dzień roboczy reglamentowany jest jednakowo na całym terenie kraju i nie zależy od samowoli miejscowych władz. To samo dotyczy zarobków, urlopów, pewnego minimum powierzchni mieszkalnej i wielu innych życiowo ważnych spraw. Istnieje pewna możliwość zmiany miejsca pracy i szukania bardziej dochodowej. Można też bez szczególnego ryzyka zadzierać z dyrekcją przedsiębiorstwa. Nie tak znów łatwo wyrzucić człowieka z pracy. Jeśli nie można mu dowieść że jest przestępcą kryminalnym czy dysydentem, weźmie go w obronę

załoga i organizacje społeczne. Jednym słowem — zwykła jednostka w społeczeństwie komunistycznym wyzuta jest z wolności również w rezultacie określonego układu obiektywnych warunków życia w danych warunkach, co czyni owo życie jako tako znośnym.

Ale kraje komunistyczne biorą udział w procesie ludzkich dziejów, stanowią część ludzkiego krajobrazu planety. Właśnie z tego historycznego „kontekstu” (nie zaś z pozahistorycznej natury ludzkiej) jakaś część obywateli tych krajów czerpie wyobrażenie o takim produkcie wielowiekowych dziejów cywilizacji, jak swobody obywatelskie. Dla większości z nich to pojęcie ma czysto literacki walor, jest biernym składnikiem kultury. Miażdżąca większość członków społeczeństwa komunistycznego w ogóle nie czuje potrzeby tych swobód, ich sposób bycia nie nastrocza im takiej potrzeby. I właśnie dlatego tych swobód oni nie mają. Są ich pozbawieni, bo nie są im one niezbędne. Mówiąc brutalnie, są im potrzebne jak psu piąta noga. Tylko nikła część ludności krajów komunistycznych czuje potrzebę swobód obywatelskich — wiedząc zresztą, że chodzi o składnik życia społecznego zupełnie nie pasujący do historycznie danego kontekstu kulturalnego.

Z tym wszystkim — jak dowodzą tego fakty — w społeczeństwie komunistycznym możliwa jest otwarta opozycja. Nie tu miejsce na abstrakcyjne rozważania teoretyczne w tej sprawie. Wystarczy stwierdzić, że istnieją trzy formy opozycji tego rodzaju, wszystkie będące produktem specyficznie komunistycznych stosunków.

Historycznie rzecz biorąc, pierwszy rodzaj opozycji — to antystalinizm. Narodził się jeszcze w latach przedwojennych. Pogłębił się podczas wojny. Chociaż w latach bezpośrednio powojennych uległ przygłuszeniu, jednakże robił swoje. Rolę najczynniejszą odegrał po śmierci Stalina. Osobliwość tego okresu na tym polegała, że walka ze stalinizmem prowadzona była z szerokim rozmachem na szczeblu podstawowych organizacji partyjnych. Słynny referat Chruszczowa nie był punktem wyjścia tej walki, był jej objawem, i stanowił jej skutek i nadał jej formę. Stalinizm w tym okresie wydawał się odstępstwem od norm obowiązujących w życiu społeczeństwa komunistycznego. I walka toczyła się o przestrzeganie tych norm, o praworządność, o bezpieczeństwo osobiste i pewność jutra ludzi całkowicie lojalnych wobec ustroju sowieckiego. Walka ta przyniosła pożądane skutki przede wszystkim kierownictwu partyjnemu i całej rzeszy urzędników i funkcjonariuszy, zajmujących odpowiedzialne stanowiska w organizacjach podstawowych i w społeczeństwie w ogóle. Chociaż walkę tę

rozpoczęli i prowadzili ludzie, którzy byli ofiarami reżymu, z jej owoców skorzystali w pierwszym rządzie sami gospodarze społeczeństwa. Po raz pierwszy w dziejach sowieckiego państwa poczuli, że są pełnoprawnymi panami sytuacji i że wreszcie nic im nie grozi. Ale również cała ludność kraju skorzystała na tym. Życie stało się wyraźnie łatwiejsze i spokojniejsze.

Następną formą opozycji był liberalizm epoki Chruszczowa. Dość trudno jest ująć tę formę w ścisłe kategorie, samo bowiem to zjawisko ma charakter nader płynny i nieokreślony. W okresie tym we wszystkich ważnych dziedzinach życia sowieckiego zaczęli wybijać się ludzie nowego typu, różniący się od swoich poprzedników i konkurentów wyższym poziomem wykształcenia, większymi zdolnościami i skłonnością do inicjatywy, swobodniejszymi manierami, większą tolerancją w sprawach ideologii. Dążąc do osiągnięcia swoich celów osobistych (kariera, lepsze warunki życia, zaspokojenie ambicji), ludzie ci doprowadzili w życiu publicznym kraju do pewnego złagodzenia obyczajów i do ujawnienia się skłonności do zachodnioeuropejskich form kultury. Wspierali rozwój krytyki systemu sowieckiego i sami przykładali się do niej. Zarazem jednak byli zupełnie lojalni w stosunku do tego systemu, występowali w jego imieniu i w jego interesach. Troszczyli się jedynie o to, by urządzić się najwygodniej w ramach systemu i sam ten system uczynić znośniejszym. Jeśli pierwsza z tu wymienionych form opozycji (antystalinizm) była skierowana przeciw skrajnościom ustroju komunistycznego, to druga (liberalizm) zwracała się przeciw prowincjonalizmowi, nieruchawości, mierności jego szarej codzienności. I trzeba przyznać, że pod tym względem epoka Breżniewa (mimo wszystko) stanowi kontynuację ery Chruszczowa z tą jedynie różnicą, że liberalizm został ujęty w ramy znośne dla reżymu.

Trzecia forma opozycji — to ruch dysydencki. Uważam go za zjawisko najbardziej znamienne w całej historii Związku sowieckiego — w tym sensie, że z ogromną siłą postawił on przed całym światem problem: czym jest w istocie społeczeństwo komunistyczne; nadto — pierwszy raz w dziejach tego społeczeństwa dał przykład opozycji wobec ustroju jako całości. Ruch ten samym swym istnieniem dowiódł możliwości takiej opozycji i jej wpływu na życie całego społeczeństwa. Jednocześnie uwiarydlał się nieprzekraczalną dla opozycji granicę. Ruch ten powstał w ostatnim okresie ery Chruszczowa i maksymalny rozwój osiągnął w latach siedemdziesiątych. Skład osobowy tego ruchu jest bardzo różnorodny: uczeni, pisarze, studenci, prawnicy, działacze religijni, osoby pragnące wyjechać za granicę (emigracja żydowska) itd. Różne są też motywy osobiste, które kazały ludziom wziąć udział w tym ruchu. Różne są też ich poglądy

i cele. Są jednak przyczyny, dla których można ten ruch rozpatrywać jako pewną całość. Wymieńmy wśród tych powodów wspólny los, jednoczący wielu uczestników ruchu, stosunek do nich oficjalnego społeczeństwa i ludności, tendencję do wspólnych form ideologicznych i organizacyjnych, związki osobiste oraz reakcję, z jaką spotyka się ów ruch za granicą (na Zachodzie). Na tych oto podstawach można uznać ruch dysydencki za zjawisko odmienne od innych form opozycji.

Merytorycznie ruch dysydencki wykazał w praktyce kluczową rolę takich faktów w życiu społeczeństwa sowieckiego, które oficjalnie uznane były za nieistotne albo przypadkowe odstępstwa od normy — i w rezultacie obnażył prawdziwą istotę tego społeczeństwa. Zachowanie się członków ruchu również rozbiło ramy norm przypisanych przez obyczaj, tradycję, a niekiedy nawet przez prawo. Mam na myśli protesty publiczne, „samizdat”, przekazywanie prawdziwych informacji do zachodniej prasy i radia, demonstracje itd. Wiadomo, jak na to reagowały władze, organizacje oficjalne i określone kręgi społeczne. Ludzie, którzy w ten lub inny sposób zdecydowali się na udział w ruchu tracili swoją pozycję społeczną i pracę. Wielu znalazło się w więzieniach lub w szpitalach psychiatrycznych. Wielu innych stało się ofiarami represji administracyjnych. Wielu zmuszano do emigracji. I przyznać trzeba, że koledzy i towarzysze pracy dysydentów czynnie pomagali władzom w tych porachunkach. Ale represje nie zahamowały ruchu, przeciwnie, przyczyniły się do jego rozrostu, pogłębienia, intensyfikacji. Dzięki nim doszło bowiem do zbliżenia między poszczególnymi uczestnikami rozmaitej proveniencji i do pojawienia się pewnych elementów porządku organizacyjnego. W sposób coraz bardziej widoczny ruch jął nabierać wspólnych cech ideologicznych — wspólnym mianownikiem stała się walka o swobody obywatelskie, o prawa człowieka. I chociaż wspólny mianownik ten pojawił się (jak wolno sądzić) żywiołowo, stał się on wyrazem najgłębszej istoty ruchu; chodzi tu o protest przeciw uciskowi i ujarzmieniu osobowości ludzkiej w społeczeństwie komunistycznym, osobowości pojmowanej w duchu najwyższych osiągnięć zachodnioeuropejskiej demokracji. Ponieważ swobody obywatelskie (prawa człowieka) nierozzerwalnie są związane z takim właśnie rozumieniem samego pojęcia osobowości ludzkiej, są więc czymś, co nie wynika wcale z zasad ustroju komunistycznego, a poniekąd nawet im przeczy — i w rezultacie cały ruch dysydencki wydaje się być skierowanym nie przeciw poszczególnym brakom systemu, lecz przeciw samym jego podstawom.

Dysydenci wykorzystali formalne deklaracje władz sowieckich i formalne przepisy prawa sowieckiego dotyczące swobód obywa-

telskich, w związku z czym ruch ten powstał i dalej istnieje w ramach legalnych. Ale nie jest dla nikogo tajemnicą, że te deklaracje i „prawa” (np. podpis pod układem zawartym w Helsinkach) są pustymi słowami, nie mającymi realnego związku z naturą społeczeństwa komunistycznego. Z czysto zaś socjologicznego punktu widzenia ruch ten jest wyrazem protestu przeciw faktycznej sytuacji jednostki w społeczeństwie komunistycznym, która to sytuacja zależy od zasadniczych warunków życia w tym społeczeństwie. Jeśli więc uznamy ten ruch za formę walki o swobody obywatelskie (prawa człowieka) to możemy dojść do wniosku, że skazany jest on z góry na klęskę — bowiem społeczeństwo komunistyczne gwarantujące jednostce swobody obywatelskie jest takim samym nonsensem, jak społeczeństwo kapitalistyczne bez pieniądza, kapitału i zysku. Jeśli jednak rozpatrywać ruch dysydencki abstrahując od jego ideologicznej formy, tzn. niezależnie od tego, czy cel (prawa człowieka) jest realnie osiągalny — to musimy uznać jego skuteczność i dalekowzroczność. Jakikolwiek by przybrał formy ideologiczne, jest on owocem ustrojowych warunków, w jakich ludzie w tym społeczeństwie żyją. Zniesienie tych warunków równa się obaleniu samego ustroju społecznego. Póki zaś warunki te istnieją, póty rodzić się będzie (w tej czy innej formie) opór wobec nich, który ma obecnie postać ruchu dysydenckiego.

Ocena wagi ruchu dysydenckiego, siły jego wpływu na ludność kraju i stosunku doń tej ludności — jest problemem najbardziej chyba zawiłym. Każdy pogląd na tę sprawę może znaleźć tu oparcie w jakichś znanych faktach. Np. — że ruch ten jest liczebnie słaby i bezsilny. I ten, że jest potężny i masowy. I ten, że jego wpływ na społeczeństwo jest mizerny. I ten, że jego wpływy są ogromne. I ten, że ludność go nie popiera. I ten, że cieszy się ogólnym poparciem. Rzecz w tym, iż wszystkie oceny są w tym wypadku względne, nie ma powszechnych i absolutnych kryteriów porównawczych, nie ma godnych zaufania mierników, niemożliwe są badania obiektywne (władze nie pozwolą, a badani nie udzielą szczerych odpowiedzi na ankietę itd.). W rezultacie trzeba polegać na własnym doświadczeniu, na wiadomościach z drugiej ręki, na znajomości ogólnej sytuacji w kraju i charakteru jego mieszkańców. Dlatego też skłaniam się do oceny nie ilościowej (posługującej się terminami „duży”, „mały”, „silny”, „słaby”) ruchu dysydenckiego, lecz raczej jakościowej. W warunkach sowieckich akcja podjęta przez pojedynczego człowieka odegrać może rolę niemal taką, jak gdzie indziej działalność całej politycznej grupy czy nawet partii. Jednymyślnie zaś potępienie takiego człowieka przez całą nawet ludność kraju może nie mieć wpływu na realny ślad, jaki zostawiła w ich duszach jego

działalność. Dlatego nie jest przypadkiem, że ruch dysydencki w ZSSR utożsamiany jest z pewnymi osobami, że kojarzy się raczej z nazwiskami aktywistów, niż z nazwami ugrupowań. Często ilościowa ocena nie będzie tu wcale odpowiadać faktycznemu stanowi rzeczy.

Już sam fakt narodzin i długoletniego istnienia ruchu dysydenckiego jest zjawiskiem o znaczeniu historycznym. Raz na zawsze rozwiąły się złudzenia dotyczące komunistycznego raju na ziemi. Stało się jasne, że przyszłe dzieje komunizmu — to nie sielanka i harmonia, tylko bijatyka. Dysydenci zachowywali się z reguły w sposób godny naśladowania. I przykład ten istotnie działał. Wszystko, co ma z tym ruchem coś wspólnego, jest jednym z najważniejszych, a często — najważniejszym przedmiotem rozmów i rozmyślań w najrozmaitszych kręgach. Choćby tylko z tego punktu widzenia żadne inne zjawisko w dziedzinie kultury duchowej nie skupiło na sobie takiej uwagi w trakcie ostatniego dziesięciolecia. Trzeba też przyznać, że niektóre ulgi w dziedzinie kultury poczyniono w ciągu ostatnich lat właśnie ze względu na obecność ruchu dysydenckiego. Nawet władze — dzięki dysydemtom — mogły dowiedzieć się wreszcie tego i owego o prawdziwej sytuacji w kraju; muszą też stosować *nolens volens* bardziej elastyczne metody w zarządzaniu. Wreszcie — bez moralnego i materialnego poparcia ze strony dość znacznej części ludności — ruch ten nie przetrwałby nawet roku. Oczywiście, Zachód też stara się pomóc. Ale nie należy przesadzać znaczenia tej pomocy, ze szkodą dla oceny wewnętrznej bazy ruchu. Bez tej bazy wewnętrznej pomoc Zachodu byłaby w ogóle niemożliwa. Ruch dysydencki wywiera wpływ głównie i przede wszystkim na sposób myślenia określonych warstw ludności ZSSR, a dopiero poprzez nie — na szeroki ogół. Naiwnością byłoby oczekiwać natychmiastowych skutków tego wpływu, spodziewać się, że ujawnią się w sposób widoczny i zgodny z założeniami ideowymi ruchu. Nie można jeszcze zbadać praktycznie mechanizmu owego wpływu i przewidzieć jego następstw. Nie jest to nawet konieczne. Doświadczenia historyczne ludzkości dają nam wystarczające powody do nadziei.

Tak więc — przegląd dziejowego doświadczenia Związku Sowieckiego pozwala na stwierdzenie, że istnieją tam trzy typy opozycji: 1) przeciw ekscesom reżymu; 2) przeciw zastojowi i konserwatyzmowi; 3) przeciw brakowi swobód obywatelskich. Formy te, rzecz jasna, są związane ze sobą, wpływają na siebie wzajem, przenikają się. W ten sposób krytyka represji masowych w epoce Stalina przekształciła się z czasem w krytykę realnego modelu społeczeństwa komunistycznego w ogóle, reakcją zaś na represje stosowane wobec bojowników o prawa człowieka —

rodzi opozycję pierwszego typu. Różnica między poszczególnymi formami opozycji jest jednak wystarczająco wyraźna i pod wieloma względami istotna.

Chcę zaznaczyć w konkluzji, że podział świata na domenę komunizmu i domenę czegoś, co mu jest przeciwstawne — nie jest podziałem geograficznym. To, co się dzieje w krajach Zachodu nie wymaga wyjaśnień: komunistyczne tendencje i ruchy są tam aż nazbyt dobrze widoczne. Ważne jest jednak, że w samych krajach komunistycznych daje się dostrzec linia podziału. Także te kraje starają się w ten lub inny sposób zatamować lawinę komunizmu. Mam wrażenie, że sami obrońcy i dyrygenci komunistycznej lawiny, która runęła na ludzkość, nie są znów tak bardzo uszczęśliwieni własnymi sukcesami i gotowi są może jakoś je zahamować. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Komunistyczna lawina wymknęła się wszelkiej ludzkiej gestii. Rola opozycji wewnętrznej w dziele poddania tej lawiny częściowej choćby kontroli — jest niezastąpiona.

Aleksander ZINOWIEW

Monachium, styczeń 1979

(Tłumaczył Michał Kaniowski)

O « Ziemi Ulro » po dwóch latach

Dwie tylko książki posiadam w trzech egzemplarzach, leżą pod lampą na stoliku obok łóżka i powracam do nich często przed zaśnięciem w paryskim mieszkaniu, w starej fermie nad brzegiem Loary, w odbudowanej celi korsykańskiego klasztoru: dzieła Szekspira i wiersze Miłosza. Wybór ten nie jest podyktowany żadnymi literackimi kryteriami, w nawiasie między jawą i snem książka jest trochę lekarstwem, trochę talizmanem. Nie było zresztą nigdy wyboru, raczej ściśle użytkowa selekcja, a później decyzja by nie wozić tych tomów z jednego stolika na drugi, a zwłaszcza nie być ich nigdy przez zapomnienie pozbawionym. Wiem po prostu z doświadczenia że Miłosza (jak Szekspira) mogę otworzyć na ślepo, a natrafię na ślad, odbicie czy echo czegoś w przestrzeni między „mną” i „światem” co nada znaczenie egzystencji, o której wiem skądinąd że jest pozbawiona jakiegokolwiek sensu. Piszę „nada znaczenie” i już się łapię na bezmyślnym odruchu, który przypisuję temu że — jak każdy człowiek — snuję znaczenie jak pajak swą nić, niezależnie od tego co myślę o świecie i o swoim krótkim życiu. Powiedzmy zatem inaczej: wiersze Miłosza zawierają błysk i urok rzeczywistości przekazanej w doskonałości zapamiętanego szczegółu, napełniają czułością do życia, bo jest jedyne i niepowtarzalne. To co odczuwam czytając je ma w sobie coś z własnych zapamiętanych zachwyty, coś z rezygnacji (ale niemal radosnej), określiłbym to najchętniej słowem „łaska”. Następuje zgoda niedopowiedziana (bo ją teraz dopiero wnioskuję, z doświadczenia które trudno przekazać), nie tylko na moją własną śmierć, ale na to, że nie będzie kiedyś ani wiersz Miłosza, ani ludzi którzy by je mogli czytać: wystarcza że *jest*,

teraz, coś o czym te wiersze świadczą. Pisząc o „Ziemi Ulro”^{*} byłbym zatem tej ziemi zrezygnowanym obywatelem, nieświadomym własnego okaleczenia, paradoksalnie czerpiącym ukojenie w wierszach Miłosza, który ją ma za ohydną niewolę?

Niech to wyznanie świadczy o tym jak poważnie biorę zapewnienie Miłosza, że pisze swą książkę pozbywając się zwykłej mu „samokontroli” i „taktów obronnych”, że się „wyzwała”, licząc na czytelnika który połączy się z nim „w tej samej wierze albo przynajmniej w tym samym oczekiwaniu”. Otóż wiary Miłosza na pewno nie podzielam, a nawet nie łączę się z nim bez zastrzeżeń w oczekiwaniu odnowy jaką ma na myśli. Dlaczego więc książka ta jest mi bliska, dlaczego uważam ją za piękną i ważną? Czy tylko dlatego że pozwala mi bliżej poznać poetę którego podziwiam? Od roku z górą zamierzam napisać ten szkic o „Ziemi Ulro”, zaczynam go i odstawiam, natrafiając zawsze na tę samą trudność. Odczytałem dwa teksty które na przestrzeni ostatnich dwudziestu paru lat napisałem o poezji Miłosza i zauważyłem z pewnym poczuciem niesmaku, że waloryzuję w nich „dajmona” poety, jego związki z Naturą, „ahumanizm”, że podkreślam „głęboki pesymizm jego poezji, jej zasadniczy nihilizm”, wbrew żywiołowemu oporowi Miłosza przeciw wszystkiemu co w nowoczesnej poezji i sztuce z nihilizmu się wywodzi. Tak jak bym, podziwiając poetę, lekce sobie ważył świadomy światopogląd moralisty i eseisty. Zawstydzającą odpowiedź na te moje wątpliwości znalazłem w przesłanym mi niedawno tomie szkiców mego zmarłego przyjaciela, Nicolì Chiaromonte, „Silenzio e Parole”: „Mówić, jak zwykle się mawiało i mawia dotychczas, że Tołstoj moralista tłum, deformuje Tołstoja artystę (o ile go wprost nie zdradza) jest banałem podobnym do tego który również wciąż jeszcze głosi, że Platon „Gorgiasza” i „Sympozjonu” jest wielkim pisarzem, podczas gdy autor „Republiki” i „Praw” jest filozofem reakcyjnym. Przeciętnym umysłem trudno jest zrozumieć jak człowiek pogrążony w danym problemie i przemyślający go do głębi może zdobyć się na odwagę wydania sądu o tym, co mu jest najdroższe”. Nie dziw że Miłosz wysoko cenił Chiaromonte i umieścił go obok Petöfi i Mickiewicza wśród nazwisk które:

*„... nie są znane nikomu
Albo dlatego że człowiek umarł, albo że
Znakomitością był nad inną rzeką”.*

(Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada, 1974).

A jednak podobne ostrzeżenie daje Miłosz w „Ziemi Ulro”

^{*} Czesław Miłosz, *Ziemia Ulro*, Instytut Literacki, Paryż, 1977, str. 221.

w bardzo złagodzonej formie, pisząc o sprzecznościach między dziełem i poglądami Mickiewicza i Dostojewskiego: „Pomiędzy dziełem i przekonaniem autora zachodzi związek, zagadkowy, wysoce złożony, i dlatego należy tymi przekonaniem się zajmować, w nadziei, że to nam lepiej pomoże ogarnąć dzieło”. Co Miłosza upoważnia do krytyki poglądów i jednego i drugiego (jak i poglądów Gombrowicza): ich dzieła i ich filozofie przebywają w dwóch różnych wymiarach. Pisząc o „Ziemi Ulro” będę miał w pamięci zarówno przestrożę Chiaromonte, jak i stanowisko samego Miłosza.

2.

Trudność moja wydawała mi się tym większa, że postaci na które powołuje się Miłosz, aby za ich pomocą określić drogę jaką przebył od rodzinnej doliny Niewiaży aż po Niedźwiedzi Szczyt nad Pacyfikiem, związane są także z etapami mojego, bardzo odmiennego rozwoju. Blake’a odkryłem przypadkiem, wkrótce po przyjeździe do Anglii w roku 1940 jako osiemnastoletni żołnierz, był pierwszym poetą (przed Szekspirem), który mnie naprawdę zachwycił, powracam do niego często. Do Swedenborga (i Jakuba Boehme) dotarłem w dziesięć lat później, pod wpływem lektury Junga i René Guénon, których również wspomina w swej książce Miłosz. Oskara Miłosza zawdzięczam Leonor Fini, jego powieść „L’Amoureuse Initiation” jest jej ulubioną książką. Nie wspominałbym nawet o Mickiewiczu, gdyby nie to, że z czterech proroków „Ziemi Ulro” poznałem go właściwie najpóźniej, dzięki Miłoszowi, gdyż on dopiero pozwolił mi zrozumieć, że „Pan Tadeusz” jest naprawdę arcydziełem polskiej poezji. Ale ani Swedenborg, ani Blake, ani Mickiewicz, ani autor „Miłosnego Wtajemniczenia” nie byli dla mnie nigdy eschatologicznymi prorokami. Interesowali mnie (żeby się trzymać podobnej terminologii) jako ontologiczni mistycy, jasnowidzący — teraz i dziś — ukryte związki pomiędzy poszczególnymi przedmiotami i istnieniami. Są to dwa nurty pokrewne, ale podczas gdy Miłosz czuje i rozumie oba, jedynie drugi jest mi dostępny.

Rozważania te sprawiły, że w samej książce Miłosza zauważyłem podobne dwa główne nurty (mimo że w jego umyśle i sercu płyną one korytem jednej rzeki). „Ziemia Ulro”, to przede wszystkim rzecz o kryzysie cywilizacji chrześcijańskiej, o zaburzeniu „ładu istnienia”, którego jedynym gwarantem jest Bóg-Człowiek. „Cóż mają począć ludzie — pisze Miłosz przy końcu swej książki — dla których ziemia i niebo jest za mało i nie mogą,

żyć, jeśli nie oczekują innego nieba i innej ziemi? Dla których ich własne życie, takie jakie jest, pozostaje snem, zasłoną, ciemnym lustrem i nie mogą pogodzić się z tym, że nigdy nie pojmą czym było naprawdę". Takim człowiekiem jest autor, takim człowiekiem jest również ten idealny czytelnik, który podzieli jego oczekiwania przemiany. Otóż ja nim nie jestem. Niestosowne to wyznanie ze strony „krytyka”, który nawet udając skromnisią przemawia zwykle z niewidzialnej katedry, swe własne bóle, tęsknoty i pożądaną pozostawiając na boku. Ale pisząc o tej książce, „dziecinnej i dorosłej, wzniosłej i przyziemnej”, jak ją określa sam autor, bardziej niż kiedykolwiek pragnę uniknąć przypisania sobie „gęby krytyka”. Myślę, że gdybym był wierzący, to na sposób Miłosza. Wstydę się dziś, że długo byłem ateistą nie tylko antyklerykalnym, antyreligijnym nawet, że odczuwałem nad wierzącymi naiwne poczucie wyższości. Mam nadzieję że stałem się z biegiem lat tym „ateistą prawdziwym”, o którym pisze Miłosz, że religia winna być dla niego „godnym podziwu tworem ludzkiej wyobraźni” (choć wątpię by była, jak dalej sądzi Miłosz, „skutecznym środkiem łagodzącym dotkliwość życia i śmierci”). O posoborowych przemianach podzielałam zdanie Miłosza, pamiętając jednak odpowiedź francuskiego arcybiskupa, któremu kiedyś u wspólnych przyjaciół wyrażałam swe żale na Vaticanum II: „Gdybym był, jak Pan, ateistą, sądziłbym oczywiście tak samo. Ale wierzę w Ducha Świętego.”

Nie ośmieliłbym się zatem pisać tego artykułu, gdyby granice miłoszowej „Ziemi Ulro” wyznaczone były tylko w kategoriach wiary. Z pomocą przychodzi mi tu właśnie drugi nurt książki, który określiłbym jako medytację o źródłach wyobraźni, jej roli w życiu indywidualnym i zbiorowym, oraz groźbie jej wyjąłowania. Na ten drugi nurt jestem od dziecka niezmiernie uczulony, związany on jest ze wszystkim co ma dla mnie centralne znaczenie. Dodam nawiasem, że jedyni współcześni których tak czy inaczej wprowadza Miłosz dla uzasadnienia swego wyводу — Witold Gombrowicz i Jacques Monod — byli mi obaj bliscy, choć nie mogę porównać związków wdzięczności i sympatii jakie łączyły mnie z francuskim uczonym z fascynacją jaką wywierał na mnie autor „Ferdurdurke” jeszcze zanim go poznałem. Jak na jedną książkę, sporo tu „zbiegów okoliczności”. Skorzystam z tego, że mi się nawinęły pod pióro, żeby już tu zaznaczyć że rola rzekomych przypadków w moim życiu była ogromna od dziecka, innymi słowy że jestem gorliwym ich tropicielem. Moi polscy koledzy z uniwersytetu Saint-Andrews pamiętają jeszcze moje pijane rojenia na temat „the Jeleński theory of coincidence”, a dopiero dziesięć lat później poznałem surrealistów i ich „odkrycia” w tej dziedzinie.

Czytelnik już się chyba domyśla, że nie znajdzie tu „krytyki” „Ziemi Ulro”, a raczej echo miłoszowej metody, łączącej przeżyte z przeczytanym, bez jego — rzecz jasna — maestrii.

3.

W swej świetnej przedmowie Józef Sadzik słusznie wskazuje że konstrukcją centralną „Ziemi Ulro” „jest pytanie: co się stało z kulturą europejską w jej 'romantycznym przesileniu', kiedy to rozchodziły się drogi wspólnego dziedzictwa — żywej prawdy ludzkiej i ziemnych obiektywnych praw nauk ścisłych”. Zapewne taki dział wód istnieje, nie darmo wzięła Miłosz Wiek Oświecenia jako granicę pomiędzy dwoma obrazami kosmosu. Ale sam Miłosz przyznaje że „teologia Kościołów już w osiemnastym wieku poniosła porażkę” i sięga do pism nieortodoksyjnych aby znaleźć godnych obrońców obozu Boga-Człowieka przeciw obozowi Człowieka-Boga. Blake również nienawidził purytańskiego moralizmu współczesnych mu chrześcijan jak redukcyjnej nauki wszystko wówczas sprowadzającej do stosunków ilościowych. I jednemu i drugiemu przeciwstawił „Twórczą Wyobraźnię”. Wspomniałem już, że spotkawszy się z poezją Blake'a niemal czterdzieści lat temu doznałem olśnienia, a uważałem się przecież wówczas za wojującego ateistę. Nie zauważyłem wprost tego „co mu jest najdroższe”, co dopiero po przeczytaniu „Ziemi Ulro” rozumiem.

W poezji Blake'a byłem głównie wrażliwy na jego podejście do percepcji. Blake widział ciało ludzkie w formie jaskini oświetlonej pięcioma oknami naszych zmysłów: „Gdyby oczyścić bramy percepcji — pisał — wszystkie rzeczy ukazałyby się człowiekowi takie jakimi są: nieskończone. Gdyż człowiek sam się zamurował do tego stopnia, że widzi wszystkie rzeczy jedynie poprzez wąskie szczeliny swej jaskini”. Od Blake'a właśnie zapożyczył Aldous Huxley tytuł swej słynnej książki „The Doors of Perception”, w której opisuje wpływ na struktury percepcji niektórych narkotyków, metod mistyczno-medytacyjnych, a również pewnych schorzeń umysłowych. Nie staram się tu, jak kalifornijscy synkretyści którzy mi są równie obcy jak Miłoszowi, przetworzyć Blake'a w jakiegoś zachodniego „guru”. Po prostu, niezdolny od dziecka do „wiary w Boga”, odczuwałem zawsze potrzebę „wiary w cuda” i cieszy mnie każda ich afirmacja, która się nie ucieka do żadnego „Deus ex Machina”. Powołam się tutaj na postać Wiek Oświecenia która uniknęła wyboru między postawą religijną i redukcjonizmem. W „Rękopisie Znalezionym w Saragocie” Jan Potocki wkłada w usta postaci negującej istnienie Boga następujący argument, który streszczam nie mając egzem-

plarza pod ręką: jedno tylko — pisze 150 lat temu z górą — mogłoby świadczyć o istnieniu Boga: niezaprzeczony fakt że istnieją cuda. Gdyby się jednak kiedyś okazało, że materia i energia są jednym i tym samym, nawet ten argument by upadł.

Miłosz nie lubi surrealistów, zarzuca im „złowrogą wolę zniszczenia”, gdyż „łączyli dwa kulty z dziewiętnastego wieku rodem, freudyzm i marksizm”. Zapomina, że nawet na wstępnym „rewolucyjnym” etapie czynili to w sposób wysoce nieortodoksyjny, niepokojący i gorszący strażników obu doktryn. Ja także nigdy nie lubiłem surrealistów jako grupy, ruchu czy wprost mafii, za ich rygorystyczne przepisy i zakazy wydawane w imię utopijnej wolności. Kiedy zbliżyłem się do Max Ernsta, Bellmera, Braunera we wczesnych latach pięćdziesiątych, byli już oni przez Bretona „ekskomunikowani”, ruch składał się, poza przewodcą, z samych młodych doktrynerów i ekstremistów, których nazwiska nic już dziś nikomu nie powiedzą. A przecież cenię Bretona właśnie za wprowadzenie do Panteonu surrealizmu choćby Blake’a i Swedenborga, za to również, że pod koniec życia bardziej go interesowała alchemia i Kabała od Freuda i Marksa. Swedenborg w surrealistycznym Panteonie? Nic w tym dziwnego, jeśli się zważy że celem surrealizmu było zburzenie murów dzielących „sen” od „jawy”, „sztukę” od „życia”. Surrealistów pasjonowały zawsze prawa analogii i „korespondencje”, mimo że tropili je w przestrzeni jednolitej, nie uznając pionowego układu między światem „materialnym” i światem „duchowym”. Wyjaśniając znaczenie jakie słowo *correspondentia* nadaje Swedenborg, Miłosz pisze: „Piękno pewnych kwiatów, zwierząt, drzew, krajobrazów, ludzkich twarzy i brzydota innych zwierząt, krajobrazów czy ludzi znajduje wyjaśnienie w tym właśnie, że są to znaczenia duchowe, tzn. kształty, barwy, zapachy spełniają funkcję analogiczną do słów i z kolei istnieją po to, żeby dostarczać materiału ludzkiej mowie”. Wystarczy wykreślić „znaczenie duchowe”, a mamy tu wywód nienagannie surrealistyczny. Dla Miłosza zasadnicze znaczenie ma to, że Swedenborg jest „spadkobiercą średniowiecza, które czerpiąc z natchnień platońskich wyznawało zasadę „jak na górze tak i na dole”, tj. całe stworzenie było językiem jakim Bóg zwracał się do człowieka...”. Mam nadzieję, że nikt nie przypuści, że przeprowadzam tu z Czesławem Miłoszem „dyskusję”, że przeciwstawiam mu inny „punkt widzenia”, uważając go za słuszniejszy. Twierdzą po prostu że zasadniczy podział dotyczy sposobów percepcji świata i że można zasadę „jak na górze tak i na dole” zastąpić innymi; „jak w człowieku tak i w naturze”; „jak we śnie tak i na jawie”; „jak w poezji tak i w rzeczywistości”. Chodzi mi o usprawiedliwienie „materialistycznej” lektury zarówno wierszy Miłosza jak i „Ziemi Ulro”.

4.

W sukurs mi tu przyjdzie fizyk, filozof i pisarz współczesny Swedenborgowi, choć znacznie od niego młodszy, Georg Christoph Lichtenberg (1742-1799). Wybór jego aforyzmów w niemieckim oryginale podarował mi Hans Bellmer ze dwadzieścia lat temu, kiedy zachwyciłem się usłyszanym od niego cytatem. Od tego czasu stałem się wielbicielem Lichtenberga, mam jego dzieła zebrane w trzech tomach („Schriften und Briefe”, Hanser Verlag, 1975), w wolnych chwilach tłumaczę go na polski i zamierzam napisać o nim dłuższy szkic. Często o nim myślałem, czytając „Ziemię Ulro”, gdyż był w korespondencji z Goethem i z pełną sympatią i admiracją zbijał jego teorię kolorów i teorię pra-rośliny o których wspomina Miłosz. Nie wiem czy znał Swedenborga, ale Jakuba Boehme ceniał, choć na swój sposób, pisząc że jego dzieło „to piknik, do którego autor dostarcza słów, zaś czytelnik znaczenia”. Dodam tu inny jego aforyzm, który to uzupełnia: „Metafora jest często mądrzejsza od tego kto ją wymyślił, i tak ze wszystkim. Kto ma oczy, ten widzi wszystko we wszystkim”.

Jeśli Wiek Oświecenia odegrał rolę zawiasów między dwoma wizjami świata, to Lichtenberg, jeden z filarów niemieckiej *Aufklärung* nie dał się zamknąć w tym dylemacie — podobnie jak Jan Potocki. Wystarczy kilka cytatów:

„Chciałbym Oświecenie określić znanym symbolem ognia (Δ). Ogień daje światło i ciepło, jest niezbędny dla wzrostu i postępu wszystkiego co żyje, tyle że — przy nieostrożnym użytku — pali i niszczy”.

„O tym że należy czasem woleć fałszywą hipotezę od prawdziwej, świadczy nauka o wolności człowieka. Człowiek nie jest wolny, to rzecz pewna, ale trzeba bardzo głębokich studiów filozoficznych na to, by nie dać się przez to wyobrażenie (*Vorstellung*) wyprowadzić na manowce. Na tysiąc ludzi którzy nie mają na to ani czasu ani cierpliwości, na stu którzy je mają, nie zdarza się jeden o niezbędnej sile ducha. Dlatego najwygodniej jest myśleć o tej sprawie w kategoriach wolności, i to raz na zawsze, gdyż pozory tak silnie świadczą o wolności”.

„Powiedzmy że istnieje zwierzę dla którego własne ciało jest niewidoczne. Tak jest z naszą duszą, która nie może mieć wyraźnego pojęcia o sobie, a przecież wie że istnieje. Cóż, kiedy jedno nie zachwieje wiary idealisty, drugie wiary materialisty”.

„Powiedziałem sobie: *nie, w to nie mogę żadną miarą uwie-*

rzyc, i mówiąc to spostrzegłem, że właśnie uwierzyłem w to po raz drugi”.

„To wielka różnica, *jeszcze* w coś wierzyć, a wierzyć w to *na nowo*. *Jeszcze* wierzyć, że księżyc ma wpływ na rośliny, to głupota i przesąd, ale wierzyć w to *ponownie* świadczy o filozofii i rozwadze”.

Ograniczyłem się dotąd do przytoczenia aforyzmów Lichtenberga, które bezpośrednio przeczą przekonaniu Miłosza, że nie można uniknąć wyboru między „czuciem i wiarą” i „mędrca szkiełkiem i okiem”. Ale te aforyzmy świadczą *jeszcze* o jego *poglądach*, mogą sprawić wrażenie że był on po prostu mądrym sceptykiem, tolerancyjnym agnostykiem. Twierdę natomiast, że o jego wielkości świadczy świadomy wybór twórczej wyobraźni, rozszerzenie „bram percepcji”, zachowanie dziecinnej zdolności zdziwienia i nadanie jej artystycznego i filozoficznego wyrazu. Stąd wydaje mi się bliższy Blake’a i Swedenborga niż Newtona i Woltera. Aby to uzasadnić, muszę się znów uciec do serii cytatów, gdyż główną cechą Lichtenberga (w tym jest poetą) stanowi niemożliwość parafrazowania jego aforyzmów:

„Dawniej wszystko co usłyszałem i zobaczyłem zapisywała moja głowa (mój mózg), teraz już nie zapisuje, pozostawia *mnie* to zdanie. Kim jest ten „ja”? Czy ja i pisarz to nie jedno i to samo?”.

„Ach, gdybym mógł w mym mózgu wydrążyć kanały, aby rozwinąć wewnętrzny handel między mymi pomysłami! Ale leżą one tam setkami, bez wzajemnej korzyści”.

„Kiedy znajdą Prawdę w naturze, pakują ją do książki, z której inni *jeszcze* niezdarniej ją zerwą...”.

„Nie gadajcie głupstw. O co wam chodzi? Jeśli gwiazdy *stałe* są w ruchu, jak możecie twierdzić, że cała prawda jest prawdziwa?”.

„My, ogon świata, nie mamy pojęcia o tym co mu się w głowie roi”.

„Sympatiom należy często zaufać. Może kiedyś znajdziemy tego przyczynę. A gdyby to były resztki zapomnianych nauk wczesnych ludzi?”.

„Znałem kogoś, kto wyobrażał sobie dni tygodnia w postaci szczególnych figur i narysował nawet kiedyś *środe* na tablicy”.

„Myślisz że gonię za osobliwością dlatego że nie znam piękna. Nie, to dlatego że ty nie znasz piękna, ja szukam tego co *osobliwe*”.

„Nowe spojrzenia przez stare dziury”.

„Wszystko jest sobie podobne, część przedstawia całość. Zdarzało mi się całe moje życie w jednej ujrzeć godzinie...”.

5.

Jeśli każdy niemal utwór Miłosza prozą jest „rzeczą o wyobraźni” (zwłaszcza „Dolina Issy” i „Rodzinna Europa”), to „Ziemia Ulro” jest dla mnie uniwersalnym traktatem na ten temat i widzę w tej książce nowy klucz do historii literatury.

Nie zgadzam się z Miłoszem w jego potępieniu w czambuł literatury i sztuki nowoczesnej, z tym że „modernizm” uważam za okres zamknięty, który trwał około stu lat, powiedzmy od Baudelaire’a i Maneta do lat tysiąc dziewięćset sześćdziesiątych. Można by nań dziś spojrzeć jak na barok, neoklasycyzm czy symbolizm, gdyby nie to, że awangarda ubzdurzała sobie teorię zapożyczoną od „nieustannej rewolucji” Trockiego, a trudno wytłumaczyć Feniksowi że jego popioły są tym razem definitywne. To co dziś uchodzi za „awangardę” (nie mówię oczywiście o tworzących *jeszcze* jej „klasykach” jak Beckett) jest polityką, socjologią lub fizjologią w przebraniu, i słusznie ostrzegał Gombrowicz przed zakażeniem sztuki pseudonaukami społecznymi, przed zalewem intelektualizmu („im mądrzej tym głupiej”), przed groźbą monumentalnej *nudy*.

Do najpiękniejszych stron „Ziemi Ulro” zaliczam tę na której Miłosz nawiązuje do swego dzieciństwa, do narodzin Erosa za pośrednictwem drewnianej zabawki. O potędze „dziecinnego Erosa” świadczy zresztą całe dzieło Miłosza.

Francuski historyk Philippe Ariès twierdzi że dzieciństwo zostało wymyślone w XVIII wieku. Nie trzeba tego brać, rzecz prosta, bardziej dosłownie od tezy Denis de Rougemont („L’Amour et l’Occident”), że miłość jest wynalazkiem XIII wieku, ale w sensie kulturoznawczym i jedno i drugie zawiera w sobie sporo prawdy. Do XVIII wieku dziecko było „małym człowieczkiem”, upośledzonym umysłowo, niedorozwiniętym fizycznie. Ubrane jak małpa w stroje dla dorosłych, fechtujące się małą szpadą, galopujące na kucu, z abecadła przechodzące do Tytusa Liwiusza, sposobilo się niemal od kolebki do krótkiego życia, w którym statystyczna śmierć czekała je wokół trzydziestki, wobec czego trzeba było zostać dwunastoletnim dworzaninem, piętnastoletnim generałem, by przed zgonem dochrapać się senatorskiego krzesła. Smuci mnie niechęć Miłosza do Russa, któremu w tak znacznej mierze zawdzięczamy wywalczenie dziedziny, którą on sam tak ceni: kraju lat dziecięcych. Dopiero książka Miłosza nasunęła mi przypuszczenie, które przekazuję niniejszym

(na pół tylko żartem) przyszłym historykom do rozwagi: że dzieciństwo stanowi w historii Zachodu nawias dwustu lat, od połowy XVIII do połowy XX wieku (kres położyło mu upowszechnienie telewizji). Nie zdziwiłoby mnie gdyby przyszły historyk poszedł dalej jeszcze, proponując by podziały literatury ostatnich dwóch wieków na romantyzmy, symbolizmy, modernizmy zastąpić scalonym okresem w którym czerpie ona swe źródła w dzieciństwie, co nareszcie by dało niezależny od „wpływu” wspólny mianownik dla Chateaubrianda i Prousta, Hölderlina i Rimbaud, Nabokowa i Gombrowicza, Mickiewicza i Miłosza: artystów *wyobraźni indywidualnej*.

6.

Ludzie urodzeni przed ostatnią wojną mają, niezależnie niemal od narodowości i środowiska, wspólnotę tych pierwszych lat, ubogich w doświadczenia, często samotnych, w których potencjał ich wyobraźni rozwijał się intensywnie wokół zwierząt, roślin, przedmiotów codziennego użytku, starych rycin i roczników ilustrowanych pism, podczas gdy teraz biedna dziecięca *anima* jak ćma idzie sama pod ogień maszynowy elektronicznych obrazów telewizyjnej, a magiczne nazwy Marakeszu, Cordoby, Kairu, kojarzą się z identycznym hotelem, lotniskiem czy campingem, w najlepszym razie z afiszem agencji podróży.

Martwi mnie ta perspektywa wygnania z jedynej doczesnego raj, jaki znała drobniotka część ludzkości i to przez tak krótki okres czasu (indywidualnego i zbiorowego). Ale wyobraźnia jest wpisana w nasz kod genetyczny i nawet behawiorystyczne spiski różnych Skinnerów nie dadzą jej rady.

Za wcześnie na to by żywić nadzieję ugruntowania „transformatywnej gramatyki generacyjnej” dotyczącej wyobraźni, na kształt tej, której teorię opracował Chomsky w odniesieniu do języka. Ale wszechświat jest skończony i jego echo, ślad, odbłask w wyobraźni ludzkiej ma te same (jakkolwiek „olbrzymie”) granice. Stąd moje upodobanie do pojęcia „wyobraźni słusznej”, którym operował zmarły przed kilkoma miesiącami Roger Caillois, dla mnie jeden z największych współczesnych pisarzy i myślicieli. Owa *imagination juste*, to dla Caillois rzecz wyobraźni stanowiąca odpowiednik systemu odniesień, który przebiega przez scalone pole wszechświata. Nic innego nie mówi Mickiewicz: „Słuchaj, młody człowieku! W kaweczkach piosnka wieku Duchowi Twemu dzwoni, żeś wieczny, światowładny, oliwny, winogradny, myślący — już w jabłoni!”. Podkreślenie jest oczywiście moje, gdyż w finale właśnie widzę usprawiedliwienie pojęć takich jak

„duch”, „wieczność”, „władza nad światem”. *Wyobraźnia słuszna* to zatem, ta, która przetwarza w nowe przedmioty „wspomnienia” filogenezy żywiące sny ludzi, a również (jak twierdzi współczesna neurofizjologia) — sny zwierząt.

Caillois nazywał poezję „nauką o pleonazmach wszechświata” nauką drogiej Swedenborgowi „korespondencji”. Zaznaczał jednak, że bardziej od intuicji Swedenborga wzorem mu jest tu tablica pierwiastków Mendelejewa. W roku 1869, Mendelejew wykazał że wszechświat jest zbudowany z ograniczonej ilości pierwiastków, które nie są ułożone „byle jak”, stwarzają natomiast pewien system określonych odpowiedników. Tablica jego zawierała trzy luki, których nie mógł zapełnić żadnym znanym ciałem, ale określił z góry właściwości tych trzech ciał. W niespełna dwadzieścia lat później, te trzy hipotetyczne ciała zostały odkryte.

Od nauk ścisłych jestem daleki, ale ręczyłbym że „słuszna wyobraźnia” niemałą odegrała rolę w „odkryciu” DNA przez Jacques Monod, który tak często mówił mi o podobieństwie między intuicją badacza naukowego i intuicją artysty. Jeśli go tu wprowadzam, to nie tylko w celu zachowania symetrii w stosunku do książki o której piszę (co mi się wydało jedynym możliwym dla mnie podejściem do niej). Monod stanowi w pewnym sensie *bête noire* Miłosza w „Ziemii Ulro”, będąc zarazem „konsekwentnym materialistą” jako naukowiec i laickim moralistą. Jest w moim wywodzie przykładem przesadnej wagi, jaką przywiązuje Miłosz do poglądów, teorii, do ludzkiego intelektu w ogóle. Znałem go od dawna, byliśmy ze sobą po imieniu, co nie równa się we Francji polskiemu „przejściu na ty”, ale świadczyło 15 lat temu o sympatii wybitnego uczonego do znacznie młodszego, nieznanego polskiego uchodźcy. Od roku 1970 aż do śmierci Monoda w czerwcu 1976 byłem jego bliskim współpracownikiem w „Centre Royaumont pour une Science de l’Homme”, który założył w celu badania „natury człowieka” (a więc pojęcia drogiego Miłoszewi), choć podejście jego było tu bardziej redukcyjne. Widywałem go w tych latach niemal codziennie, często zachodząc do jego pięknego mieszkania na Boulevard de la Tour Maubourg na pierwsze śniadanie czy późny koniak wieczorem, gdyż cały dzień miał zajęty pracą w Institut Pasteur, którego był dyrektorem. Miłosz słusznie się dziwi, że Monod, „materialista konsekwentny... w ostatnim rozdziale wspomnianej książki (chodzi o „Le Hasard et la Nécessité”) ucieka w moralistykę naukowca, najwyraźniej sobie przecząc, albo mimowoli potwierdzając swoją tezę, że potrzeba wartościowania wpisana jest w kod genetyczny”. Nie ma jednak potrzeby sięgania aż do genetycznego kodu, wystarczy kod środowiska. Rodzina Monod, bardzo liczna, należy do klanu znanego we Francji pod inicjałami H.S.P.

— *haute société protestante*, do którego zaliczają się stare rody z arystokracji i wysokiej burżuazji, dumne że Reformy się nigdy nie wyrzekły, mimo wiekowych prześladowań. Środowisko to cechować ma, w socjologicznej mitologii Francuzów, wyczulony zmysł odpowiedzialności, pewien purytanizm, widoczny nawet w nie-nagannej, „dyskretnej” elegancji obyczaju i ubioru, duża kultura intelektualna, skłonność do anglomanii. Jacques wszystkie te cechy w pewnym stopniu posiadał, ale w przeciwieństwie do innych gałęzi swej rodziny, w której obfitują bankierzy i pastory, wychował się wśród artystów i sam był artystą z natury. Ojciec jego, zdolny i wrażliwy malarz, żonaty z Amerykanką, przyjaciel Renoira i Moneta, nie zrobił „kariery”, może dlatego że prawdziwą jego pasją było życie w atmosferze sztuki. W jego pięknym domu w Cannes z wielkim ogrodem czas upływał na kameralnych koncertach, szaradach, amatorskiej archeologii. Jacques był tak uzdolnionym wiolonczelistą, że długo się wahał między karierą naukowca i wirtuoza i do końca nie mógł żyć bez muzyki. Socjalista i racjonalista, był jednym z najbliższych przyjaciół Camusa, łączyła ich podobna pasja moralna, zrównoważona zmysłową miłością do życia w śródziemnomorskim stylu, a więc piękne dziewczyny, żagiel, sportowe samochody.

Dyskutowałem z nim często na różne tematy i powiedziałem mu kiedyś szczerze — rozumując jak Miłosz — że nie widzę żadnego związku między rygorem pierwszej części „Przypadku i Konieczności”, a „etyką naukowca”, którą proponuje w drugiej części. Jeśli mamy zerwać z „animistyczną tradycją”, ciągnąłem, logiczniejszy wydaje mi się „Kościół Międzyludzki” Gombrowicza. Ofiarowałem mu „Dziennik”, który go zafascynował. *Il est très fort, votre Gombrowicz*, orzekł stwierdzając jednak że to dla niego klimat za zimny i za ostry. Zaden z moich znajomych Francuzów nie okazywał tak czynnej solidarności w stosunku do uczonych, pisarzy, artystów, prześladowanych w Związku Sowieckim i innych krajach Wschodniej Europy. Nie ograniczał się do podpisywania protestów, gotów był zawsze wysłać zaproszenie, interweniować osobiście, dać czek jeśli nie udawało się inaczej sfinansować podróży czy pobytu gościa ze Wschodu. Niewielu zaangażowanych politycznie, wierzących katolików okazało w tej dziedzinie tyle rozumnego serca.

Miłosz pisze dziś wprawdzie w „Ziemi Ulro”, że docenia rolę „średnich temperatur” które zalecał Gombrowicz, ale czyni to właściwie tylko w odniesieniu do owego „Polaka-Katolika”, którego dawniej tak nienawidził. „Średnia temperatura”, to natomiast dla Gombrowicza przypomnienie, że żywioł ideologii jest w znacznym stopniu fikcyjny i stanowi cieniutką warstwę oleju na morzu ludzkiej egzystencji. Zbyt dużo znałem lewicowych re-

wolucjonistów, którzy byli reakcyjnymi mężami i kochankami, zapobiegliwymi chomikami w życiu codziennym, gorliwych katolików wpatrzonych we własny pępek, nawet — choć rzadziej — tolerancyjnych faszystów, żeby wierzyć że jakiegokolwiek „idee” mają wiele wpływu na nasze postępowanie. Nie mówię oczywiście o systemach władzy, które się nimi legitymują, gdyż tajna policja, cenzura, całkowita kontrola rynku pracy uniemożliwiają właśnie „średnie temperatury” i zmuszają ludzi do wyboru między degradującym oportunistem i odważnym oporem, na który zdobyć się mogą — na długą metę — tylko nieliczne jednostki.

7.

Dotarłem do tego punktu w mym artykule, gdy przeczytałem piękny tekst Stanisława Barańczaka o „Ziemi Ulro” w *Zapisie*. Przyznam że sprawił mi dużą przyjemność i ulgę, bo wyznaje podobne do moich trudności w podejściu do tej niezwykłej książki. Chętnie mu daruję, że pozbawił mnie zanotowanej „cody” artykułu, który chciałem zakończyć tą samą cytata z wiersza „Po Ziemi Naszej” („Gdybym miał przedstawić czym jest dla mnie świat...”) i w moim wypadku stanowiącą wyznanie jedynej „wiary” na jaką mnie stać. Cieszy mnie również to, że poeta i człowiek którego tak wysoko cenię, młodszy ode mnie o ćwierć wieku, stwierdza że jest „bliższy postawie którą w książce Miłosza symbolizuje Gombrowicz”. U Barańczaka dotyczy to religii, ale podobnie jak ja nie zgadza się on z twierdzeniem Miłosza, że jedynie wiara może ugruntować inną postawę od „obrony prawa jednostki do szczęścia czyli do spożywania”. Opiera się również miłoszowej krytyce „uroszeń Rozumu”. W tej dziedzinie można zauważyć w „Ziemi Ulro” pewną ambiwalencję. Przypisując źródła współczesnego zła kultowi rozumu, Czesław Miłosz podkreśla przecież do jakiego stopnia relatywizacja przestrzeni i czasu przez Einsteina została przez O. W. Miłosza odczuta jako początek „wielkiego zwrotu” i sam pod koniec swej książki wydaje się pokładać nadzieję w „nowej koncepcji nauki”.

Nowy obraz kosmosu jest bardzo różny od „absolutnej przestrzeni” Newtona — tak znienawidzonej przez Blake’a — a przecież chyba jeszcze mniej sprzyja centralnej pozycji człowieka. W ciągu ostatnich 20 lat, astrofizyka wahała się pomiędzy dwoma modelami wszechświata. Jeden z nich, wyłożony przez George Gamow w słynnej książce „The Creation of the Universe”, uzyskał nazwę „Big Bang” (model wielkiego wybuchu); drugi, broiony przez Fred Hoyle’a w równie słynnej książce pt. „The Nature of the Universe” znany jest jako *steady state* (model

stałego stanu). O zasadniczej różnicy między nimi mówią już ich tytuły. Według Hoyle'a, wszechświat nie został nigdy „stworzony”, nie ma początku ani końca, „od zawsze” się rozszerza w nieustannej ekspansji. Mimo że kategorie „rozumowe” nie mogą mieć żadnego zastosowania do „modelów wszechświata”, jasne że teoria stałego stanu jest mniej dla racjonalisty skandaliczna od Big Bangu, zakładającego „stworzenie”. Sęk w tym że w roku 1965 odkryto w całym wszechświecie krótkofalowe promieniowanie, niemożliwe do wytłumaczenia bez przypisania go elektromagnetycznemu żarowi, wytworzonemu przez pierwotny wybuch, z którego powstał kosmos. Niemal wszyscy astrofizycy zarzucili dziś model stałego stanu i zakładają że kosmos powstał dziesięć do dwudziestu miliardów lat temu, z niepojętej ognistej kuli, która na wszystkie strony wybuchła materią i energią i że od tego czasu jest w stałej ekspansji. Pasjonującą książkę o pierwszych trzech minutach wszechświata napisał młody astrofizyk z Harvardu, Stephen Wineberg („The First Three Minutes”, Basic Books, 1977). Na 188 stronach, śledzimy, jak na filmie, w odstępach ułamków sekundy, „materializację” wszechświata w odkryte przez Mendelejewa pierwiastki. Brakuje, rzecz prosta, pierwszej setnej części sekundy (najbardziej „skandalicznej”), tak jak brakowałoby ostatniej, gdyż nasz wszechświat jest prawdopodobnie jednym tylko z serii „wszechświatów”, ekspansja jego ma zapewne granice, nastąpi kiedyś zwrot w kierunku kondensacji, która doprowadzi do kolejnego „Big Bangu”, początku nowego wszechświata, rządzonego innymi prawami...

Ludzkość jest na tym „przejściowym” świecie rodzajem późnym i przejściowym, trwać będzie krócej od dinosaurów. Uprawiam tu „kosmologię kawiarnianą”, ale rola tych naiwnych wyobrażeń wszechświata stanowi ważny wątek „Ziemi Ulro”. Teoria Big Bangu nadaje nowy wydźwięk jednemu pytaniu metafizycznemu, które przemawia zarówno do ateisty jak do wierzącego. Mam na myśli cytat z „Lectio Brevis” Heideggera, który Józef Sadzik tak słusznie wprowadził do swej przedmowy do „Ziemi Ulro”: *Warum ist überhaupt Seiendes und nicht vielmehr Nichts?*

8.

Czytając trzy lata temu rękopis „Ziemi Ulro”, pamiętam niemal fizyczny szok (coś w rodzaju uderzenia w biegu o nieprzewidzianą przeszkodę), jakiego doznałem gdy Miłosz na ostatniej stronie pokłada swe nadzieje „odnowy” w teokracji. Któż mógł wówczas przypuścić, że jeden z krajów najdalej posuniętych na drodze do pełnego rozwoju przemysłowego poza idealnym „Za-

chodem”, rezerwuuar tej nafty od której zależy ruch wszystkich protez jakie sobie dorobił człowiek, a w dodatku kraj wyznający tego samego co „nasz” Boga Abrahama, Izaaka i Jakuba, dokona rewolucji w imię teokracji i wybierze ją jako oficjalny ustroj w rzekomych wyborach? A przecież ten paradoksalny nawrót Iranu w pokrewne naszemu Sredniowieczu pod wodzą fanatycznego starca jest tylko skrajnym przykładem kaprysów *Zeitgeistu*, który od wydania „Ziemi Ulro” wyraźnie się oddala od spaczonych ideologii wywodzących się z Wieku Oświecenia.

Sam Paryż intelektualny, w którym żyję (nawet jeśli w nim od dawna nie uczesniczę), w niczym już nie przypomina owego dawnego salonu gdzie lewicowość obowiązywała do tego stopnia, że „Zniewolony Umysł” wywołał zgorszony bojkot. „Ziemia Ulro” ukazała się niemal jednocześnie z pierwszymi książkami „Nowych Filozofów”. Trudno mi było wówczas zdać sobie sprawę dlaczego irytowały mnie ich truizmy, przeciw pozytywizm, podające jako rewelację splotoną wersję świadectw ludzi, z którymi byłem przed ćwierć wiekiem tak blisko związany, jak Michael Polanyi, Ignazio Silone czy Chiaromonte. Rozumiem to dzisiaj lepiej, śledząc rozwój nie tyle odnowy co nowej mody, podobnie jak *Haute Couture* wspieranej masowymi środkami przekazu. Z jednej strony brak poczucia hierarchii, dzięki czemu rzeczywiście ciekawa próba nowego spojrzenia na chrześcijaństwo René Girarda (filozofa oczywiście „starego”) ma „powodzenie” na tej samej zasadzie co retoryczne rojenia Bernard-Henri Levy, który w monoteizmie widzi jedyną broń przeciw ustrojom totalitarnym.

Jeszcze dotkliwiej raża mnie towarzyszące modzie nawrócenia, Philippe Sollers rozczarowany maoizmem i stawiający na mistycyzm, Julia Kristeva, w imię dobrze pojętego feminizmu, „rewolucji” i „mistyki” zarazem, broniąca nakazu noszenia czadoru przez kobiety irańskie. Niedalej jak wczoraj wieczór, 2 maja, byłem w Centre Pompidou, świątyni-rafinerii post-awangardy na Plateau Beaubourg, gdzie miała miejsce dysputa angelologiczna. Dywagacjom o mediacji aniołów przysłuchiwał się tłum kilkuset osób, zachęconych może tym, że po bizantyńskim happeningu goście byli zaproszeni do „Palace'u” najmodniejszego przybytku „disco” Punków i Rokerów.

Głębiej mnie niepokoi to, że wyrafinowanej modzie na „spirytualizm” w tej samej górnej cieniutkiej warstwie, która wydawała się skazana na dalsze kolejne wersje godzenia Marksa z Freudem, odpowiada gdzieś głębiej coś bardziej autentycznego i brutalnego, wzrost szowinizmu francuskiego, seria antysemitycznych zamachów, rosnąca wciąż wśród młodych w Europie fascynacja Hitlerem, stopniowe zatarcie różnic (dzięki Palestyńskiej Organizacji Wyzwolenia) między skrajnie rewolucyjną lewicą i neo-

faszyzmem. Jeśli tak odczuwam podziemne jeszcze seizmy w krajach o „najmniej złym” znanym nam dziś ustroju, ich groźba wydaje mi się jeszcze większa we Wschodniej Europie, żyjącej od lat pod przymusem groteskowej i ponurej fikcji „socjalizmu”.

Nie dlatego że jestem Polakiem (bo polski „kult osobowości” razi mnie nawet w stosunku do papieża), pokładam tu wiele nadziei w Janie Pawle II. Nigdy chyba nie był bardziej potrzebny na Tronie Piotrowym człowiek jego charakteru, mądrości, podobnie niezachwianej wiary, gdyż lepiej od zdyskredytowanej lewicy może niebezpieczeństwom tego rodzaju przeciwdziałać dobrze pojęta tradycja Kościoła Powszechnego. Utwierdziła mnie w tym przekonaniu lektura wierszy Karola Wojtyły w pięknym przekładzie angielskim Jerzego Pietrkiewicza (*Easter Vigil and Other Poems*, Hutchinson, 1979). Autor wierszy takich jak „Robotnik z fabryki samochodów”, „Robotnik z fabryki broni”, „Murzyn” (rozmyślnie pomijam jego równie głęboką poezję ściśle sakralną) może wskazać właściwy kierunek zarówno wierzącym, jak niewierzącym.

Zastanawiałem się nad tą ironią losu, który po ukazaniu się „Ziemi Ulro” — książki wyrażającej nadzieję „odnowy”, reżyseruje coś w rodzaju karykaturalnego jej zarysu. Odpowiedź na te wątpliwości znalazłem w świetnej książce Krzysztofa Michalskiego, „Heidegger i filozofia współczesna” (P.I.W., 1978). W tekście pt. „Koniec filozofii i zadanie myślenia” pisze Heidegger: „... myślimy tu o następującej możliwości: być może kiedyś rozpoczynająca się dopiero ogólnoswiatowa cywilizacja wyzwoli się ze swej techniczno-naukowo-przemysłowej postaci, która dziś bez reszty określa pobyt człowieka w świecie. Nie robi tego sama z siebie i bez niczyjej pomocy — lecz opierając się na gotowości człowieka do podjęcia wezwania, które zawsze, słyszane czy nie, apeluje do nierozstrzygniętego jeszcze ludzkiego losu”.

Myślę że takie należy przypisać znaczenie miłoszowej „odnowy”. Perspektywa jej jest daleka, ale jedynie ona może nas uchronić przed podwójnym mieczem damoklesowym, który Raymond Aron nazwał kiedyś *la Bombe et le Nombre*.

9.

Zacząłem od poezji i na poezji zakończę. Nawiązywałem już tutaj do przedmowy Józefa Sadzika, który zestawiając Miłosza z Heideggerem dostarczył mi ważnego klucza. Sadzik cytuje w niej słynne zdanie Heideggera z „Listu o Humanizmie”: *Das Stehen in der Lichtung des Seins nenne ich die Ek-sistenz des*

Menschen. Od polskiego tłumaczenia Sadzika wolę przekład Michalskiego: „Stanie w prześwicie bycia zwę ek-sistencją człowieka”. Sadzik przypomina że język jest dla Heideggera „domem bytu” i że stróżami tego domostwa są poeci: „stróżowanie ich polega na ukazywaniu tego co prawdziwie jest, na nazywaniu rzeczy ich własnym imieniem”.

Współczesna poezja zachodnia często wydaje się powoływać na Heideggera niemal świadomie. Ma wielką nostalgię prześwitu bycia. Jej misterny układ graficzny, izolowane słowa są same w sobie nostalgią rzeczy, jakby znakami ich szorstkości, zwirom na alei kiedy padają nań pierwsze promienie słońca. Ale w naszym „czasie marnym”, ta wstydlivość przed powiedzeniem czegokolwiek wprost zbyt często przypomina sztuczki iluzjonisty, którego sekret przejrzelśmy.

Od dwudziestu z górą lat polska poezja przemawia innym językiem, bliższym prawdziwego doświadczenia jednostki ludzkiej (i jej bezradności wobec tego doświadczenia), a jest to w ogromnej mierze zasługą Czesława Miłosza. Zaznaczyłem na wstępie, że poezja Miłosza istnieje dla mnie w innym wymiarze od jego przekonań. Ale wydaje mi się że silniej jeszcze od „Ziemi Ulro” stanowi wezwanie do odnowy w sensie heideggerowskim.

K. A. JELEŃSKI

W bieżącym miesiącu ukaże się
w „BIBLIOTECE KULTURY”
nowa książka

CZESŁAWA MIŁOSZA

OGRÓD NAUK

Jesienią br. ukaże się wznowienie (3-cie wydanie)

George'a ORWELLA

1984

w tłumaczeniu JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO
ze Wstępem M. BRONSKIEGO.

Jeszcze o Argentynie

Jestem we „Fragacie”, która należy do gombrowiczowskiej mitologii. Sączę *cafecito* — jakże smakuje po lurze nowojorskiej! — przy tym samym stoliku przy oknie, które przez długie lata było moją bazą podczas dziennikarskiego krążenia po śródmieściu Buenos Aires. Zjawiałem się tu zawsze w południe na półtorgodzinne „urzędowanie”. Przy stoliku Gombrowicza — w połowie drogi między kasjerem a toaletami — nudzi się piekielnie jakaś rodzina wyglądająca na turystów z prowincji: rodzice i dwoje dzieci. Za moich czasów popijaliby Coca Colę w specjalnym „rewirze” zarezerwowanym *Para familias y señoras acompañadas*. Nie ma już tego w żadnej kawiarni. Kochankowie i rodziny mieszają się z resztą bywalców. Emancypacja kobiet zlikwidowała tę tradycję. *Cafecito* podrożało od moich czasów dziesięciokrotnie. Wyzwolenie kobiet i skutki zawrotnej inflacji rzucają się najbardziej w oczy na pierwszym etapie mojej wędrówki w poszukiwaniu utraconego czasu.

Kiedyśmy tu zjechali w latach 1947/48 dolar wart był cztery pesy. Teraz wymieniam zielone otrzymując za każdego przeszło sto tysięcy pesów. Mam pełne kieszenie banknotów, co jest dziwnym uczuciem, bo w Nowym Jorku wychodzi się na miasto najwyżej z dwudziestodolarowym papierkiem.

Zmienił się też we „Fragacie” komplet *mozos* — kelnerów. Nie ma już nikogo z weteranów. Od obsługującego mnie dowiaduję się, że Gombrowicza i mój faworyt, Marokańczyk Ben Simon, pracuje teraz w kafejce San Carlos koło mostu Saavedra. Tam może krążyć na zwolnionych obrotach, bo platfusy byłego kaprala Legii Cudzoziemskiej nie wytrzymały już tempa „Fragaty”.

Kiedy ja tu przychodziłem, „Fragata” miała *ambiente* intelek-

tualne i wielkoświatowe. Teraz bywalcy w 90-ciu procentach rekrutują się z waluciarzy. Znamienny znak czasów. Znajduję się na rogu legendarnej Avenidy Corrientes i Calle San Martin, w samym pępku dzielnicy kantorów wymiany. Bo teraz klasa średnia żyje wpatrzona w kursy walut. Ucieka przed pesami do dolarów, marek i franków szwajcarskich, co pozwala im obronić się przed morderczą inflacją. Kluczowym słowem jest *indexacion*: ludzie umieszczają swe pesowe oszczędności na trzy lub sześciomiesięczne depozyty, które banki *indeksują* — czyli wliczają dodatkowo procent inflacji. Jeśli ktoś ma głowę na karku i dobre nogi na wystawanie przed okienkiem bankowym, to może wyjść obronną ręką z tej szermierki z inflacją, a nawet zarobić. Po wyciągnięciu pesów plus odsetki wraca się do twardej waluty, żyjąc z zarobionej nadwyżki. Grę tę umożliwiał spadek dolara na giełdach światowych.

Nie widać kryzysu. W godzinach szczytu nie można dostać stolika w restauracjach, a te najdroższe mają największe powodzenie. Jest to jeszcze ciągle kraj bardzo bogaty. W kantorach wymiany na kontuar sypią się góry dolarów.

Gombrowicz zjawiał się we „Fragacie” o 9-tej wieczór. Spotykał się z Di Paola, Juan Carlosem Gomezem, Marianem Betelu i Alejandro Russovichem. Przed północą udawał się do pobliskiego klubu szachowego nad kinem „Rex”, gdzie królowali dwaj mistrzowie rodem z Warszawy: Najdorf i Friedman. Tego ostatniego Gombrowicz doprowadzał do szału swymi ekstrawaganckimi powiedzeniami i intonacją głosu. Friedman jeszcze ciągle działa, a Michał Najdorf, mimo dobrze posuniętej siedemdziesiątki jest *lucido* nad szachownicą i nie przestał należeć do ekstraklasy. Podczas niedawnej Olimpiady w Buenos Aires reprezentował Argentynę. Otoczony jest tutaj wielką czcią.

Czekam na pułkownika Władysława Michniewicza. Należy do pierwszych osób, do których zatelefonowałem po przybyciu do Buenos Aires. Czuję do niego wielki sentyment i respekt. Znamy się jeszcze z Korpusu. Stał na czele naszej *dwójki*. Odznaczał się zdrowym rozsądkiem i pomimo swej „wojskowości” był „niewojskowy” w sposobie bycia. Poznałem go w dość niezwykłych okolicznościach, podczas kampanii włoskiej, gdzieś między San Giorgio i Anconą. Posuwaliśmy się powoli od jednego kanału irygacyjnego, bronionego przez spieszonych niemieckich spadochroniarzy, do drugiego. Pewnego dnia przestałem do Londynu kablem opis zdobycia przez naszą piechotę wielkiego sadu. Zanim tam dotarła moździerz rozwalili pasiekę. Podkoloryzowałem trochę relację obrazkiem uciekających Niemców, pokłutych przez pszczoły. Następnego dnia pod wieczór otrzymałem w kwaterze prasowej wiadomość, że mam się natychmiast stawić

u płk. Michniewicza. Przyjechałem do niego późną nocą. Czekał na mnie w swoim namiocie. Przywitał się ze mną grzecznie i był wyraźnie zażenowany. Szukał odpowiedniego klawisza jak zacząć rozmowę. Jego przyśpiewka kresowa złagodziła OPR, który miał mi przekazać na rozkaz z góry. Okazało się, że generał Bronisław Rakowski pilnie słuchał dziennika polskiego w londyńskim radiu i moich relacji z frontu. Opis bitwy o pasiekę wprowadził go z równowagi. Doszedł do wniosku, że obraz Niemców „dobijanych” przez włoskie pszczoły pomniejsza wysiłek wojenny polskiego żołnierza. Wyraz twarzy płk. Michniewicza dawał niedwuznacznie do zrozumienia, że nie podziela oburzenia generała. Powiedział, że na przyszłość powinienem być ostrożny. Rakowski domagał się cenzury moich kabli przez *dwójkę*. Ale płk Michniewicz nie wprowadził tego w życie, bo rozumiał że w warunkach frontowych straciłbym dwa dni na jazdy z *Press Campu* do niego, a startałem do radiostacji nadawczej, znajdującej się w Ósmej Armii brytyjskiej.

Zjawił się na spotkanie we „Fragacie” punktualnie. Amerykanie mają na taką sylwetkę określenie *bear of a man* — imponująca figura, jeszcze ciągle posuwająca się sprężystym krokiem. Nie podcięła go tragiczna śmierć syna, ani długa batalia prawna z byłym współnikiem, inżynierem Cieślukowskim, z którego ojcem założył firmę instalacji sanitarnych. Jest on naszym ostatnim *James Bondem*, bo przed wojną wysłany był na głębokie misje do ZSSR, wracając zawsze z sowieckiego *zimna*.

Byliśmy chyba jedynym stolikiem we „Fragacie”, przy którym nie mówiło się o kursie dolara. Wróciliśmy wspomnieniami do kampanii włoskiej, bitew o Monte Cassino, Piedimonte, co do których taktycznego rozegrania miał zawsze duże zastrzeżenia. Zwłaszcza natarcia czołgów dowodzonych po kawaleryjsku przez płk. Bobińskiego po skałach w górę pod Piedimonte. Zluzował go na stanowisku szefa II-go Oddziału płk Bąkiewicz, któremu nie odmawia zalet i zasług, podkreślając jednak, że był to *dwójkarz* od zadań analitycznych, a nie akcji.

Wspomnienia i scenaria rozmarzyły mnie. Żegnam go ze wzruszeniem, które udziela się też płk. Michniewiczowi. Skręcam w San Martin, a on idzie po Corrientes. Odprowadzam wzrokiem jego sylwetkę i dziwnie mi się robi na duszy.

Bardzo szybko ulega się tellurycznemu uroczeniu Buenos Aires. Może przez to, że będąc na końcu świata działa silniej, niż gdziekolwiek indziej. Poeta Alberto Girri, który należał do zespołu tłumaczy „Ślubu”, ma dla Argentyny metaforę Atlantydy, ładu wynurzającego się pod biegunem południowym. Jednocześnie Buenos Aires jest jedną z największych stolic świata, bardziej elegancką i europejską od Nowego Jorku, Rio de Janeiro, a nawet

Lizbony i Madrytu. Dzieli ją 11 godzin lotu od Nowego Jorku, ale to nie mierzy prawdziwego oddalenia. Żyje się rytmem dnia wczorajszego, na co już nie można sobie pozwolić ani w USA ani w Europie Zachodniej. Emocje mają ciągle jeszcze pierwszeństwo przed pragmatyzmem. Nie istnieje tu uczucie wyobcowania. Zamiast do psychoanalizy idzie się tutaj na róg do kawiarni, gdzie za cenę jednego *cafecito* człowiek pograża się w ciepłe kontakty ludzkich. Nazajutrz po wylądowaniu zaczyna się zapominać o reszcie świata i właściwie zapatrywać się na niego obojętnie. Na to, by to dobrze zrozumieć, albo trzeba się tutaj urodzić, długie lata pomieszkać, albo pochłonąć Borgesa, Bioy Casares, Roberta Arlt i Gombrowicza.

Przygotowując się psychicznie do podróży, pisząc wspomnienia o Argentynie, sięgając nieustannie do „Dziennika” Gombrowicza, rosło i utrwalalo się we mnie przekonanie, że jest on w tym samym stopniu pisarzem polskim co buenosajresowskim. Nosiłem się z zamiarem „wypróbowania” mojej koncepcji na jego tutejszej „paczce”. Zrobiłem to odkrywając, że oni własnymi drogami doszli do tego samego odkrycia. Rozmawiałem na ten temat z Di Paola, Mariano Betelu, Alejandro Russovichem i z najstarszym z nich — Roger Plá. Tego samego zdania jest Alicja Giangrande, warszawianka, żona rzeźbiarza Silvio Giangrande. Na ich cudnej, pełnej poezji *quincie* w Hurlingham pod Buenos Aires bywał często Gombrowicz. Z paczki argentyńskiej wydaje mi się, że najlepiej go znał Russovich, Argentyńczyk jugosłowiańskiego pochodzenia, który na przyjazd Jarosława Iwaszkiewicza do Buenos Aires wyuczył się jednego z jego wierszy. Był to kawał przygotowany przez Gombrowicza, który chciał pokazać Eleuterowi do jakiego stopnia jego poezja jest znana w Argentynie. On też wie najlepiej o pisarstwie Gombrowicza, bo organizował zespoły tłumaczy „Ferdurdurke” i „Ślubu”. Bynajmniej nie jest zaskoczony kiedy mówię, że z własnego doświadczenia wiem, iż wszystko co Gombrowicz napisał w latach 50-tych przekłada się płynnie na argentyński, który w jakiś przedziwny sposób oddziaływał na jego polską prozę. Celowo piszę — na argentyński. Jest on inny od hiszpańskiego, którym mówi się w europejskiej *Madre Patria* i inny od tego w reszcie Ameryki Łacińskiej. Jest to język ludzi szybko myślących, dowcipnych, siejący metaforami, wzbogacony zwrotami włoskimi, katalońskimi, *xeneize* — czyli z Genui.

Russovich i Di Paola twierdzą, że ich pokolenie i następne znajdują się pod wpływem Gombrowicza, i że teraz, kiedy *establishment* literacki skupiony wokół niewychodzącego już czasopisma *Sur* wykrusza się — właśnie umarła Victoria Ocampo, z którą Witoldo toczył boje — wpływ mistrza na młodych pisarzy argentyńskich będzie jeszcze bardziej *penetrante*. Dziesięć

lat minęło od jego zgonu. Twierdzą, że przed śmiercią Gombrowicz marzył o powrocie do Argentyny i nawet szukali dla niego mieszkania.

Rita Gombrowicz, której pobyt w Buenos Aires zbiegł się z moim, nie neguje tego ani nie potwierdza. Opowiada jednak, jak bardzo tęsknił za miastem nad Rzeką Srebrną, która jest koloru lwiej sierści. Na kilka tygodni przed śmiercią miał wielkie trudności z oddychaniem. Zainstalowała mu w pokoju wentylator, by jego wibrowaniem wytworzyć ciąg powietrza. W pewnej chwili widząc wyraz dziwnego napięcia na jego twarzy spytała, czy może ma to odwrotny skutek i przeszkadza mu. *Nie* — odpowiedział. — *Zostaw, przypomina mi Buenos Aires...* W starym pensjonacie na Calle Venezuela w lecie bez przerwy szumiały zawieszzone u sufitu olbrzymie wentylatory, używane w krajach tropikalnych.

Rita Gombrowicz, zbierająca materiały do biografii o Gombrowiczu, nie ma łatwego zadania w Buenos Aires. Niektórzy, nie chcąc się przed nią wynętrzać na temat Gombrowicza jak na przykład właścicielka pensjonatu przy ulicy Venezuela, 80-letnia p. Szulc, która podobno zamarła z wrażenia, kiedy strzelista — podobna do gwiazdy filmowej Julie Christie — francuska Kandyjka przedstawiła się jako wdowa po jej sublokatorze. Nie ma zaś trudności z członkami jego „paczki” argentyńskiej. Sesje na tematy gombrowiczowskie odbywają się w przytulnej atmosferze domowego ogniska Haliny i Krzysztofa Grodzickich, z których gościny korzysta Rita. Nie byłoby to w żaden sposób możliwe w Nowym Jorku. Dom Grodzickich jest bez przerwy otwarty dla gości. Przybywają bez uprzedniego zawiadomienia i jak tylko zjawiają się wjeżdża butelka wina i coś *para picar* — drobne smakołyki na wykałaczkach.

Buenos Aires idealnie nadaje się na poszukiwanie utraconego czasu, bo właściwie mało się zmienia. Zastygło w czasie. Transformacje nie dotyczą jego rdzenia. Ani nowe wieżowce, ani pasaze zwane tutaj *galerias*, ani przedłużona Avenida 9 de Julio, tak szeroka że mogłyby na niej lądować jednocześnie dwa Boeingi 747, nie zmieniły metafizyki w sensie Borgesa.

W Nowym Jorku dzieje się zupełnie inaczej. Na przykład taki zakątek jak Greenwich Village, albo dzielnica Chelsea, Gramercy przeobraziły się gruntownie w przeciągu ostatnich piętnastu lat — zupełna zmiana dekoracji i aktorów.

W Buenos Aires nie ma amerykańskiej mobilności. Odnalazłem mojego fryzjera, Włocha Luigi przy tym samym fotelu, na którym mnie ostrzygł na pożegnanie kilkanaście lat temu. Rzuciliśmy się sobie w ramiona. Zaprosił mnie do siebie na kolację i jak tylko dokończył klienta, wyskoczył ze mną na rytuał *cafecita*.

Mój pobyt w Buenos Aires płynął dwoma nurtami: argentyńskim i polskim. Przyjechałem tu na rozmowy z moją redakcją tygodnika *El Economista*, który reprezentuję w USA. Założony w 1951 roku przez byłego premiera Jugosławii doktora Milana Stojadinowicza stał się bardzo wpływowym niezależnym głosem w dziedzinie finansów i polityki. W stosunku do rządów prezydenta Videli jesteśmy ustawieni sceptycznie, zwłaszcza jeśli chodzi o politykę gospodarczą ministra Martinez de Hoz — zwolennika konserwatywnej polityki monetarnej szkoły chicagowskiej, którą uosabia profesor Milton Friedman. Ale *El Economista* całkowicie popiera Videlę jeśli chodzi o walkę junty wojskowej z dywersją. Na podstawie fragmentarycznych i bardzo powierzchownych relacji prasowych trudno sobie w Europie i w Ameryce przedstawić obraz wojny domowej, jaka się tutaj rozgrywała. Mam wrażenie, że łatwiej to zrozumieć mając bardzo aktualny przykład tego, co się stało i co jeszcze będzie w Iranie. Istnieje bowiem analogia między Argentyną i Iranem. I tu i tam ferwor i terror rewolucyjny narodził się na uniwersytetach, wśród synów klasy średniej, która w czasie procesu szybkiego uprzemysłowienia dorobiła się w Argentynie pod Peronem, a w Iranie pod szachem. W obu wypadkach Zachód traktował te ruchy pobłażliwie, bo były skierowane przeciwko symbolom wywołującym antypatię: cesarz megaloman w Teheranie — niezbyt zręczna w swych politycznych i propagandowych poczynaniach junta wojskowa w Buenos Aires.

W Argentynie dwa pokolenia uległy radykalizacji, gdy newralgiczne katedry filozofii, socjologii i historii objęli marksiści hiszpańscy, których prawicowy zamach stanu gen. Franco zmusił do ucieczki za Atlantyk. Jeszcze za moich czasów Wydział Filozofii był bastionem komunizmu i *anti-imperialismo*. Ich to wychowankiem był *Che* Guevara.

W wypadku Iranu, jak to niedawno podkreślił przedstawiciel amerykański w ONZ, Andrew Young, radykalizacja nastąpiła na uniwersytetach amerykańskich. Nie pozbawionym ironii jest fakt, że działo się to za pieniądze szacha, bo olbrzymi procent masy studenckiej, obliczanej na około 60 tysięcy, otrzymywał stypendia rządowe. Ciągnęło ich do Kalifornii, gdzie campusy były kolebką wrzenia rewolucyjnego różnych frakcji lewackich. Wiemy teraz, że ich mentorami byli studenci i profesorowie palestyńscy i libańscy. Jest coś prawdy w twierdzeniu, że szach przegrał tron w Kalifornii.

W jednym i w drugim wypadku — argentyńskim i irańskim — ekstremiści chcieli dorwać się do władzy wykorzystując adopcję i popularność wśród mas charyzmatycznego *ayatollah*. W Iranie dla Khomeini'ego, w Argentynie dla Perona, którego niektórzy zwolennicy chcieli kanonizować za życia. Obaj działali zdalnie:

ayatollah Khomeini z Paryża, *ayatollah* Juan Peron z Madrytu. Franco pozwalał mu na to z mniej więcej tych samych powodów co Giscard D'Estaing.

W języku hiszpańskim istnieje soczyste słowo, które nie ma odpowiednika w polskim — *copar* — oznaczające posługiwanie się „frajerem” na pierwsze uderzenie, a następnie uchwycenie władzy przy pomocy podstępny i lepszej organizacji. Na przykład bolszewicy „wy-copali” Kiereńskiego. Zdając sobie sprawę, że Juan Peron cierpi na arteriosklerozę i jest *gaga*, Montoneros byli o krok od wyrwania mu władzy terrorem, który wzmogli od dnia jego powrotu do Buenos Aires. Nie zdołali rozłożyć armii, lotnictwa i marynarki, co w pełni powiodło się w Iranie. Ich zwycięstwo w Buenos Aires zamieniłoby całą Amerykę Łacińską w jeden olbrzymi Iran.

Argentyna nie uniknęła jednak krwawej wojny domowej, która rozgrywała się w atmosferze karygodnej obojętności całego świata. Kiedy *czerwone brygady* zamordowały Aldo Moro, to podniosło się *larum*, bo był to polityk postulujący „historyczny kompromis” chrześcijańskich demokratów z komunistami i kandydat tego porozumienia na prezydenta Włoch. Natomiast kiedy Montoneros porwali i zamęczyli na śmierć byłego prezydenta Argentyny generała Eugenio Aramburu, to prasa światowa nonszalancko przeszła nad tym do porządku dziennego, socjaliści austriaccy otwierali przed Montoneros drzwi do Drugiej Międzynarodówki, a Mitterrand udzielał gościny ich przedstawicielowi w Paryżu. Wpływy ich są wielkie, bo dysponują oni olbrzymimi kapitałami nagromadzonymi z okupów. Za samo zwolnienie dwóch braci Born, właścicieli jednej z trzech największych firm handlujących zbożem, otrzymali 60 milionów dolarów. Za pośrednictwem usługowych finansistów zainwestowali te fundusze w USA, nabywając w Nowym Jorku kontrolę dwóch banków. Kiedy dwa lata temu rząd argentyński to ujawnił, prasa amerykańska zignorowała to, bo co mówią wojskowi, z góry jest „trefne”. Teraz ta sprawa nabrała w Nowym Jorku wielkiego rozgłosu, gdyż koncern prasowy Ruperta Murdocha chcąc uderzyć w bardzo tam wpływowego adwokata, mediatora w sprawach strajkowych, Theodore Kheel'a, wypomnił mu, że to właśnie on pilotował na Wall Street finansiste, podstawionego przez Montoneros, i dobrze na tym zarobił.

Nie mam najmniejszego zamiaru upiększania sytuacji w Argentynie pod rządami junty wojskowej. Staram się ustawić to, co działo się tutaj, w odpowiedniej perspektywie, dostarczyć elementów aby teraz, w świetle Iranu, każdy mógł sam wyrobić sobie pogląd na te sprawy. Na przykład — nie znajduję w prasie amerykańskiej ani słowa potępienia dla sądów kapturowych w Teheranie.

Naczelna argentyńska organizacja dziennikarska, do której należą moi koledzy z *El Economista* i z innych redakcji, protestowała i protestuje przeciwko rządowej polityce ograniczania wolności prasy, aresztowi domowemu byłego redaktora naczelnego gazety *La Opinion*, Jacobo Timermana, którego dawno powinni wypuścić przez co uniknęliby kreowania go na męczennika i symbol, co — między nami — zupełnie do niego nie pasuje. Zamierzał on w Nowym Jorku, za pieniądze ze źródeł Montoneros, wypuścić konkurencję dla *The New York Times* — dziennik komentarzy politycznych, wzorowany na paryskim *Le Monde*. To oczywiście nie usprawiedliwia trzymania go kilku lat w areszcie bez rozprawy sądowej.

Zwolenników „silnej ręki” — *linea dura* — wśród argentyńskich wojskowych usztywnia w ich poglądach to, co odbierają jako hipokryzję Departamentu Stanu w zakresie praw człowieka. Mają w tym trochę racji. Prawda jest jednak zawsze po środku. Aby to zilustrować opowiem o mojej wizycie w ambasadzie amerykańskiej w Buenos Aires, dokąd udałem się aby odwiedzić dawnych kolegów, z którymi przez kilkanaście lat pracowałem w sekcji prasowej United States Information Agency. Ambasada ze śródmieścia przeniosła się do innej dzielnicy, zwanej Palermo, gdzie mieści się w budynku na terenie niezabudowanym, co ułatwia jej strzeżenie. Gmach wygląda jak twierdza oszańcowana na każdym rogu bunkrami. Przedstawiłem mój paszport USA strażnikom — jeden był jeszcze z moich dawnych czasów i poznał mnie. Mimo to przeszedłem przez całą procedurę obmacywania od stóp do głów specjalnym elektronicznym „odkurzaczem”. Wychodzi się stamtąd z paradoksalnym uczuciem. Jeśli amerykańscy dyplomaci do tego stopnia się boją, to znaczy że w ich odczuciu sytuacja jest groźna, *ergo* usprawiedliwiłoby to zarządzenia junty. Jednocześnie jednak Biały Dom i Departament Stanu potępiają Argentynę za to, że nie przywraca pełnej wolności i nie ułaskawia Montoneros i członków ERP (*Ejercito Revolucionario Popular*). Dlaczego tak się dzieje? — *There is no easy answer to it* — powiedział mi jeden z dyplomatów amerykańskich, przyparty do ściany moim pytaniem. Nie ma łatwej odpowiedzi na te sprzeczności. Zgadzam się z nim. Być może jestem uprzedzony na korzyść w stosunku do Argentyny. Przyznaję — trudno być całkowicie obiektywnym w stosunku do miasta, w którym czuję się jak w domu, gdzie z jednych objęć wpadam w drugie, gdzie właściciel kiosku ze słodyczami poznaje mnie po tyłu łatach i żegnając się wpycha dla córki kilka czekoladowych wafli, bo ciągle pamięta, że przepadała za nimi będąc dziewczynką. Czuję obowiązek lojalności w stosunku do kraju mówiącego językiem, w którym często myślę i śnię, a na jawie bez trudu piszę.

Poza ambasadą amerykańską — atmosfera całkowitego relaksu. Jaka ulga po Nowym Jorku. Wracam o drugiej w nocy bez obawy przed każdym cieniem. Przywiozłem „zaprogramowaną” w sobie nowojorską niechęć do kolejki podziemnej. Pewnego dnia prze mogłem ją. Buenosajresowskie *subte* to salon w porównaniu z naszym *subway*. Pojawienie się wyrostków nie wywołuje paniki, ściany nie są zamazane *graffiti*. Już słyszę ironiczną uwagę: Aha, w Moskwie jest kolejka najbardziej wytworna... Ale wiercie mi, że tu to sprawa zupełnie innego wymiaru. Jest wytworem wewnętrżnej potrzeby tych ludzi, stosunku człowieka do człowieka.

Wracam do nurtu polonijnego. Oczywiście odwiedziłem Dom Polski na Calle Serrano. We wtorki można tam spotkać wszystkich tych, którzy „liczą się” w polskim Buenos Aires. Atmosfera w restauracji przypomina trochę londyńskie „Ognisko”. Tak jak i tam starszyzna wojskowa zajmuje osobny stolik, przy którym rozgrywa się dawne bitwy, stare i nowe animozje. Odkryłem przy nim pułkowników: Zawiszę, Grabowskiego, zdobywcę Predappio Aleksandra Florkowskiego, komandora Januszewskiego. Przy barze Zbyszka Piątkowskiego, Kota Hartingha. Na górze młodzież pod kierunkiem Eli Niewiadomskiej tańczyła góralskiego, przygotowując się do występów w Mar del Plata. Tutaj także ogarnia mnie wrażenie, że oglądam z lekka podretuszowaną fotografię. Zniknęły z niej niektóre postacie, ale nastrój ten sam. Piątkowski bardziej siwy i okrągły, ale jeszcze ciągle „pistolet”, Hartingh zawsze z tym samym apetytem, Olek Florkowski tak samo rozmowny — perorując kładzie głowę na ramieniu, jakby za chwilę miał zagrać na skrzypcach. Nie ma już redaktora Romana Dąbrowskiego, ale *Głos Polski* dalej wychodzi. Dochodzi mnie stuk linotypu. To coś nowego dla mnie — za moich czasów składało się na mieście. Ela Niewiadomska jeszcze ciągle piękna i młodo wyglądająca. Kiedy opowiadam, że jej dawne uczennice w USA z nostalgią wspominają pierwsze kroki taneczne pod jej kierunkiem, stara się odkaskać wzruszenie chwytające ją za gardło. „Naprawdę, nie zapomniały o mnie?” — mówi. Spotkanie z nią dodaje głębi moim poszukiwaniom utraconego czasu, gdyż sięgają poza Buenos Aires. Pamiętam ją popisującą się przed królową matką w Bagdadzie podczas galowego przedstawienia teatru *Polish Parade* dla rodziny królewskiej, dam dworu i pań z arystokracji. Nie ma już regenta Abdul Illaha, króla Feysala, premiera Nouri Paszy, zamordowanego podczas rewolucji (uciekł przebrany za kobietę). A Ela jeszcze ciągle działa. Zagaduję jednego z jej uczniów. Ma siedemnaście lat, mówi bębzdłędnie po polsku. Matka z nowej, naszej emigracji — ojciec z przedwojennej. W USA takie wypadki są rzadkością, ale tutaj nie jest to wyjątkiem. Jeśli tych czterdziestu młodziutkich tan-

cerzy i tancerek odzwierciedla polskie życie w Argentynie, to znajduje się ono na bezpiecznym kursie. Zwłaszcza teraz, kiedy Polacy chodzą w glorii polskiego Papieża, cieszącego się w Argentynie olbrzymią popularnością. Mediacja Watykanu zapobiegła wojnie między Argentyną a Chile. Mój pobyt zbiegł się właśnie z najbardziej dramatycznym momentem tego konfliktu. Wdzięczność Argentyńczyków jest bezgraniczna.

Spytacie mnie, jak się powodzi Polakom w Argentynie nekanej przez trzycyfrową inflację. Zapytani o to rodacy odpowiadają, że coraz ciężiej jest wiązać koniec z końcem. Narzekają. Jednym się powodzi lepiej, drugim gorzej. Panuje drożyzna. Oprócz obuwia wszystko jest tu znacznie droższe (w przeliczeniu na dolary) niż u nas w Nowym Jorku. Najbardziej dotkliwie odczuwają to starzy. Istnieją dwa rodzaje emerytury. Tym, którzy przepracowali kilkanaście lat w dużych firmach sumiennie wnoszących wpłaty na fundusz emerytalny, powodzi się na ogół dobrze. Na przykład Konstanz Hartingh, który ma za sobą dwadzieścia kilka lat przepracowanych w charakterze magazyniera u tamtejszego Mercedes Benza, otrzymuje z *Caja de Jubilacion* emeryturę w wysokości około 500 dolarów. W dużo gorszej sytuacji znajdują się ci, którzy mieli jakieś małe przedsiębiorstwa, warsztat chałupniczy, lub coś w tym rodzaju. Ich emerytura wynosi tylko około 100 dolarów i w żaden sposób nie wystarcza — muszą dorabiać, jeśli im stan zdrowia na to pozwala. Na przykład 80-letni, ale doskonale się trzymający komandor Januszewski „freelansuje” jako kreślarz. Wprawdzie rząd co jakiś czas podnosi stawki emerytalne, ale inflacja zawsze je wyprzedza o kilka dobrych długości. Niektórych zmusza to do powrotu do Polski, albo do łączenia się z rodzinami w Stanach Zjednoczonych lub w Kanadzie. Tak jak na przykład weteran obrony Tobruku, płk Karol Angerman, który z San Isidro pod Buenos Aires przeniósł się do córki do Pittsburgha. Ale gdziekolwiek są, tęsknią za Argentyną. Jeśli początkowe lata tam spędzone uważali za stracone, to bardzo szybko w nowym środowisku zmieniają zdanie. Tak było i w wypadku Gombrowicza, kiedy zaszumił mu wentylator.

Zdzisław B A U

Gołębie

Po śmierci żony profesorowi Władysławowi Eibeschutzowi zostały już tylko jego książki i ptaki. Jako profesor historii na Uniwersytecie Warszawskim podał się do dymisji, bo nie mógł ścierpieć chuligaństwa korporantów spod znaku Orła Białego. Przychodzili na wykłady w swoich wyszywanych złotem korporanckich czapkach, uzbrojeni w ciężkie lagi, zawsze gotowi do prowokowania bijatyk. Dla jakichś powodów, których profesorowi Eibeschutzowi nigdy nie udało się dociec, przeważały wśród nich rumiane gęby, pryszczate karki, zadarte nosy i kwadratowe szczęki, jak gdyby wspólna im nienawiść do Żydów zamieniała korporantów w jedną rodzinę. Nawet ich głosy brzmiały tak samo, kiedy żądali, aby Żydzi siedzieli osobno, w getcie ławkowym.

Władysław Eibeschutz miał skromną emeryturę. Starczyło jej zaledwie na komorne i jedzenie, ale czy staremu człowiekowi potrzeba czegoś więcej? Gospodynią profesora była na wpół niewidoma Tekla, kobieta ze wsi. Od dawna już obywatela się bez pensji. Obywali się też oboje bez zębów, dzięki gotowanym przez nią pożywnym zupkom. Zbędna im była również nowa garderoba czy obuwie. Z dawnych czasów zachowało się dość ubrań, palt, wytartych futer i sukien po nieboszczce profesorowej. Wszystko to starannie zabezpieczone przeciw molom.

Biblioteka profesora rozrastała się latami — półki na wszystkich ścianach były wyładowane od podłogi do sufitu. Książki i rękopisy piętrzyły się też we wszystkich szafach na ubrania, w kufrach, w piwnicy i na strychu. Dopóki żyła pani Eibeschutz, usiłowała od czasu do czasu zaprowadzać jakiś porządek. Książki były otrzepywane z kurzu i wietrzone. Tomy z uszkodzonymi okładkami szły do intronigatora. Niepotrzebne już rękopisy — do pieca. Ale po jej śmierci zapanował nieład. Profesor zdążył

też zgromadzić około tuzina klatek z kanarkami i różnymi odmianami papug. Kochał zawsze ptaki, toteż wszystkie klatki stały otworem, aby ulubieńcy mogli sobie fruwać swobodnie po całym mieszkaniu. Tekla narzekała, że nie może sobie dać rady ze sprzątaniami po nich. Ale profesor zwykł mówić: — Czym się tu brzydzić? Boskim stworzeniem?

I jakby mu tego było mało, profesor karmił codziennie uliczne gołębie. Zнали go z tego wszyscy sąsiedzi, że każdego ranka i popołudnia wychodził z domu z torbą pełną ziarna. Drobny, przygarbiony, o rzadkiej bródce, której siwizna znowu przybierała barwę żółtawą, z zakrzywionym nosem i zapadniętymi ustami. Poprzez grube szkła okularów jego piwne oczy pod krzaczastymi brwiami wydawały się większe i nieco zezowate. Nosił wiecznie ten sam zielonkawy surdut i buty z elastycznymi wkładkami, o zaokrąglonych noskach — fason, który wyszedł już całkiem z mody. Spod przyciasnego beretu wymsykały się niesforne siwe kosmyki. W momencie, kiedy profesor wynurzał się z bramy, nim zdążył zawołać „tuś-tuś-tuś” (sygnał, który jest tym dla gołębi, czym „cip-cip-cip” dla kurcząt), stada gołębi zlatywało się ze wszystkich stron. Wyczekiwały już na okolicznych dachach i na drzewach wokół pobliskiego szpitala chorób skórnych. Ulica, przy której mieszkał profesor, biegła dość stromo w dół, od Nowego Świata ku Wiśle. Latem między kocimi łbami zieleniła się trawa. Ruch był tu niewielki. Co pewien czas zajeżdżał karawan po jakiegoś nieboraka, któremu się tu zmarło na syfisy czy na wilka, bądź też policyjna karetka dostawiała wenerycznie chore prostytutki. Na niektórych podwórkach były jeszcze w użyciu studnie z ręczną pompą. Mieszkali tu przeważnie ludzie starzy, którzy rzadko wychodzili z domu. Gołębie szukały tu schronienia przed zgiełkiem śródmieścia.

Profesor mawiał do Tekli, że karmienie gołębi zastępuje mu chodzenie do kościoła czy synagogi. Bóg nie jest głodny naszych pochwał, ale gołębiom co dzień dokuczają głód. Najlepiej służy Stwórcy ten, kto troszczy się o każde Jego stworzenie.

Karmienie głodnych gołębi było dla profesora nie tylko przyjemnością. Dawało mu też sporo do myślenia. Czytał kiedyś jakiś urywek z Talmudu, w którym Żydzi byli przyrównani do gołębi i dopiero teraz uchwycił sens tego porównania. Gołębie są bezbronne w walce o byt. Żywią się niemal wyłącznie okruciami, które rzucają im ludzie. Boją się hałasu, płoszy je byle psina. Nie przepędzają nawet wróbla, które podkradają im pożywienie. Gołąb, jak Żyd, chwali sobie pokój i spokój i dobrą wolę. Ale nie ma reguły bez wyjątków. Wśród gołębi, jak i wśród Żydów, trafiają się osobniki wojownicze, które zadają kłam

swojemu dziedzictwu. Taki gołąb odpędza swoich współtowarzyszy, dziobie ich i sprząta im ziarno sprzed nosa. Profesor Eibenschutz wycofał się z uniwersytetu nie tylko za sprawą antysemickich korporantów. Miał po uszy również tych studentów-Żydów, którzy wykorzystywali antysemityzm dla propagandy komunistycznej.

W ciągu długich lat poświęconych studiom, nauczaniu, przetwarzaniu archiwów i pisaniu naukowych rozpraw, profesor Eibenschutz nie ustawał w poszukiwaniu sensu, filozofii historii, jakiegoś prawa, które by wyjaśniało, dokąd ludzkość zdąży i co ją popycha do ciągłych wojen. Był okres, kiedy profesor skłaniał się ku materialistycznej interpretacji dziejów. Podziwiał Lukrecjusza, Diderota, Vogta, Feuerbacha. Na krótko zawierzył nawet Karolowi Marksowi. Ale ten młodzieńczy okres szybko minął. Profesor znalazł się teraz na przeciwnym krańcu. Nie trzeba przecież być wierzącym, aby dostrzec w przyrodzie celowość, prawdę tak zwanej teleologii, wyklętej przez naukę. Tak, jest w przyrodzie jakiś ład, choćby nawet przedstawiał nam się często jako totalny chaos. Wszyscy mamy swoją rację bytu: Żydzi, chrześcijanie, mahometanie, Aleksander czy Karol Wielki, Napoleon czy nawet Hitler. Ale jaką i dlaczego? Co Panu Bogu z tego, że kot poluje na myszy, jastrząb — na króliki, a polscy korporanci — na Żydów?

Na dobrą sprawę profesor zaniechał ostatnio swoich studiów nad historią. Doszedł na starość do wniosku, że prawdziwą pasję badawczą budzą w nim biologia i zoologia. Zgromadził szereg książek o zwierzętach, zwłaszcza o ptakach. Mimo że cierpiał na jaskrę i był niemal ślepy na prawe oko, kupił sobie stary mikroskop. Jego badania nie były fachowo ukierunkowane. Czytał dla własnej nauki, delectował się tą lekturą jak młodzi chasydzi Talmudem, kiwał się nawet i intonował podobnie jak oni. Albo wrywał sobie na przykład włos z brody, umieszczał go na szkiełku i oglądał przez mikroskop. Każdy włoszek miał swój skomplikowany mechanizm. Byle liść, łupina cebuli, szczypta wilgotnej ziemi z jakiejś doniczki objawiały piękno i harmonię, które podnosiły profesora na duchu. Staruszek przesiadywał nad swoim mikroskopem, kanarki śpiewały, papugi szwargotały, całowały się, przeżywały się nawzajem małpizonomi, kochasiami, obzartuchami — z przejętą od Tekli wiejską wymową. Jeśli nie łatwo było wierzyć w dobro Pana Boga, Jego mądrość jaśniała w każdym źdźbłe trawy, w byle kwiatku czy skrzydełku muchy.

Weszła Tekla. Drobna, dziobata, z rzędnymi włosami, o barwie słomy zmieszanej z popiołem. Miała na sobie wyblakłą suknię i znoszone ranne pantofle. Znad jej wydatnych kości

policzkowych patrzyły skośne oczy, zielone jak u kota. Utykała na jedną nogę. Cierpiała na bóle w stawach i nacierała je maściami i olejkami od znachorów. Chodziła do kościoła i zapalała świece swoim świętym.

— Zagotowałam mleko — powiedziała.

— Nie trzeba mi żadnego mleka.

— Dodać odrobinę kawy?

— Nie, Teklo, dziękuję. Nic mi nie trzeba.

— W gardle panu zaschnie.

— A gdzie napisano, że w gardle ma być mokro?

Tekla nie odpowiadała, ale nie dawała za wygraną. Przysięgła nieboszczce profesorowej na jej łożu śmierci, że będzie się opiekowała profesorem. Po chwili profesor dźwignął się z krzesła. Zwykł siedzieć na specjalnej poduszce, gdyż dokuczały mu hemoroidy.

— Tekla jeszcze tutaj? Taki z Tekli uparciuch jak z mojej żony nieboszczki, świeć Panie nad jej duszą.

— Czas na lekarstwo pana profesora.

— Co za lekarstwo? Naiwna kobieto, żadne serce nie pompuje wiecznie.

Profesor położył szkło powiększające na otwartym tomie „Polskich ptaków” i podniósł się, aby rzucić okiem na swoje własne.

Karmienie ulicznych gołębi było czystą przyjemnością, ale dogłądanie chmary ptactwa zamieszkałego w otwartych klatkach i fruującego swobodnie po całym mieszkaniu wymagało wysiłku i odpowiedzialności. Rzecz nie sprowadzała się do sprzątnięcia, tak uciążliwego dla Tekli. Nie było dnia bez jakiegoś wypadku. To jedna z papug ugrzęzła za szafą z książkami i trzeba ją było wyciągać z opresji. To znów samce skakały sobie do oczu, albo jakiejś samiczce potłukł ktoś nowożyłone jajka. Profesor rozmieścił różne gatunki w oddzielnych pokojach, ale Tekli zdarzało się przez zapomnienie zostawić jakieś drzwi uchylone. Była wiosna i okna musiały być zamknięte. Powietrze było stęchłe i słodkawe od ptasich odchodów. Nocą ptactwo w zasadzie spało, ale zdarzało się, że którąś z papug wrywał ze snu jakiś ptasi koszmar i zaczynała latać w ciemnościach na oślep. Trzeba było zapalać światło, aby się nie zabiła. A jednak ileż radości dawały te stworzenia staremu profesorowi w zamian za tę garść ziarna, którym je żywił! Jedna z papug wyuczyła się mnóstwa słów a nawet całych zdań. Robiła sobie grzędę z łysiny profesora, dziobała go w koniuszek ucha, spacerowała po oprawie jego okularów a nawet dokazywała akrobatycznych sztuk na jego palcu wskazującym, kiedy pisał. Długie lata zażyłości z ptakami prze-

konały profesora, że są to istoty niezmiernie skomplikowane, bogate w indywidualne rysy charakteru. Mógł obserwować jakiegoś ptaka latami, a ten wprawiał go raptem w zdumienie jakimś dziwnym wyskokiem.

Co szczególnie cieszyło profesora, to fakt, że tym stworzeniom obce było poczucie historii. Co minęło, to minęło. Wszystkie przygody popadały natychmiast w zapomnienie. Każdy dzień był na nowo początkiem. Choć i tu zdarzały się wyjątki. Po śmierci pewnej papugi jej owdowiały małżonek dosłownie usychał z żalu. Profesor zaobserwował wśród swoich podopiecznych wypadki namiętnej miłości, zazdrości, nawet morderstw i samobójstw. Godzinami mógł patrzeć na te ptaki. Była celowość w każdym zmyśle danym im przez Stwórcę, w ich instynktach, w budowie skrzydeł, w sposobie wysiadywania jajek, w zmiennych barwach upierzenia. Jak to wszystko funkcjonowało? Dziedziczność? Czy są chromosomy, geny?

Po śmierci żony profesor popadł w nawyk mówienia na głos do samego siebie albo do osób dawno zmarłych. Zwracał się na przykład do Darwina: — Nie, Karolu, twoje teorie nie rozwiązują zagadki. Ani pańskie, Monsieur Lamarck.

Tego popołudnia, po zażyciu lekarstwa, profesor napełnił torbę siemieniem lnianym, prosem i suszonym grochem i wyszedł, aby nakarmić gołębie. Choć było to w maju, padało a od Wisły szły zimne powiewy. Teraz deszcz ustał a słońce cięło chmury ostrzami swoich promieni. W momencie ukazania się profesora zleciała się zewsząd cała chmara gołębi. Niektóre w pośpiechu zawadzały piórami o profesorski kapelusz, omal że nie strącając go z głowy. Staruszek zdał sobie sprawę, że nie wystarczy takiej ciżbie. Starał się rozrzucić ziarno jak najszerzej, aby gołębie nie wydzierały go sobie, ale i tak zbiły się rychło w kupę i przepychały na całego. Niektóre lądowały na grzbietach innych gołębi, aby utworzyć sobie dostęp do darów losu. Ulica była zbyt ciasna dla takiej chmary ptactwa. „Biedactwa są wygłodzone” — mruczał pod nosem profesor Eibeschutz. Wiedział aż nazbyt dobrze, że to dokarmianie nie rozwiązuje gołębih problemów. Im więcej dasz im jeść, tym więcej ich się namnoży. Czytał kiedyś, że gdzieś w Australii gołębie tak się rozmnożyły, że dachy zapadały się pod ich ciężarem. Na dłuższą metę nie da się przechytryć praw przyrody. Ale profesor nie mógł też pozwolić, aby te stworzenia ginęły z głodu.

Profesor Eibeschutz zawrócił do frontowej sieni, gdzie przechowywał worek z pokarmem i znowu napełnił torbę. „Mam nadzieję, że zaczekają” — mruczał. Kiedy znalazł się znów na ulicy, roiło się tam jeszcze od ptaków. „Dzięki Bogu” — powiedział

i zawstydził się jakby religijnego wydzwiku tych słów. Jął rozrzucić ziarno, ale ręka mu drżała i nasiona padały zbyt blisko. Gołębie przysiadły mu na ramionach, na rękach, trzepocąc skrzydłami i dziobiąc go. Jakiś przedsiębiorczy gołąb usiłował wylądować na krawędzi samej torby z pokarmem.

Raptem trafił profesora prosto w czoło jakiś kamień. Przez chwilę nie zdawał sobie sprawy, co się stało. Po czym został trafiony jeszcze dwoma kamieniami: jednym w łokieć, drugim w kark. Gołębie zerwały się hurmem. Profesorowi udało się jakoś dotrzeć z powrotem do domu. Często czytał w gazetach, że chuligani biją Żydów w Ogrodzie Saskim i na przedmieściach. Ale jemu samemu nigdy się to jeszcze nie zdarzyło. Nie wiedział, co go w tej chwili bardziej bolało: zranione czoło czy zraniona godność. „Więc upadliśmy tak nisko” — wyszeptał. Tekla musiała widzieć przez okno, co się stało. Wybiegła mu na przeciw z rozpostartymi ramionami, pobladła z gniewu. Przeklinając i sapiąc pobiegła do kuchni, aby zmoczyć ręcznik zimną wodą. Profesor zdjął tymczasem kapelusz i dotykał palcami guza na czole. Tekla zaprowadziła go do sypialni, zdjęła mu palto i ułożyła na posłaniu. Krzątając się przy nim, nie przestawała przeklinać: — Skarz ich, Boże! Skarz ich, Ojciec Niebieski! Niech się w piekle smażą! Niech ich pokręci, niech ich zaraza wytlucze!

— Dość, Teklo, dość!

— Jak taka ta nasza Polska, to niech ją ogień pochłonie!

— Nie brak w Polsce dobrych ludzi.

— Męty, szumowiny, wyrzutki!

Tekla wyszła, zapewne aby wezwać policję. Profesor słyszał, jak lamentuje i skarży się sąsiadom. Po chwili wszystko się uciszyło. Widocznie nie dotarła na policję, bo słyszał, jak wróciła sama. Miotła się po kuchni, mamrocząc i klnąc. Profesor zamknął oczy. „Prędzej czy później musi człowiek doznać wszystkiego na własnej skórze — myślał. — Dlaczego miałbym być lepszy od innych ofiar? Takie są prawa historii, na ich zgłębianiu zeszło mi przecież całe życie”.

Przypomniało mu się nagle dawno zapomniane hebrajskie słowo: reszajim — niegodziwi. To niegodziwi robią historię.

Na moment ogarnęło go zdumienie. W ciągu sekundy znalazł odpowiedź, której szukał od lat. Niby spadające z drzewa jabłko, które ujrzał Newton, kamień rzucony przez chuligana ujawnił jemu, Eibeschutzowi ogólnie obowiązującą prawdę. Było z tym dokładnie tak, jak powiadał Stary Testament. Każde pokolenie miało swoich siewców fałszu i sprawców przelewu krwi.

Niegodziwcy nie znają spoczynku. Czy to wojna, czy rewolucja, bez względu na sztandar, pod którym walczą i na hasła, które głoszą, ich cel jest zawsze jednaki: szerzyć zło, zadawać

ból, rozlewać krew. Ten wspólny cel jednoczy Aleksandra Mace-
dońskiego i Hamilkara, Dżyngis Chana i Karola Wielkiego,
Chmielnickiego i Napoleona, Robespierre'a i Lenina. Zbyt proste?
Zasada powszechnego ciężenia była równie prosta i dlatego upły-
nęło tyle czasu, zanim została odkryta.

Zapał zmierzch. Władysław Eibeschutz zaczynał drzemać.
Na chwilę przed pograżeniem się we śnie, odpowiedział sam
sobie: — A jednak nie może to być takie proste.

Wieczorem Tekla wzięła trochę lodu i zrobiła profesorowi
świeży kompres. Chciała wezwać lekarza, ale profesor nie pozwo-
liłby na to. Wstyd by mu było przed doktorem i przed sąsiadami.
Tekla ugotowała mu trochę owsianki. Normalnie przed udaniem
się na spoczynek, profesor zwykł doglądać wszystkich klatek,
nalewać świeżej wody, dosypywać ziarna i zmieniać piasek. Tego
wieczoru zdał się z tym wszystkim na Teklę. Wreszcie zgasiła
światło. Niektóre z papug w jego sypialni pozostały w swoich
klatkach. Inne usadowiły się na noc na karniszu. Pomimo znu-
żenia profesor nie mógł usnąć natychmiast. Okolica nad jego
zdrowym okiem była opuchnięta i z trudem mógł unieść powiekę.
„Mam nadzieję, że nie osłepnę całkiem” — zaklinał moce rzą-
dzące tym światem. — „Jeśli mam być ślepy, wolę już umrzeć”.

Usnął i śnił mu się dziwne kraje, miejsca nigdy nieoglądane,
góry, doliny, ogrody pełne ogromnych drzew i egzotycznych klom-
bów. „Gdzież ja jestem” — pytał we śnie sam siebie. — „We
Włoszech? W Persji? W Afganistanie?”. Krajobrazy przesu-
wały się gdzieś tam w dole, jak gdyby oglądał je z samolotu.
Ale nie leciał samolotem. Czuł się niejako zawieszony w prze-
strzeni. „Czyżbym był poza zasięgiem przyciągania ziemskiego?
Jak to się stało? Nie ma tu powietrza. Obym się tylko nie
udusił!”.

Obudził się i przez chwilę nie uświadamiał sobie, gdzie jest.
Odczuł kompres. „Dlaczego mam głowę w bandażach?” —
dziwił się. Nagle przypomniał sobie wszystko. „Tak, historia
jest dziełem niegodziwców. Odkryłem newtonowską formułę
historii. Wszystko muszę napisać od nowa”. Poczuł nagle ból
w lewym boku. Leżał nasłuchując, jak ten ból pulsuje mu w piersi.
Miał specjalne tabletki przeciw atakom anginy pectoris, ale leżały
w szufladzie biurka. Żona nieboszczka dała mu podręczny dzwo-
nek, aby mógł wezwać Teklę, gdyby poczuł się źle w ciągu nocy.
Ale profesor używał go niechętnie. Wahał się nawet, czy zapalić
nocną lampkę. Ptaki zlekłyby się światła i hałasu. A Tekla
musi być zmęczona po całodzienniej pracy i tym przykrym prze-
życiu. Napaść chuliganów wzburzyła ją nawet bardziej niż jego.
Co ma Tekla poza tymi kilkoma godzinami snu? Ani męża, ani

dzieci, ani krewnych, ani przyjaciół. Zapisał jej całe swoje mienie.
Ale ile to warte? Co warte są jego nieopublikowane rękopisy?
Ta nowa formuła...

Przez chwilę wydawało się profesorowi Eibeschutzowi, że
kłucie w piersi stało się mniej bolesne. Wtem poczuł gwałtowny
ból, który przeszywał serce, bark, ramię, wszystkie żebra. Wy-
ciągnął rękę w kierunku dzwonka, ale palce zdrętwiały zanim
go dosięgnął. Nie wyobrażał sobie nigdy, że można doznać takiego
ból. Jakby jakaś pięść zaciskała się na jego sercu. Profesor
dławił się i tracił oddech. Zdążył jeszcze pomyśleć: „Co się
stanie z gołębiami?”.

Nazajutrz rano, kiedy Tekla weszła do sypialni, zaledwie
mogła rozpoznać profesora. Postać, którą ujrzała, przypominała
raczej jakąś dziwną kukłę: żółtą jak wosk, sztywną jak drewno,
z rozdziawionymi ustami, zniekształconym nosem, brodą sterczącą
ku górze, z obrzękłymi powiekami, przymkniętymi na jednym
oku, podczas gdy drugie zmrużone było w uśmiechu z innego
świata. Pożółkła dłoń leżała na poduszce.

Tekla zaczęła krzyczeć. Zbiegli się sąsiedzi. Ktoś wezwał
pogotowie. Jego przeciągły sygnał rozległ się wkrótce, ale młody
lekarz, który wszedł do pokoju, zerknął tylko na łóżko i potrząs-
nął głową. — Nie możemy mu już pomóc.

— Zabili go, zabili — szlochała Tekla. — Rzucali w niego
kamieniami. Żeby trupem padli, ci mordercy! Żeby ich czarna
ospa, żeby ich cholera wytłukła, diabłów zatraconych!

— Jakich *ich*? — spytał doktor.

— A naszych, własnych zbójów, bandziorów, morderców —
odpowiedziała Tekla.

— To Żyd, co?

— Tak, Żyd.

— No cóż...

Zapomniany za życia, profesor stał się sławny po śmierci.
Przybywały delegacje z Uniwersytetu Warszawskiego, z Wolnej
Wszechnicy, Towarzystwa Historycznego i różnych innych towa-
rzystw, grup i organizacji. Wydziały historii uniwersytetów w
Krakowie, Lwowie i Wilnie depeszowały, że wysyłają swoich
przedstawicieli na pogrzeb. Mieszkanie profesora tonęło w kwia-
tach. Profesorowie, pisarze, studenci trzymali wartę honorową
przy zwłokach. Żydowska „Ostatnia Posługa” przysłała dwóch
ludzi, którzy recytowali psalmy nad nieboszczykiem. Przerażone
ptaki fruwały od ściany do ściany, od jednej szafy z książkami
do drugiej, usiłowały przysiąść na lampach, karniszach, drape-
riach. Tekla chciała zapędzić je z powrotem do klatek, ale ucie-

kały od niej. Niektóre wyfrunęły przez drzwi i okna, które stały otworem. Jedna z papug skrzeczała raz po raz to samo słowo, tonem alarmu i przestrogi. Telefon dzwonił bez przerwy. Jacyś funkcjonariusze gminy żydowskiej domagali się zapłacenia z góry za kwaterę na cmentarzu a polski major, były student profesora, groził im straszliwymi konsekwencjami.

Nazajutrz rano zajeżdżał żydowski karawan. Konie miały na sobie czarne kapy i kaptury, z otworami na oczy. Kiedy trumnę wyniesiono z domu i kondukt zaczął się posuwać w dół, w kierunku Tamki i Starego Miasta, nad dachami pojawiły się całe stada gołębi. Ich liczba rosła tak raptownie, że zakryły całe niebo między domami po obu stronach wąskiej ulicy i zrobiło się ciemno jak podczas zaćmienia słońca. Na moment zatrzymały się, zawieszona w powietrzu, po czym, całą chmarą, dotrzymywały kroku konduktowi, zataczając nad nim koła.

Delegacje kroczące zwolna za karawanem z wieńcami, na których powiewały wstęgi, patrzyły w górę, zadziwione. Mieszkańcy okolicznych domów, starzy i schorowani ludzie, którzy wyszli na chodnik, aby oddać profesorowi ostatnie honory, robili znak krzyża. Na ich oczach stawał się cud, jak w czasach biblijnych. Tekła, wznosząc ku niebu ramiona okryte czarnym szalem, zawołała: — Jezu!

Chmary gołębi eskortowały karawan, aż wjechał w ulicę Browną. Kiedy tak krążyły, ich skrzydła — to prześwietlone słońcem, to pogrążone w cieniu — barwiły się na przemian czerwienią krwi i ponurą szarością ołowiu. Rzucano się w oczy, że ptaki manewrowały, aby ani nie wyprzedzić konduktu ani nie pozostawać w tyle. Dopiero kiedy dotarły do skrzyżowania Furmańskiej i Mariensztatu, zatoczyły ostatnie koło i zawróciły hurmem — skrzydlaty tłum odprowadzający swego dobroczyńcę na wieczny spoczynek.

Następny ranek tchnął jesienną szarżyną. Rdzawo-bure chmury wisały nisko nad miastem. Dym z kominów opadał i snuł się po spadzistych dachach. Spadł rzadki deszcz, kłujący jak szpilki. Nocą wymalował ktoś swastykę na drzwiach profesora. Tekła wyszła z torbą ziarna, ale nadleciało niewiele gołębi. Działyły pożywienie ociągając się i rozglądając dokoła, jak gdyby w obawie, że będą przyłapanie na złamaniu jakiegoś ptasiego zakazu. Z rynsztoków rozchodził się smród spalenizny i rozkładu, gryzący odór nadciągającej zagłady.

Isaac BASHEVIS SINGER

Przełożył z angielskiego Tadeusz POLANOWSKI
(z tomu opowiadań pt. „A friend of Kafka”).



ISAAC BASHEVIS SINGER

WAŻNIEJSZE DANE BIO- I BIBLIOGRAFICZNE

(według książki Knuta Ahnlund „Isaac Bashevis Singer — jego język i jego świat”, Uppsala, 1978, opracował Tadeusz Polanowski)

14 lipca 1904 — pisarz rodzi się we wsi Leoncin pod Warszawą. Ojciec, Pinchos-Mendel, był rabinem mistyczno-chasydzkiego obrządku, podczas gdy matka, Bathsheba Zylberman, była córką bardziej racjonalistycznie nastawionego rabinackiego rodu z Biłgoraja.

Po krótkim pobycie w Radzyminie (niesłusznie podawanym jako miasto rodzinne pisarza), w roku 1908 rodzina przenosi się na Krochmalną, w żydowskiej dzielnicy Warszawy. Lata 1917-1921 spędza Isaac z matką w Biłgoraju, po czym — niezbyt chętnie — ulega woli ojca i studiuje w warszawskim seminarium rabinackim. Pod wpływem starszego brata buntuje się jednak w końcu przeciw rodzinnej tradycji, dostaje pracę korektora w żydowskiej prasie i sam debiutuje na jej łamach w języku jidysz opowiadaniem podpisanym pseudonimem Issak Bashevis w roku 1925.

Debiutem powieściowym jest „Szatan w Goraju” („Der Sotn in Goray”) wydany w Warszawie w roku 1935, kiedy trzydziestoletni autor — nadal pod wpływem brata Israela, głośnego już pisarza — emigruje do Ameryki. W Nowym Jorku współpracuje Singer z wydawaną w jidysz *Jewish Daily Forward*, gdzie większość jego opowiadań i powieści ukazuje się w odcinku. Dopiero w 1943 roku wychodzi ponownie „Szatan w Goraju” — historia nadała symboliczny wymiar tej historycznej powieści o pogromach Chmielnickiego i wierze Żydów w fałszywego Mesjasza.

Upłynęło jeszcze 10 lat dziennikarskiego chałupnictwa, zanim w roku 1953 zaprezentował Singera publiczności amerykańskiej Saul Bellow swoim przekładem noweli „Gimpel the Fool”. Inne przekłady posypały się jak z rogu obfitości — opowiadania i nowele Singera, poprzez język angielski, podbiły światowy rynek księgarski. Utorowały też drogę przekładom powieści. Od roku 1964 jest Singer członkiem National Institute of Arts and Letters jako jedyny Amerykanin nie piszący po angielsku. Jest też członkiem American Academy of Arts and Sciences, Jewish Academy of Arts and Sciences i Polish Institute of Arts and Sciences in America. Po zaszczytnych nagrodach amerykańskich i zagranicznych w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, przyszła nagroda Nobla za rok 1978.

Zbiory nowel i opowiadań (pierwsze wydania anglosaskie — Singer współpracuje ze swoimi tłumaczami i w toku tej pracy wprowadza szereg zmian do pierwotnej wersji jidysz. Uważa więc wersję angielską za ostateczną i obowiązującą dla dalszych przekładów): „Gimpel the Fool and other stories”, 1957. „The Spinoza of Market Street and other stories”, 1961. „Short Friday and other stories”, 1964. „The séance and other stories”, 1968. „A friend of Kafka and other stories”, 1970. „A crown of feathers and other stories”, 1973. „Passions and other stories”, 1975.

Powieści: „The family Moskat”, 1950, jest pierwszą z powieści typu saga rodzinna i rozgrywa się w Polsce od przełomu stulecia do wybuchu drugiej wojny światowej. Po czym autor cofnął się do lat międzywojennych i końcem stulecia i zobrazował środowisko żydowskie w Polsce w powieściach „The manor” (1967) i „The estate” (1969). Do epoki wojen kozackich, która posłużyła za tło wspomnianego już debiutu „Satan in Goray”, wraca Singer w „The slave”, 1962. Żydowskim wariantem powieści lotrzykowskiej jest „The magician of Lublin”, 1960. „Enemies: a love story” (1972) rozgrywa się współcześnie w USA, w środowisku polskozydowskich emigrantów. Do wspomnień młodości na Krochmalnej wraca autor w swojej ostatniej powieści „Shosha”, 1978. Do tej listy trzeba by dodać szereg książek autobiograficznych i książek dla dzieci.

Tropy pamięci

ojcu

Kiedy mama zmarła i ojciec został sam w zastępczym mieszkaniu jednopokojowym we Wrocławiu (dom w którym mieszkali dotychczas na ulicy Jedności Narodowej, przemianowanej na Józefa Stalina, a potem znowu na Jedności Narodowej, po wielu latach poszedł pod generalny remont) postanowił wyjechać do Izraela.

Żadne argumenty, że w wieku 78 lat, przy bardzo osłabionym słuchu i już powoli, ale nieodwracalnie postępującej ślepcie, nie przemawiały do niego. Nie chciał słuchać o domu starców, czy zamieszkania u córki w Warszawie. Pojedzie do Izraela i skończone. Nic nie mogło go, od wielu lat planowanego postanowienia, odstraszyć. Sam zaczął chodzić po urzędach, zbierać potrzebne papiery i składać wymagane. Nie było rady. Musiałem przerwać pracę, wykorzystując przerwę między zdjęciami w atelier, a plenerami i przyjechać do Wrocławia. Miałem tylko kilka wolnych dni. Było to latem 1967.

Małeńki pokój przy placu Grunwaldzkim zawałony był cały dobytkiem z poprzedniego, dość sporego, mieszkania. Stary sam sporządził fachowo skrzynie (skrzynie-potwory o rozmaitych kształtach, formach i wielkościach służyły mi się później przez wiele lat) i rozpoczęło się pakowanie. Ubogi to był dobytek tylu lat życia i pracy stolarza. Po codziennej, wyczerpującej po mieście bieganiu, przy wieczornym pakowaniu nieuniknione były spięcia. Doszło do kłótni. Drobiazg. Rozeszło się o kilkanaście podstawowych narzędzi stolarskich, które, jak twierdził stary, będą mu potrzebne do pracy — bo on tam jeszcze będzie pracować! Zaniemówiłem. Nie byłem w stanie wydusić z siebie nie tylko słowa ale i dźwięku. Usiadłem na jakichś gratach i, ogar-

niając spojrzeniem cały ten kram, wybuchnąłem, ze złości czy smutku historycznym śmiechem. Urwałem nagle, gdy natrafiłem na spojrzenie ojca. Nie było w nim urazy ale smutek starego człowieka, który wszystko rozumiał, ale jeszcze się łudzi. Wstałem i bez słowa zacząłem wkładać narzędzia do skrzyni. Napięcie ostatnich dni było tak dławiące, że musiałem je rozładować. Przeprosiłem ojca, mówiąc, że muszę coś załatwić i wyszedłem. Nie było innej rady — poszedłem i upiłem się.

Następnego wieczoru zacząłem opróżniać szafę. Pośród rozmaitych rzeczy i gratów przechowywanych pewno od lat; ubrań, zimowych palt, okryć, sukien zmarłej mamy na dnie tej przepaścistej szafy, natrafiłem na spory, podłużny pakunek owinięty starą narzutą. Obmacałem ze wszystkich stron, chcąc wyczuć rękami jego zawartość.

— Nie wiesz co to jest? — odezwał się ojciec. Zaciekawiony zacząłem rozwijać pakunek i po chwili spod kilkunastu warstw narzuty wyłoniły się zwoje rodału, osadzone na dwóch drewnianych drażkach zakończonych uchwytami. Błyskawicznie wróciła mi pamięć zdarzenie sprzed ponad dwudziestu lat...

W roku 1946 rodzice wrócili do kraju z dalekiego Kraju Ałtajskiego. Zostali skierowani na Dolny Śląsk „w ramach osiedlenia Ziemi Zachodnich” i posłani do Żąbkowic. Stare, pięknie zadbane miasteczko, nieruszone nie tylko ogniem, ale nawet nieosmolone dymem dopiero co zakończonej wojny. Zaproponowano rodzicom zamieszkanie w domku jednopiętrowym, który stał na skraju miasteczka obok torów kolejowych, na terenie cmentarza żydowskiego wielkości sporego ogrodu. Ojciec się zgodził. Jako człowiek pobożny miał się tym ocalałym cmentarzem opiekować. Cały teren ogrodzony był z trzech stron niewysokim murem, a ze strony frontowej bramą wjazdową i furtką z żelazną kratą. Groby na cmentarzu zarosły krzewami i chwastami były nieknięte od czasu jak ostatni tu ludzie przychodzili chować swoich bliskich. Wiosną ojciec zabrał się do oczyszczania grobów i alejek zarosłych chwastami. Lubił krzątać się koło tych mogił ludzi pochowanych tu ponad sto lat temu. Początkiem lata było przyjemnie wejść na teren cmentarzyka, gdzie stare drzewa okalające mur trzymały cień przez prawie cały dzień. Pewnego popołudnia, kiedy zachodzące słońce padało już ukośnie i wydłużało cienie drzew, murów i mogił, ojciec zauważył zapadnięty grunt pomiędzy stojącym pod murem drzewem a szeregiem zaczynających się grobów. Po oczyszczeniu miejsca z pozostałych zachwaszczeń wyłonił się zarys zapadniętego, nieforemnego grobu jakoś dziwnie usytuowanego w stosunku do grobów alejki. Żadnego nagrobka, jak na pozostałych mogiłach, nie było śladu. Wiedział, że od dawna nie chowano tu zmarłych, a nowych przybyszów jeszcze

nie było. Nie dawało mu to spokoju. Musiał sprawdzić. Sprowadził długi szpikulec z grubego, trudno gnącego się drutu i zaczął próbować. Już przy pierwszych paru nakłóciach na głębokości niespełna pół metra, wyczuł miękkość materiału, a nie, jak się można było spodziewać, opór drewna. Zaczął kopać i po kilku warstwach odwalonej ziemi ukazała się fibrowa walizka, miejscami przegniła. Po otwarciu z zardzewiałych zamków, pośród warstw zbutwiałych i miejscami przegniłych obrusów, prześcieradeł i nawłok, wyłuskał rodłały...

Leżały teraz przede mną. Ująłem za rączki już wytarte z polityry, z zatartymi przez czas rzeźbieniami i zacząłem powoli obracać drążki. Przesuwały się przede mną szeregi liter, słów, kolumn, które od wieków miały dla mojego ojca i wielu jemu podobnych najgłębszy sens ich istnienia. Te słowa nadawały ich życiu rytm. Nigdy dotąd nie miałem w ręku i nie widziałem z bliska rodłałów. Nawet nie pamiętam już liter...

Jeszcze przed wojną w Warszawie ojciec postanowił nauczyć mnie starego pisma. Przyjął uczonego w piśmie, znajomego z bóżnicy, który dwa razy w tygodniu miał udzielać mi lekcji hebrajskiego. Przychodził po południu, po moim powrocie ze szkoły. Siadaliśmy w kuchni przy oknie, gdzie nad rozłożoną księgą zaczynała się niezwykła dla mnie nauka. Końcem zaostrego patyka prowadził po słowach wymawiając je, a ja musiałem głośno za nim powtarzać. Ja już wtedy czytałem Londona i Gorkiego, i znałem magię słów, i wiedziałem co to słowo pisane. A tu nic nie rozumiem. Powtarzałem tylko dźwięki za przesuującym się patykiem po księdze.

— Później — mówił, gdy prosiłem o tłumaczenie — później, teraz powtarzaj tylko za mną. Metoda ta, nawet jak na mój wiek, wydawała mi się irytująca, co więcej, nudna. (Dopiero wiele lat potem, gdy zmuszony byłem uczyć się dwóch obcych języków równocześnie, właśnie metoda mechanicznego powtarzania okazała się najskuteczniejsza). Po kilku już, nie pamiętam ilu, lekcjach, za wstawiennictwem starszego rodzeństwa już wtedy zaangażowanego „ideowo-społecznie”, pan „Rebe” został odstawiony a ja wróciłem do czytania „prawdziwych” książek. Pozostała mi tylko znajomość kilku początkowych liter alfabetu...

Teraz przesuując ten zwój z kolumnami słów, mogłem się tylko domyślić co w nich zawarte. Znałem już wtedy biblię w innym języku czytana...

Wyrwał mnie z toku tych rozmyślań ojciec, mówiąc, że trzeba będzie uszyć brakujący pokrowiec, ale już on się tym zajmie. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jaka mnie znowu czeka biegania z tymi świętymi zwojami. Nawet nie próbowałem na-

pomknąć ojcu, że można je oddać. Wiedziałem dobrze, że nie wyjedzie bez nich. Wspomniałem mu tylko, że będzie potrzebne pozwolenie na wywóz z Wydziału Kultury i Sztuki, inaczej celnicy rodłałów nie przepuszczą. Jak wiadomo, jeszcze daleko było do roku 1968 — roku ostatniej „Japanki” — i nie znana jeszcze była szerokiemu ogółowi siedziba Miejskiego Wydziału Kultury i Sztuki — Konserwatora Zabytków Dzieł Sztuki.

Nazajutrz ruszyłem na zwiady. Telefonu w domu nie miałem, a pobliskie automaty przy placu Grunwaldzkim nie działały. Poszedłem na pocztę, wyszukałem w książce telefonicznej odpowiednie numery i wziąłem się do dzwonięcia. Jest druga połowa lipca — okres urlopów. Zagadnięci pomniejsi referenci Wydziału Kultury z trudem mogli udzielić mi odpowiedzi odsyłając mnie pod inne numery. Udało mi się wreszcie połączyć z kierownikiem działu zabytków. Był zdezorientowany, gdy przedstawiłem mu sprawę, ale podał mi numer telefonu i adres prawdopodobnie tego właśnie potrzebnego działu — nie od: rzeźby, malarstwa, tkanin, broni, zbroi, mebli, porcelany, szkła, starej biżuterii, a kustosa rękopisów, bo tak w końcu rodłały zostały zakwalifikowane. Bardzo pięknie. Cóż, kiedy telefon działu rękopisów nie odpowiadał. Szczęśliwie miałem adres. Nie zastanawiając się dłużej wróciłem do domu, nasunąłem na rodłały poszwę od poduszki, zarzuciłem na ramię i ruszyłem w miasto. Stałem teraz w upalne lipcowe południe na placu Grunwaldzkim, rozglądając się za taksówką. Spróbowałibyście złapać taryfę pod koniec upalnego lipca w wojewódzkim mieście. Nie było rady, wsiadłem do tramwaju i dojechałem do śródmieścia. Przeszedłem jeszcze kilka ulic, przerzucając rodłały z jednego ramienia na drugie, aż znalazłem budynek, świeżo odrestaurowanego zabytku, w którym mieścił się poszukiwany dział. Wszedłem. Pusty korytarz o pięknym sklepieniu, ani żywej duszy. Z głębi korytarza usłyszałem stukotanie maszyny do pisania. Puściłem się biegiem za tym dźwiękiem i po chwili stałem w komnacie, o równie pięknym sklepieniu, przed dużym biurkiem, zza którego podniosła się z miłym uśmiechem niemłoda już kobieta, pewnie magister historii sztuki. Oczywiście pana kustosa nie ma, jest na urlopie, ale ona postara się załatwić, co tylko będzie możliwe. Położyłem rodłały na biurku i zdjęłem poszwę. Wyglądały dziwnie na tym biurku, jakieś pomniejszone, jak zdjęta rzeźba postaci z ołtarza, przyniesiona do zbadania, bo ją kornik toczy. Tak mi jakoś dziwnie mignęło. Kobieta bez słowa wyszła z biurka, ujęła za rączki i zaczęła ostrożnie obracać drążkami rodłału, przypatrując się uważnie przesuwającemu się zwojowi kolumn na pergaminie. Twarz miała teraz poważną i skupioną. Nie wiem o czym myślała wtedy, pewny jednak jestem, że pierwszy raz w życiu trzymała

rodały w rękę i pierwszy raz widziała je przed sobą, tak blisko. Zupełnie jak ja wczoraj. Tylko zapewne myśli i wspomnienia były inne. Nie pytałem jakie.

— Wie Pan — powiedziała jeszcze nachylona nad pergaminem — nie jest to moja dziedzina, ale z tego co widzę... nie ma tu ozdobnych liter początkowych, przerywników, ozdobnych rysunków ilustracyjnych, jak w starych psalterzach, a rękojeści i drążki — też nic szczególnego. Wszystko więc wskazuje na to — powiedziała podnosząc się znad pergaminu — że prawdopodobnie pochodzi z pierwszej połowy zeszłego wieku.

— Potrzebuję zaświadczenia — powiedziałem — na wywóz za granicę. Chyba nie jest to tak cenny zabytek, że wywożąc ogołociłbym i tak już uszczuplone po wojnie polskie dzieła sztuki.

— Nie ma obawy — odpowiedziała uśmiechając się — rodały te nie przedstawiają większej wartości artystycznej, ale możemy je zakwalifikować do przedmiotów kultury masowej — to takie teraz bardzo modne określenie — użytku kultowego. Tak napiszemy. Też pięknie pomyślałem. Jakby nie było kwalifikowane, określane, nazwane, oceniane, dla starego ma zupełnie inną wartość. Wręczając zaświadczenie podała mi rękę na pożegnanie. Uścisnąłem i serdecznie podziękowałem.

— I ja dziękuję — powiedziała — po raz pierwszy w życiu miałem okazję obejrzeć rodały.

— Ja też — powiedziałem wychodząc.

Teraz szybko do Desy, pomyślałem, rozglądając się za tak-sówką. Na próżno. Skręcając za rogiem jednej z ulic, zauważyłem stojącą pustą taryfę. Po słonecznej stronie ulicy, na placu oczyszczonym po zburzonym budynku, stał kiosk z piwem. Dwóch młodych facetów, opartych leniwie o kiosk, sączyło piwko z kufli zagryzając papierosem. Trzeci, przysadzisty, pił rozmawiając z kioskarką. Przejąć by na drugą stronę, pomyślałem, też by się napić piwka, taki gorąc. Ale jak, z rodalami na plecach? Trzeba będzie odstawić, zaczną się rozmowy. Nie. Już miałem ruszyć dalej, gdy trzeci mężczyzna, ten przysadzisty odstawił wypity kufel. Coś mnie tknęło. Stałem, wyczekując. Przysadzisty odwrócił się, coś jeszcze rzucił kioskarkowi i zaczął na ukos przechodzić jezdnię prosto w stronę wozu.

— Wolny? — upewniłem się jeszcze, gdy kluczem otwierał drzwi „Warszawy”.

— Nie widzisz, pan — rzucił wsiadając.

Nie zdążył jeszcze otworzyć tylnych drzwi wozu, jak już byłem w środku.

— Na plac Kościuszki — rzuciłem, gdy wóz ruszał.

Wysiadając przy placu nagle wpadłem w panikę. A nuż Desa nie czynna „z powodu urlopu”. Czekać nie mogłem. Pojutrze

miałem być z powrotem w Warszawie. Zrzuciłem rodały na ramię i biegiem ruszyłem na drugą stronę ulicy. Minałem fasadę Domu Towarowego i skręciłem na lewo na plac. Po przeciwległej stronie placu, teraz już w cieniu, mieściła się Desa. Nie mogłem dostrzec czy otwarta. Skracając drogę przeszedłem ukosem jezdnię w kierunku trawnika. Nie zauważyłem, że z mieszczącej się w tym kącie placu kawiarni Klubu Prasy i Książki, znanej mi dobrze, wyszło kilka osób. Usłyszałem nagle wołanie. Obejrzałem się. Machali do mnie znajomi, para aktorów i młody pisarz. Już byli przy mnie.

— Serwus stary! Gdzieś się podziewał? Co porabiasz? — zasypała pytaniami dziewczyna.

— Pracuję — powiedziałem.

— To widać — odezwał się młody pisarz już na orbicie. — Co tu targasz? Zwinięte sztandary partii na święta lipcowe?

— Nie — powiedziałem. — Rodały.

— To świetnie. Rozwiniemy je w marszu na czele pochodu.. za poczem sztandarowym — i po chwili dodał: — Będzie na czasie... Chodź z nami do Dziennikarzy, Oblejemy to. Pomysł, co?!

— Nie mogę, widzisz, spieszę się — wymawiałem się — wracam jutro do Warszawy. Cześć!

— Wpadnij wieczorem do Klubu na Rynku, pogadamy spokojnie — usłyszałem jeszcze wołanie dziewczyny, gdy biegłem już dalej. Dopadłem Desy. Ulżyło mi, gdy spostrzegłem uchylone drzwi. Odsapnąłem, przerzuciłem rodały na drugie ramię i już spokojnie wszedłem do środka. Kierownik zajęty był starszym panem, który przy oknie wystawy oglądał uważnie stary ryngraf. Skinęliśmy sobie głowy z daleka. Znaliśmy się od czasu jak wpadałem tu ze znajomym dekoratorem wewnątrz oglądać różne przedmioty, które w dekoracji mogły uchodzić za „stare”, chociaż były świeższej daty. Położyłem rodały na stole. Zachwiał się — jednej nodze brakowała łąpa. Przetarłem pot z twarzy i karku i cierpliwie czekałem.

— Witam, co nowego — zagadnął kierownik, gdy klient wyszedł nie kupiwszy ryngrafu. — Co za film teraz robicie? Z jakiej epoki?

— Pieców — wyrwało mi się.

(Nie, nie był to ponury żart. Była to najświęsza prawda. Mieliśmy właśnie wyjechać na zdjęcia do byłego obozu zagłady Birkenau-Brzezinki).

— To jeszcze nie u mnie — odparował.

— Przyszedłem tym razem — zacząłem oficjalnie — w sprawie oszacowania.

Nachyliłem się i ściągnąłem poszwę ze zwoju.

— Chodzi o wartość tego rodzaju — dodałem.

Pochylił się nad stołem i zaczął fachowo oglądać. Obracał zwój, przypatrywał się pismu, oglądał drążki. Milczał. Poderwał się nagle i zwrócił do mnie:

— Panie, jak ja mam to oceniać... przecież... — urwał. Patrzyliśmy na siebie.

— Nie wiem. Potrzebuję „wycenę” — przerwałem milczenie — dla Urzędu Cel do wywozu. — Wyjąłem z kieszeni dopiero co otrzymane zaświadczenie i podałem mu. Przejrzał i uśmiechnął się, „kultura masowa” — mruknął — „przedmiot kultu”.

— Jak się orientuję, będzie Pan musiał zapłacić dziesięć procent wartości. Wycenimy więc na pięć tysięcy złotych. Zgoda?

Uradowany, naciągnąłem znowu poszwę na rodzaje i po paru minutach szedłem spokojnie placem Kościuszki do postoju taksówek.

Następnego dnia zdążyłem załatwić jeszcze transport i ludzi do pomocy, a w nocy wyjechałem do Warszawy. W kilka dni później byłem już zajęty zdjęciami do filmu na terenie byłego obozu zagłady Birkenau-Brzezinki...

We wrześniu ojciec opuścił kraj. Poszły za nim w skrzyni z bagażem rodzaje, w nowo uszytym pokrowcu. Zdążyłem starego jeszcze pożegnać na Dworcu Gdańskim. Nie tłoczny jeszcze, bez większego ruchu. Odprawy transportów miały się dopiero zacząć za rok...

W 1976 roku, w rocznicę śmierci ojca, przyleciałem z Kopenhagi do Izraela. Cmentarz w Ramat Hanasi, gdzie leży ojciec, jest najniezwykłym cmentarzem jaki dotychczas widziałem. Jakby za jednym pociągnięciem „zaludniony”.

Na płaskim, olbrzymim terenie niczym nie osłoniętym, stoją groby z tego samego jasnoszarego kamienia, wszystkie w prostokątnych kształtach płyt poziomych i pionowych, bez rzeźb i ozdób, w równych geometrycznych ponumerowanych szeregach zwróconych płytami pionowymi na wschód. Jak cmentarze poległych żołnierzy w drugiej wojnie światowej, które widziałem po całej Europie. Między alejami dopiero niedawno posadzone, z rzadka, anemiczne drzewa.

Spoczywaj w pokoju, ojcze, pod tą wypaloną ziemią. Pan Twój, któremu wiernie służyłeś do końca, z pewnością przyjął Cię, swojego wiernego Hioba, z szacunkiem na jaki zasłużyłeś. Przydałoby Ci się tylko trochę cienia i szumu zielonych konarów drzew małego cmentarza.

Kuba GOLDBERG

Kopenhaga - Ramat Hanasi, październik 1978

Archiwum polityczne

Polityka niepodległościowa

(OBÓZ I ŚWIAT)

Nigdy jeszcze w terminie „wolny świat” nie było tyle ironii i zwątpienia. Otoczenie kapitalistyczne zmieniło się w otoczenie komunistyczne. Jego widowym dowodem jest promoskiewska maszynka do głosowania w Zgromadzeniu ogólnym ONZ. Wolny świat upodobił się do wioski żyjącej spokojnie i luksusowo w cieniu obozu. Bowiem, jak zauważył Mieroszewski, gdy nasi alianci zrezygnowali w Jałcie z pogranicznych kasztelanii — Europy Środkowej i Wschodniej, Europa Zachodnia zmieniła się w pograniczną kasztelanię Stanów Zjednoczonych. By uzyskać faktyczną niezależność w obliczu starych (USA, ZSSR) i nowych potęg (Japonia, Chiny), Europa Zachodnia próbuje się dziś zjednoczyć ponad podziałami, wytwarzanymi — z naszego punktu widzenia — przez różne ceny chleba i igrzysk.

Dawne powiedzenie „wybrać wolność”, określające tymi dwoma słowami cały sens ucieczki z obozu na Zachód oznacza coraz bardziej wolność „od” niż wolność „do”. Podobozowe wioski dają wprawdzie schronienie uciekinierom i banitom, ale eksportują też narzędzia służące przemocy. Kajdanki Bukowskiego *made in USA*, to tylko anegdotyczny dowód jak płynna jest granica między podobozową wsią a dalekim, zdawałoby się, wolnym miastem. Nieoficjalnej życzliwości okazywanej powszechnie uciekinierom, towarzyszy oficjalna życzliwość okazywana strażnikom. Nic w tym dziwnego, bo wprawdzie Finlandia zaczęła buntować się przeciw finlandyzacji, ale Europa Zachodnia jeszcze nadal nie za bardzo wie, co finlandyzacja oznacza. Codzienna wszechobecność obozu tak wrosła już w świadomość mieszkańców wioski, że zapominają czym ona jest, zmęczeni są już jego nudnym, ponurym koszmarem. Obozu „nie widać” z poblężnych

kasztelanii, tak jak „nie widać” było w Sowietach Archipelagu GUŁag. Już opatrzyły się, fotografowane na pierwszych stronach gazet, bramy obozu: Brandenburska, Ho-shi Minha, Hawańska. Niepewność zawsze bardziej przyciąga uwagę niż pewność. Wioska śledzi więc dziś Bramę Teherańską. Kto przy niej stoi: strażnicy czy byli więźniowie? Wpatrując się w znane bramy, Zachód przeoczył z kolei utworzenie nowych: w Angoli i w Afganistanie.

Większość, olbrzymia większość więźniów także „nie widzi” już obozu, choć więźniowie właśnie niosą w każdym dniu naprzód sztandar totalitaryzmu. Własna niewola tak ich gniecie, że rzadko widzą rozjeżdżające po świecie jej forpocząty. Oto rzecz godna ponurego uśmiechu historii. My, Polacy, którzy nie wierzymy wielu Niemcom, gdy zaklinają się, że nie wiedzieli o zagazowywaniu ludzi w obozach śmierci, my też... „nie wiemy”. Nie wiemy o pół milionie Wietnamczyków w obozach koncentracyjnych, o *boat-people*, którzy na byle tratwach uciekają spod władzy Hanoi i jedna trzecia z nich tonie w morzu lub umiera od chorób. Nie wiemy o terrorystach szkolonych w obozie koło Karlowych Varów i o stymulowanej przez Moskwę autentycznej Międzynarodowce terrorystycznej. Nie wiemy o łamaniu praworządności przez rząd Allende w Chile, nie wiemy do jakiej ruiny doprowadził on gospodarkę kraju, co w dużym stopniu spowodowało faszystowski zamach stanu. „Nie wiemy”, bo jak mówi przysłowie: Spoza drzew nie widać lasu. Ci z kolei, którzy mówią, że „wiedzą”, wiedzą na ogół na zasadzie ludowej mądrości, która Moskwie nie bez racji przypisuje perfidne knowania i rozpasany imperializm. Ci widzą więc las barbarzyństwa i nie zauważają w nim szlachetnych drzew: Sołżenicyna, Sacharowa, Orłowa i setek im podobnych. Jak pokazał czas, jest to widzenie obronne, nie sprzyja ono czynnemu działaniu.

Może po raz pierwszy Czechosłowacja uświadomiła polskiemu społeczeństwu, że jesteśmy nie tylko własnymi strażnikami, ale pogromcami cudzej wolności. Prosty fakt, że nie tylko strażnicy, ale mordercy są wśród nas dociera do nas z trudem. Wszyscy jesteśmy urzędnikami śmierci, które niosą za sobą obozowe wojny. Stary problem: jesteśmy czy nie współodpowiedzialni za totalitaryzm? Czy jesteśmy jako naród odpowiedzialni za politykę obozu? Dotychczasowa odpowiedź była jasna: odpowiadają jednostki. Odpowiadają za tę politykę ci, którzy mają odwagę (lub tchórzostwo, zależnie od punktu widzenia) mówić komunizmowi „tak” i wyciągać z tego praktyczne konsekwencje, niezależnie od zgłaszanych prywatnie czy publicznie „ale”. Od trzech lat sytuacja się jednak zmieniła. Wkroczyliśmy na drogę ucłowieczenia naszego losu narodowego. Przestaliśmy być już prze-

straszonym, zagonionym tłumem, który między jedną a drugą podwyżkową rewoltą biegnie z cel naszych mieszkań do pracy, z pracy do kolejek po mięso, od kolejek do zatłoczonych tramwajów. Przestaliśmy być tłumem, w którym toną garstki straceńców, krzyczących, że tak nie można i... niewiele więcej dążących wykrzyknąć przed procesem i więzieniem. Wyzwoliliśmy w ciągu ubiegłych trzech lat pierwsze autentyczne siły społeczne. Daliśmy już nie znak, a dowody odrodzonej świadomości narodowej. Nikt więc nie uchroni nas już od odpowiedzialności za to, co się z nami dzieje. To jest ciężar wolności. Jakby wolność nasza nie była rachityczna, trzeba go unieść.

Jak wiadomo stary dylemat obozowy polegał na pytaniu, dlaczego tysiąc więźniów nie rzuci się na jednego strażnika? Iluś poniesie śmierć, ale przecież większość ocaleje od pewnej zguby. Pytanie to zadawało sobie wielu moralistów widząc w bierności bezbronnego stada i w terrorze paralizującym instynkt samoobrony jakiś wyjątek cywilizacyjny, który obowiązuje w totalitaryzmie. Byli przekonani, że zanim ludzie szli do pieców, gett czy kołymskich łagrów przechodzili przez system stopniowego upodlenia, który powodował, że w ostatecznym, decydującym o życiu momencie łagier był już w duszach. Rozważania te — czy dotyczyły Żydów w gettach, Rosjan w łagrach czy Niemców w państwie hitlerowskim — abstrahowały od faktu, że trzeba — w sensie dosłownym i codziennym — mieć dokąd uciekać. Gdy barak jest w zonie, zona w obozie, a obóz w odrutowanym kraju, działa codzienna równowaga strachu i terroru. Ideałem tej równowagi były wewnętrzne więzienia NKWD, specjalne więzienia w zwykłych więzieniach, przeznaczone dla tych wyselekcjonowanych więźniów, którzy mogliby innych zarazić buntem. Opór w totalitaryzmie rodzi się tylko przy szczególnej porporcji bezwzględności do rozluźnienia systemu duszącego się we własnym gorsecie. Nagły wybuch względnej wolności w Polsce jest wynikiem paraliżu władzy, głównie paraliżu ekonomicznego. Jeśli chcemy by wolność ta z incydentalnej zmieniła się w trwałą, jeśli chcemy by korytarz wolności w obozie się poszerzył, musimy wyciągnąć z obecnej sytuacji wnioski, wykraczające poza problematykę społeczną i narodową naszej polskiej zony.

Kisielewski na pytanie swojej broszury „Czy istnieje walka o świat?” odpowiedział: — Tak, istnieje. Tylko Związek Sowiecki walczy świadomie, wie czego chce („My ich już nauczymy pracować”, powiedział sowiecki dygnitarz do Miłosza w Paryżu). Zachód zaś, który utracił „duszę wojownika” wciąż nie chce sobie jasno powiedzieć, że czerwony carat przejął rolę Hitlera w podboju świata. Revel pisał o „pokusie totalitarnej”, od której demokracje zachodnie nie mogą się wyzwolić. Socjalizm, który

uznał za ideologię przyszłości, ma za głównego wroga nie kapitalizm, a komunizm. Totalitaryzm i walka z nim jest centralnym problemem naszej cywilizacji. Problemy obozu są więc problemami świata. Gdy pokolenie wojennej emigracji pytało Zachód dlaczego oddał w Jałcie swoje pograniczne kasztelanie, trudno było nawet pytanym skojarzyć, gdzie one leżą. Dziś jest mimo wszystko inaczej i gdy opozycja zaczyna mówić o Polsce jako kraju zachodnim (jakby kraj i kultura oznaczały to samo), przywołuje zupełnie niepotrzebnie karykaturę ubożego krewnego potrzęsającego szabelką. Gdy mówimy natomiast o Polsce jako zonie obozu, która wciąż chce się wyzwolić i dlatego właśnie w końcu się wyzwoli, jest to jasne, odpowiada realiom politycznym i budzi szacunek. Bowiem choć imperium sowieckie jest wielkie, każdy wykształcony człowiek Wschodu i Zachodu wie, że wszystkie imperia już upadły, więc i to musi w końcu upaść. A jego rakowaty rozrost jest bardziej sygnałem fazy schyłkowej niż rozkwitu. Wie też, że mimo podobieństw w polityce globalnej supermocarstw nie ma porównania między republiką imperialną Stanów Zjednoczonych a imperium kolonialnym Sowieców. I wie jeszcze, że imperia upadły obalone przez ludzi, których najpierw zabijano, potem tylko więziono, a zanim urosli w siłę nazywano ich grupką dysydentów.

Dotychczas opozycja polska prowadzi wyłącznie politykę wewnętrzną. Nie zajmuje stanowiska — przez źle rozumianą ostrożność — w sprawach międzynarodowych obozu. W sprawie sowiecko-kubańskiej agresji w Angoli, czy w sprawie popieranej przez Rosjan syryjsko-palestyńskiej masakry chrześcijan w Libanie. Akcje naszej opozycji toczą się, jak u Jarry'ego, „w Polsce czyli nigdzie”. Ignorowane są szanse na wejście w krąg polityki globalnej. Widzimy już sąsiadów okolicznych zon: Czechów, Ukraińców, Białorusinów i Niemców. Spójrzmy dalej: to za nasze racje mięsne „wyzwalany” jest Wietnam, Angola i Kambodża. To my finansujemy zachodnie partie komunistyczne. Jak w czasach porewolucyjnego głodu, Sowiety opłacają twardą walutą z zachodnich kredytów eksport rewolucji. Dlaczego Włoska Partia Komunistyczna jest bardziej liberalna niż Francuska? My finansujemy Włochów, a Francuzów finansują Rosjanie, odpowiadają Polacy w warszawskiej anegdocie.



Polityka jest grą nie tylko sił już istniejących, ale i sił potencjalnie mogących się wyzwolić. Ludność Polski jest równa liczbie ludności wszystkich krajów skandynawskich, polska armia jest druga, co do potencjału w Układzie Warszawskim. Jeśli

mamy prowadzić politykę niepodległościową ten element jest jednym z pierwszych atutów pod warunkiem, że będziemy go świadomi. Jakie jest morale tej armii, jak żołnierze jako obywatele patrzą na równanie „Ojczyzna = Partia = Naród”? Czy mają nastawienie antykomunistyczne czy też poddali się już pseudopatriotycznemu praniu mózgow? Czy dociera do nich myśl, że są narzędziem agresji obozu? Nie jest to jałowa spekulacja. Żadne siły międzynarodowe nie zainteresują się krajem, który skupia się na własnych losach w oderwaniu od układu światowego. Przy tym faktyczny potencjał nie tak jest istotny jak umiejętność każdorazowego stawiania swojej sprawy na linii światowej konfrontacji. Sprawa żydowska, sprawa palestyńska, sprawa wietnamska powraca na łamy prasy światowej nie tylko przez sam fakt wojen, ale przez nieustanne akcentowanie ich związku z pewnym *continuum*, które trwa w świadomości opinii publicznej. Przez pojawianie się na granicy obozu i wolnego świata. W momencie, gdy sprawa polska jest przez samą opozycję sprowadzana do ram zony, a co najwyżej dwóch sąsiednich zon, możliwość wyjścia z postulatem niepodległości na arenę międzynarodową równa się zeru.

W sposobie myślenia przeciętnego Polaka często mieszają się dwa skrajne atawizmy. Pierwszy: izolacjonizmu na zasadzie „moja chata z kraja”, podczas gdy nasza chata jest na polu bitewnym. Drugi: bezinteresownego poświęcenia. Niezrozumiane, zdradzone przedmurze chrześcijaństwa. Polityka niepodległościowa w świecie jest w każdym z tym ujęć raczej ruchem idei niż kalkulacją interesów. Dlatego Polacy tak często po kolejnej fazie *wishfull thinking* czują się bardziej oszukani i sprzedani niż przegrani. Obie te atawistyczne reakcje świadczą o tym, że wielka lekcja drugiej wojny światowej, którą na wiele sposobów analizował w swojej publicystyce Juliusz Mieroszewski, do dziś w skali społecznej nie została przetrawiona. W dokumencie PPN na temat rocznicy 60-lecia Niepodległości autorzy czuli się zobowiązani specjalnie podkreślić, że prezydent Wilson *bezinteresownie* żądał przyznania Polsce niepodległości. W polityce nic nie jest bezinteresowne, co nie znaczy, że pewne interesy nie są podporządkowane zasadom moralnym. Ale nawet brak interesu jest rodzajem interesu. Wyłania się więc pytanie, czy należy liczyć na bezinteresownych szlachetnych przyjaciół, czy na interesownych nieprzyjaciół naszych nieprzyjaciół. Otóż, o ile dla Zachodu my nie jesteśmy partnerem, Zachód nie ma powodu, by stawać na nasze nieistniejące jeszcze przedmurze, dla dalekich Chin jesteśmy już dziś partnerem. Możemy bowiem już wkrótce być jednym z kilku zachodnich zmartwień rosyjskiego hegemonu, by operować terminologią chińską.

W czasie ostatniej konfrontacji między Pekinem a Moskwą Breżniew zaproponował Zachodniej Europie podpisanie paktu o nieagresji. Rosja otwarcie wypowiedziała swoje, skądinąd oczywiste, intencje. Chce mieć spokój na Zachodzie. Wniosek z tego jest prosty: jeśli chce się cokolwiek uzyskać, trzeba nie dawać jej spokoju. Rosyjskie czołgi nie pojawią się w Warszawie dlatego, że polska delegacja emigracyjna, popierana przez opozycję w Kraju złoży wizytę przyjaźni w Pekinie. Natomiast wizyta taka stworzyłaby oczywistą presję tak na krajowych jak i moskiewskich strażników naszej zony. Acz różne w metodzie, nie byłoby to działanie bez precedensu. Zostawmy przypadek Jugosławii, kraju komunistycznego, którego komunizm jest rodzimy i niepodległy, sam kraj zaś neutralny. Ale Rumunia, członek Układu Warszawskiego i RWPG, uprawia świadomą politykę szukania przeciwagi wobec sowieckiego molocha. Goszcząc Chińczyków, przeprowadzając mobilizację przeciw Rosji w momencie inwazji na Czechosłowację, buduje krok po kroku swoją niepodległość. Że jest to kraj totalitarny? Że mają swojego Sołżenicyna — Gome? Tak, wszystko to prawda, ale między frankizmem pierwszego i ostatniego dziesięciolecia różnice były też niemałe.

Powtórzmy: w polityce niepodległościowej nie można liczyć na bezinteresowność a na sojusze oparte na racjach niezależnych państw lub narodów. Tylko zasadnicze zachwianie interesów wolnego świata w konflikcie Północ-Południe (niewątpliwie stymulowanym przez konflikt Wschód-Zachód) może spowodować, że kraje Europy Wschodniej i Środkowej znajdą się, zgodnie z marzeniami ich mieszkańców, w roli „braci odłączonych”. Budować jednak coś na tym związku — a motyw sojusznika Zachodu nieustannie powraca w publicystyce opozycyjnej — jest niepoprawną naiwnością. Nie pomoże nam eurokomunizm ani demokracje europejskie. Jedyna Międzynarodówka Demokratyczna, jaka może nam pomóc, to będzie ta, którą sami założymy. Po wszystkich zachodnich niepowodzeniach w walce z komunizmem z *zewnątrz*, jasne jest, że obóz-imperium można tylko rozsądzić od *wewnątrz*. A w tym nie możemy liczyć na nic ponad sympatię i zrozumienie.

Na razie dalecy jeszcze jesteśmy od wprowadzenia *sprawy polskiej* na forum międzynarodowe. O ile wewnętrzne problemy mogą być rozstrzygnięte tylko przez krajowe społeczeństwo, w podnoszeniu kwestii niepodległościowej na arenie międzynarodowej pierwsze skrzypce grać będzie emigracja. To ona wyposażona w pełnomocnictwo i poparcie kraju może przedstawiać nasze roszczenia innym krajom czy organizacjom międzynarodowym. Do tego trzeba bowiem swobody ruchu i jak najpełniejszej orientacji w układzie międzynarodowym. Trudno np. sobie wyobrazić,

żeby oficjalnie udała się do Chin delegacja złożona z przedstawicieli jawnych i tajnych krajowych ugrupowań politycznych. Może natomiast udać się tam Komitet Polski desygnowany przez Kraj, w którego skład wchodziłoby przedstawiciele emigracji niepodległościowej. Podkreślamy, żeby była jasność: nie chodzi tu o przedstawicieli Polonii, o przedstawicieli skupisk Polaków na świecie; tu chodzi o tę aktywną część polskiego wychodźstwa, która przez trzydzieści kilka lat panowania komunizmu w Polsce dała krajowi dowody kultywowania i rozwijania idei Polski Walczącej — Polski, która ma prawo do samodzielnego bytu państwowego niezależnie od tego, co na ten temat mówią wielkie mocarstwa i międzynarodowe traktaty.

Krytyka emigracji przez Mieroszewskiego (są miliony Polaków-etników, a nie ma nawet stu tysięcy Polaków-państwowców) abstrahowała trochę od faktu: jak długo państwowcy będą mogli walczyć o niepodległość, o którą społeczeństwo w Kraju nie umie się upomnieć? Ten etap mamy na szczęście już za sobą. Działacze i publicyści wszystkich ugrupowań, niezależnie od ich rodowodu politycznego potwierdzają: jesteśmy przeciw totalitaryzmowi, jesteśmy za niepodległością i demokracją. Kraj odnalazł wspólną linię działania z resztkami wojennego, żołnierskiego wychodźstwa. Pora potwierdzić to faktami, tzn. konkretnymi deklaracjami poparcia dla konkretnych ludzi czy organizacji emigracji niepodległościowej. To pozwoliłoby ukonstytuować się Komitetowi Polskiemu.



Jakie kroki w niepodległościowej polityce zagranicznej są już dziś możliwe? Otóż możliwe jest opracowanie przez różne odłamy opozycji, zarówno jawnej jak i tajnej, deklaracji niepodległościowych skierowanych do innych narodów. Ostateczne sformułowanie takich memoriałów powinno być poprzedzone publikowaniem w niezależnej prasie ich projektów. Społeczna dyskusja poprzedzająca akcję zbierania podpisów byłaby momentem bardzo istotnym wychowawczo i politycznie. Lepiej zredukować liczbę zagadnień do nie budzących wątpliwości niż występować na zewnątrz niesolidarnie. O ile bowiem zgłaszanie racji społecznych wobec władz podlega zdrowej i naturalnej polaryzacji postaw i podziałom, o tyle manifestowanie wobec innych narodów sprawy niepodległościowej powinno mieć charakter możliwie jednoznaczny. Nie według zasad dwóch Polaków — trzy partie i trzech Polaków — dwa pisma.

Koncepcja współpracy krajów Europy Środkowej i Wschodniej nabiera znaczenia dopiero, gdy za hasłami solidarności przyjdą fakty: społeczeństwa krajów satelickich będą o swoich dzia-

łaniach wzajemnie wiedzieć, będą współpracować w działalności opozycyjnej. Za każdym z nas nie stoi przecież czekista z naganem. Polacy kontrolują Polaków, Niemcy Niemców, Czesi Czechów, a na granicach wszyscy wszystkich. Zespół spraw związanych z polską polityką wobec okolicznych zon: Ukrainy, Litwy, Białorusi, Czechosłowacji i Węgier jest w nowym pokoleniu bardziej problemem organizacyjnym niż problemem przemian świadomości. W ciągu wielu lat, na początku w izolacji, *Kultura* rewidowała tradycyjny, hegemonistyczny stosunek Polaków do narodów zamieszkujących ziemię między Polską a Rosją. Analizowała wnikliwie problem Wilna i Lwowa. Popularyzowała dążenia wolnościowe tych narodów, które płacą za swoją walkę wysoką cenę. Podobnie wysuwany był wielokrotnie program zbliżenia Polski, Czechosłowacji i Węgier dla utworzenia pewnej przeciwwagi do Rosji. Jest to temat sam w sobie, o przedwojennej jeszcze historii. W stosunku do wszystkich tych pięciu narodów zbliżenie jest dzisiaj bardziej zagadnieniem popularyzacji dotychczasowego dorobku myśli niepodległościowej niż wciąż żywym sporem ideologicznym. Decydujące jest powolne przewycięzanie generacyjnych urazów. Budzącym nadzieję wzorem może być czechosłowackie pismo niezależne *Polska i my*, informujące o działaniach polskiej opozycji. Elementarna polska racja narodowa wymaga natomiast dalszego komentowania i interpretowania tego kierunku naszej polityki zagranicznej, szczególnie przed oficjalnym przedstawieniem go innym narodom. Inną dziedziną jest sprawa stosunków polsko-niemieckich, polsko-rosyjskich i polsko-żydowskich. Są one tymi, w których najczęściej jest obustronnych uprzedzeń. Brak jasnej wypowiedzi kraju na arenie międzynarodowej wobec zupełnie nieodpowiedzialnej polityki PRL, poczynił nam wiele strat i zaprzepaszcza wciąż nowe szanse nawiązania przyjaznych stosunków z narodami: niemieckim, rosyjskim i żydowskim. Poruszam tu celowo, jedną po drugiej, sprawy zupełnie różne. Nie tyle bowiem chciałbym naświetlić je, ile wskazać oczywisty konflikt między polityką niepodległościową a polityką PRL. Choć każda z tych spraw jest zupełnie inna, łączy je jedno. Długa tradycja bliskiej koegzystencji obu narodów, często naznaczonej — jak w wypadku Rosji niemal wyłącznie — konfliktami. Sprawa stosunków polsko-żydowskich jest najbardziej z nich karykaturalna. Choć nie ma konfliktu narodów — jest konflikt obustronnych resentymentów.

Jeśli chcemy wyjść na arenę międzynarodową ze sprawą polską i znaleźć wspólne cele z innymi narodami, musimy najpierw trzeźwo spojrzeć zarówno w naszą przyszłość jak i przeszłość.

Maciej POLESKI

Alternatywa

Lat temu kilkanaście pewien profesor matematyki na jednym ze znanych wschodnich uniwersytetów amerykańskich, wydał płytę z własnymi piosenkami. Były to piosenki, z grubsza rzecz biorąc, w stylu naszych teatrów studenckich: literackie, polityczne, no i satyryczne. Jedna z nich nosiła tytuł *National Brotherhood Week* tj. Ogóln amerykański Tydzień Pobratymstwa. Treść piosenki była mniej więcej taka: w Stanach wszyscy nienawidzą wszystkich; biedni bogatych, bogaci biednych, mużłmanie chrześcijan, ktoś tam jeszcze kogoś tam, etc. W tej sytuacji, autor proponował ustanowienie ogólnonarodowego tygodnia bratania się.

Tyle piosenka. A teraz przejdźmy od zmyślenia wokalnego do zmyślenia politycznego, do tego co nazywane bywa niekiedy grą futurologiczną. Nie lubię tego co w oficjalnej Polsce uprawiane bywa jako futurologia i nie bez smutnej satysfakcji obejrzałem sobie walące się w gruzy futurologiczne zamki różnych panów profesorów, międzynarodowych ekspertów od modnych tematów i wykwintnych dziennikarzy. W maju 1967 roku spędzili oni tydzień na Mazurach, opracowując wizję pięknie urządzonej, socjalistycznej Polski. Przewidzieli ci panowie wszystko, z wyjątkiem paru drobiazgów: wojny na Bliskim Wschodzie, przemówienia Gomułki na kongresie związków zawodowych, podwyżki cen w grudniu 1970 roku... Poza tym oczywiście nie przewidzieli tego, iż żaden kraj nie może być i socjalistyczny i pięknie urządzony. To tak, jak nie można być jednocześnie inteligentnym, uczciwym i komunistą. No, ale nie wymagajmy zbyt wiele od panów profesorów i wykwintnych dziennikarzy.

Tak więc nie lubię tego co w Polsce nazywa się futurologią. Niemniej sądzę, że społeczeństwo nie posiadające żadnej wizji przyszłości musi być chore i że jedną z chorób społeczeństw urządzonych na wzór sowiecki jest właśnie brak jakichkolwiek perspektyw. Co zaś do ludzi, którzy w tychże społeczeństwach starają się myśleć niezależnie, to jakaś wizja przyszłości stanowi tego myślenia składnik niezbędny.

To co mam zamiar napisać stanowi próbę odpowiedzi na pytanie bez którego, moim zdaniem, żadna wizja przyszłości obejść się nie może, pytanie, najczęściej pomijane milczeniem niemal magicznym; myślę rzecz jasna o publikacjach ruchu oporu.

Podstawowe dwie przesłanki mego rozumowania są następujące: a) wszystkie narody wzięte w dyby demokracji ludowej, a także część narodów wchodzących w skład ZSSR, marzą o rozpadzie sowieckiego imperium; b) w pewnym momencie, ruchy niepodległościowe w ramach ZSSR i jego europejskich półkolonii

okrzepną na tyle, że zaczną prowadzić między sobą pertraktacje, powiedzmy, przed-rządowe.

Pytanie: jak powinna być rozwiązana kwestia granic przyszlých suwerennych „kdl-ów”, krajów bałtyckich, Finlandii, Białorusi, Ukrainy?

Otóż jak się wydaje, wszystkie dające się obecnie pomyśleć odpowiedzi, a także — co ważniejsza — wszystkie nie dające się przewidzieć warianty możliwych odpowiedzi, dają się sprowadzić do alternatywy, do dwóch ewentualności.

Pierwsza: ruchy niepodległościowe zaczynają wzajemne kontakty od propozycji przyszlých zmian terytorialnych.

Druga: ruchy niepodległościowe od pierwszej chwili wzajemnie zobowiązują się wzajem do:

1) uznania w zakresie granic *status quo* powstałego po drugiej wojnie światowej;

2) pełnego i faktycznego poszanowania praw mniejszości narodowych wraz z prawem do dobrowolnej i tylko dobrowolnej zmiany kraju stałego zamieszkania;

3) nieporuszania przez lat 30 od momentu uzyskania suwerenności sprawy zmian granicznych;

4) po tym okresie rozwiązywania ewentualnych korektur granicznych wyłącznie w drodze pokojowych pertraktacji;

5) zasady powyższe stosują się do wszystkich europejskich republik związkowych ZSSR oraz do jego europejskich półkolonii, łącznie, rzecz jasna, z obecną granicą polsko-niemiecką;

6) zasada piąta nie obejmuje tzw. odvodu kaliningradzkiego, którego przyszłość ustalona zostanie w ramach odrębnych pertraktacji litewsko-polskich, nie obejmuje ona również sprawy zjednoczenia Niemiec w ramach, i tylko w ramach, obecnych granic obu państw niemieckich.

Jak się wydaje, niezależnie od ewentualnych mankamentów sformułowań poszczególnych punktów, idea przewodnia została tu wyrażona w sposób jasny. Otóż przeciw idei tej można wysunąć szereg zarzutów:

- jest doktrynerska do śmieszności;
- nie liczy się z emocjami narodowymi, które stanowią arcyważny składnik sytuacji politycznych;
- jest niesprawiedliwa;
- jest obraźliwa, traktuje bowiem kraje Europy Wschodniej i Środkowo-Wschodniej niczym byłe kolonie afrykańskie;
- pomija elementarne założenie każdej polityki, które głosi, że żaden polityk nie rezygnuje z góry z tego co może być zdobyte chytrą lub przemocą, a w każdym razie może być przedmiotem przetargu.

Mam nadzieję, że uczciwie przedstawiłem wszystkie, a przynajmniej główne zarzuty jakie można wysunąć pod adresem opisanej przed chwilą koncepcji (nazwijmy ją umownie koncepcją stabilności). Postaram się teraz odpowiedzieć na tę krytykę.

Tak — koncepcja stabilności jest doktrynerska w tym sensie, w jakim doktrynerskie są wszystkie świadome i wyrażane wprost założenia długofalowej polityki.

Nie — nie jest tak, by koncepcja ta nie liczyła się z emocjami narodowymi. Nie głosi ona więc, że pozostawienie Transylwanii w ramach państwa rumuńskiego lub monoetniczności Polski stanowią szczyt marzeń każdego Węgra lub Polaka. Wychodzi ona jedynie z założenia, że Węgrzy i Polacy są w stanie dokonać rachunku zysków i strat związanych z omawianą tu alternatywą i przyjąć pewne rozwiązania jako mniejsze zło. Takie sformułowanie zakłada, iż wskutek działania wielu przyczyn natury historycznej przede wszystkim (lecz po części i geograficznej), nie istnieje żadne idealne rozwiązanie spraw narodowych w tej części Europy; możliwe są jedynie rozwiązania mniej lub bardziej szkodliwe, i wybierać należy właśnie według zasady możliwie mniejszego zła.

Tak — proponowana koncepcja stabilności jest pod wieloma względami niesprawiedliwa. Nie jest bowiem sprawiedliwe ani uznanie granicy litewsko-białoruskiej wedle pomysłów Józefa Wissarionowicza, ani uznanie, iż Mołdawia jest odrębnym państwem, ani zgoda na włączenie Karelii do Rosji. Niemniej między uznaniem tych, a także innych niesprawiedliwości a ustanowieniem tych niesprawiedliwości przez Związek Sowiecki w latach 1939-1945 zachodzi jedna zasadnicza różnica. Związek Sowiecki dokonywał grabieży i podziałów wbrew woli grabionych i dzielonych narodów. Proponowana tu koncepcja stabilności ma sens jedynie wówczas, gdy jej urzeczywistnienie będzie wynikiem wzajemnego porozumienia najpierw ruchów niepodległościowych, a następnie zainteresowanych rządów oraz jawnego i bezstronnego przedstawienia całokształtu spraw wszystkim zainteresowanym narodom, tak by mogły tą czy inną, demokratyczną drogą, omawiane założenia potwierdzić lub odrzucić.

Porównanie sytuacji po-kolonialnej Afryki z Europą Wschodnią i Środkowo-Wschodnią samo przez się obraźliwe może być jedynie dla rasisty, tak się zaś złożyło, iż uwagi te nie są adresowane do rasistów. Można natomiast zapytać jaka jest poznawcza i praktyczno-polityczna wartość tego porównania? Rzuca się więc w oczy, iż ma ono sens jedynie w ograniczonym zakresie. Tu powiem o jednym tylko, ale bardzo ważnym punkcie w którym sytuacja jest nieporównywalna: w Europie Środkowo-Wschodniej i Wschodniej — w odróżnieniu od większości krajów afrykańskich — mamy do czynienia z narodami w pełni uformowanymi, a więc z tak czy inaczej zrealizowanymi kształtami świadomości narodowej. (Jest to oczywiście pewna idealizacja, jako że w całej Europie istnieją enklawy niejasnej, pogranicznej świadomości narodowej czy też etnicznej, ale wydaje się, że fakt ten wolno tu pominąć).

Różnicy tej i wszystkich jej skutków nie sposób przecenić. Nie jest jednak tak, by przemawiała ona na niekorzyść koncepcji stabilności. Wskazuje na to następujący przykład: zamieszkujący

Transylwanię Węgrzy nie są plemieniem, które należy włączyć do właśnie kształtującego się narodu rumuńskiego. Rumuni i Węgrzy stanowią ukształtowane narody. Węgrzy z okolic Cluj są mniejszością narodową, której należy zagwarantować prawa pełnego rozwoju (do czego zresztą ustrój socjalistyczny, *ex re wsej natury*, nie jest zdolny). Zarówno Węgrom jak i Rumunom można wytłumaczyć jakie są pozytywy i negatywy pozostawienia Transylwanii w obrębie państwa rumuńskiego jakie stąd wynikają dla jednych i drugich prawa oraz obowiązki, jakie instytucje zabezpieczają realizację rzeczonych praw, etc. Nie ma potrzeby tłumaczyć na czym polega odmiennosc obecnej sytuacji w Afryce.

Na tle powyższej różnicy zauważyć można pewne podobieństwa. Tak więc, obecne granice państwowe krajów Europy sowieckiej są wynikiem decyzji typu kolonialnego. Otóż z przykładu Afryki wiemy na czym polega niebezpieczeństwo takich granic: rewindykacje graniczne w jednym punkcie muszą spowodować reakcję typu lawinowego. Do tej sprawy wypadnie jeszcze powrócić.

Niezależnie jednak od Afryki czy przyszłości naszej części Europy, wypada wskazać na bezpłodność poszukiwania granic doskonale sprawiedliwych. W całej Europie granice kształtowały się pod znakiem wzajem na siebie oddziałujących zasad: historycznej i narodowej, z których ta druga jest „młodsza”, lecz w ciągu ostatnich lat dwustu o wiele bardziej „aktywna”. Nie znaczy to, że proces kształtowania się granic był czymś na kształt sielanki, lecz to jedynie, iż uzasadniany był przez odwoływanie się do jednej z tych racji, lub do obu naraz. Otóż bez trudu daje się zauważyć, że w większości wypadków z zasad tych wynikają kontradiktoryjne rozwiązania graniczne, zaś konsekwentne stosowanie jednej z nich prowadzić musi do absurdów. Tyle odnośnie punktu czwartego.

Odrzuca się tu jako niemoralne w sferze polityki założenie, iż dobra polityka polega na tym, by zawsze „turwać” co się da, lub na szantażu. Do tego bowiem sprowadza się to, co niektórzy nazywają elementarnymi założeniami każdej polityki, a co stanowiło treść zarzutu ostatniego.

Przyjrzyjmy się teraz możliwości pierwszej: ruchy niepodległościowe Europy Środkowo-Wschodniej i Wschodniej zaczynają wzajemne kontakty od propozycji zmiany granic.

Koncepcja ta — nazwijmy ją, znów umownie, koncepcją rewindykacji — łatwiejsza jest do zrealizowania. Przykreść polega na tym, iż w sposób nieuchronny pociąga ona za sobą trzy skutki.

Po pierwsze, wspomniane kontakty od rewindykacji się zaczynają i... na tym się kończą.

Po drugie, rewindykacje zwiększają w sposób arcyniebezpieczny prawdopodobieństwo lokalnych wojen, a nie wolno zapominać, że narody poddane panowaniu Moskwy zainteresowane są w tym, by zamęt związany z rozpadem sowieckiego imperium ograniczyć do możliwego minimum.

Trzecim nieuchronnym skutkiem przyjęcia koncepcji rewindykacji będzie to, iż część Europy o której mowa, przestanie być podmiotem własnych dziejów a stanie się przedmiotem intryg, ingerencji, walki o wpływy. Przede wszystkim ze strony Moskwy. Ale nie tylko. Nasze — tzn. polskie, fińskie, węgierskie czy litewskie — doświadczenia nie ograniczają się bowiem do tego, że w latach 40-tych Zachód sprzedał nas Związkowi Sowieckiemu. Znamy i drugi wariant polityki Zachodu: wszystkie te traktaty biorące swe nazwy od sławnych francuskich pałaców, traktaty, w których ignorancja aliantów walczyła o pierwszeństwo z chęcią rozszerzenia strefy wpływów. Nie, lepiej już spróbujemy nasze arcytudne sprawy rozwiązać sami, bez pomocy Londynu, Paryża czy Waszyngtonu. No i przede wszystkim, bez pomocy Moskwy.

Jak się wydaje, wszystkie dające się obecnie pomyśleć warianty przyszłej suwerennej polityki na obszarze od Zatoki Botnickiej po Bałkany i od Ługańska po Zgorzelec, w zakresie granic dają się sprowadzić do alternatywy: stabilność lub rewindykacja. Otóż mimo wszystkie wady, ewentualność określona tu mianem stabilności wydaje się wyraźnie lepsza, bez porównania pewniej gwarantująca złamanie jarzma Moskwy, bardziej zabezpieczająca przed zakusami ewentualnych pretendentów do hegemonii.

Oczywiście koncepcja ta może być sensowna jedynie przy spełnieniu pewnych warunków. Niektóre, takie jak dobroć, przestrzeganie praw mniejszości, jawność zasad sterujących przyjętymi rozwiązaniami, demokratyczne ich potwierdzenie, już to przez ciała ustawodawcze, już to drogą referendum zostały tu już nazwane. Do tego dodać należy jeszcze dwa nieodzowne warunki: globalność układu oraz coś, co można by nazwać gwarancją prawdy historycznej.

Przez globalność rozumie się tu, że koncepcja stabilności ma sens i w ogóle daje się urzeczywistnić jedynie wówczas gdy realizują ją wszyscy partnerzy. Jeżeli bowiem Finlandia domagać się będzie zwrotu Karelii, po czemu miałaby skąd inąd nie ma danych, to nie ma powodu by inne państwa nie wystąpiły z własnymi, choć może nie zawsze równie zasadnymi żądaniem. Mówiąc inaczej: jedno odstępstwo od zasady — grozi likwidacją zasady.

Przez gwarancję prawdy historycznej rozumie się takie przedstawienie przeszłości, przede wszystkim w szkole oraz w środkach masowego przekazu, które np. nie będzie skrywało, że ziemie wchodzące w skład jednego państwa poddane były kiedyś wpływom kultury innego państwa, że dzieje były tu zawsze, lub prawie zawsze krwawe, etc. Nie ma więc powodu ukrywać ani tego gdzie przebiegała w XVI-tym wieku zachodnia granica prawosławia, ani tego, że Wilno przez kilkadziesiąt lat było ośrodkiem kultury polskiej, itd., itd. Byłaby to więc praktyka dokładnie odwrotna od stosowanej obecnie przez komunistów, którzy skrywają lub wręcz niszczą ślady kultury polskiej na Wileńszczyźnie czy kultury niemieckiej na Ziemiach Zachodnich.

Ewentualni oponenty mogą tu wysunąć trzy zarzuty:

1) Koncepcja stabilności jest całkowicie nierealna, tj. żadną miarą nie da się urzeczywistnić.

2) Urzeczywistnienie tej koncepcji związane będzie z ogromnymi trudnościami.

3) Zważywszy obecny stan Europy i świata, wszystkie te rozważania nie mają żadnego sensu — a jak się co zmieni, to zobaczymy.

Na zarzut pierwszy odpowiem, że jeśli koncepcja stabilności jest naprawdę całkowicie nierealna — wówczas skazani jesteśmy na wieczną powtórkę naszych dziejów od czasów saskich poczynań: hańbiącą zawistość, poronne próby naprawy, zrywy niepodległościowe, niewola, krótkie chwile wolności zagrożonej i permanentne skłócenie ze wszystkimi sąsiadami.

Na zarzut drugi przystaję bez oporu. Tyle jedynie, że z wielkich trudności, jeśli chce się je przewyciężyć, wynika potrzeba wielkiego wysiłku.

Na zarzut trzeci odpowiadać mi się nie chce. Ujęty w całości jest bez sensu, bo „jak się co zmieni”, to najpewniej „zobaczymy” właśnie alternatywę, której omówieniu poświęcony jest cały ten artykuł. I to tylko zyskamy, że intelektualnie i emocjonalnie nieprzygotowani, patrzeć na nią będziemy oczyma głupiego. Bez owego „jak się co zmieni”, zarzut trzeci równoznaczny jest z wyznaniem wiary we wieczność sowieckiego panowania. Dziękuję, ale ja do tej wiary nie przystąpię. I nie sądzę bym był w tej odmowie całkowicie osamotniony.

LEOPOLITA

ZAPRENUMERUJ

ZESZYTY HISTORYCZNE

Jedyny, niezależny kwartalnik poświęcony najnowszej historii Polski.

Dziś, kiedy średnie i młode pokolenie nie tylko w Polsce ale i na Zachodzie, coraz mniej wie o historii swego narodu, albo nieświadomie ulega jej fałszowaniu w Kraju lub równie szkodliwym mitom patriotycznym na Zachodzie — istnienie tego wydawnictwa jest niewątpliwie koniecznością. Niestety — choć nie brak nam komplementów czy słów uznania — brakuje ciągle dostatecznej ilości prenumeratorów, aby nie tylko utrzymać ale i rozbudować *ZESZYTY HISTORYCZNE*.

Przy rosnących kosztach druku i stosunkowo niskiej cenie tylko kilkuset nowych prenumeratorów może być prawdziwą pomocą.

Roczna prenumerata wynosi F.160 (\$ USA 37; \$ Can. 44) a dla prenumeratorów *KULTURY* F.140 (\$ USA 33; \$ Can. 40), za 4 zeszyty, zawierające każdy 240 stron.

Kraj

Próba bilansu niezależnych inicjatyw obywatelskich

I. Po wydarzeniach 1976

W dwadzieścia lat po wystąpieniach robotników Poznania w roku 1956 doszło po raz pierwszy do sojuszu różnych warstw społecznych w Polsce. Wystąpienia intelektualistów w obronie robotników w niedługim czasie doprowadziły do powstania Komitetu Obrony Robotników. KOR nie był jednak pierwszym stowarzyszeniem powstałym w tym okresie. Jeszcze przed wypadkami w Radomiu i Ursusie ogłoszony został program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, organizacji działającej w konspiracji po dzień dzisiejszy. Niedługo po powstaniu KOR-u proklamowano powołanie Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Dla obu — poza PPN — stowarzyszeń można wskazać korzenie w stosunkowo niedawno działających grupach bądź ruchach społecznych. Rzecz jasna, jest to wskazanie jedynie bezpośrednich poprzedników: KOR w dużej mierze związany jest z ruchem lewicy, którego szczytowe nasilenie przypadło na marzec 1968 roku; ROPCiO związany jest z ruchem o orientacji narodowej, zaś więzy personalne wskazują na to, iż jest swoistą kontynuacją organizacji „Ruch” postawionej przed sąd w Polsce w latach 1969-70. Przypomnieć tu wypada, iż przeciw wysokim wyrokom w procesie „Ruchu” protestowali intelektualiści zblizeni później raczej do KOR-u.

Jak było możliwe tak szybkie zawiązanie się niezależnego ruchu demokratycznego? Wydaje się, że w chaosie jaki ogarnął kraj po wydarzeniach w Ursusie i Radomiu napięcie społeczne wzrosło tak dalece, że każda nowa brutalna akcja policyjna doprowadzić by musiała do ponownego wybuchu społecznego. Nadto nie bez znaczenia jest fakt, iż działalność KOR-u „chroniona” była przez ludzi o uznanym społecznie autorytecie i niezaprzeczal-

nych zasługach dla Polski: Andrzejewski, Lipiński, Mikołajska, Pajdak, ks. Zieja. Otwarte uderzenie policyjne skierowane przeciw tym ludziom byłoby w ówczesnej sytuacji kraju pociągnięciem niezwykle ryzykownym. Niezależnie bowiem od faktu, iż żywe wciąż jeszcze były echa wydarzeń czerwcowych, pamiętano także o kampanii wokół nowej konstytucji w 1975 roku. Nadto należy przypuszczać, że przeciwstawienie się otwarte działalności KOR-u zaraz po berlińskiej konferencji partii komunistycznych mogłoby, w wypadku wywołania niepokojów społecznych, doprowadzić do sytuacji niezmiernie niekorzystnej dla polityki całego bloku sowieckiego. I jeśli można założyć, że wywołanie zamieszek w roku 1976, tuż przed konferencją berlińską, było prowokacją mającą służyć wewnętrznym rozgrywkom partyjnym w Polsce, o tyle później sytuacja uległa gwałtownej zmianie — powstanie KOR-u było więc ceną zapłaconą za nieudolność polityczną. Powstały nieco później ROPCiO włączył się właściwie w już gotowy układ, co zresztą nie umniejsza w niczym jego roli w ruchu demokratycznym — chciałam tu jedynie uporządkować fakty.

Cechą najbardziej charakterystyczną całego ruchu demokratycznego po roku 1976 jest jego pluralizm: działają w nim ludzie różnych pokoleń i orientacji. Jest to największe osiągnięcie polskiej opozycji po wojnie. I choć niewątpliwie wewnętrzne polemiki tej opozycji są rzeczą niebezpieczną, z drugiej strony są one nieuniknione. Chodzi tylko o to, by nie doprowadziły do rozpadu, by utrzymane były w ramach polemik właśnie i nie przerodziły się w otwartą walkę. Sądząc z obecnego stanu rzeczy należy przypuszczać, iż świadomość wspólnego celu nadrzędnego przeważa nad chęcią realizacji interesów partykularnych.

Obecnie więc ukształtowany układ wydaje się stabilny, co w dużej mierze sprzyja rozszerzaniu wpływów opozycji, ogarnianiu coraz liczniejszych rzesz społeczeństwa. Przejawem tego rozszerzania się wpływów stało się powołanie Tymczasowych Komitetów Samoobrony Chłopskiej, Wolnych Związków Zawodowych oraz Studenckich Komitetów Solidarności. Organizacje te powstały na bazie ruchu rozpoczętego przez KOR (później KSS „KOR”) i ROPCiO, stanowią też tego ruchu istotne dopełnienie. Cieszyć zwłaszcza musi powołanie TKSch, ponieważ świadczy to o podjęciu bogatych i oryginalnych tradycji polskiego ruchu ludowego. Można przypuszczać, iż w najbliższym czasie organizacji tego rodzaju będzie przybywać, wówczas zwłaszcza, jeśli istniejące będą miały w swoim dorobku widoczne sukcesy w walce o samostanowienie poszczególnych grup społecznych i jednostek. Coraz bardziej widoczny jest bowiem stan społecznego wyczekiwania na losy już działających organizacji.

W chwili obecnej ilość aktywnych i jawnie występujących

uczestników ruchu demokratycznego nie jest zbyt wysoka, chociaż niewątpliwie przekracza ona liczebnie wszelkie podobne incjatywy po roku 1956. Wzrasta natomiast systematycznie ilość niejawnie współpracujących sympatyków czy tylko życzliwych kibiców. W zasadzie można założyć, że wszystkie większe skupiska w Polsce wiedzą o istnieniu ruchu opozycyjnego. Gorzej jest ze znajomością programów i faktów — znane są one wybiórczo, informacje docierające do ludzi wciąż jeszcze mają charakter przypadkowy.

II. Wolna prasa

Niewątpliwie wpływ na ten stan rzeczy ma wciąż zbyt mały zasięg prasy opozycyjnej wydawanej poza zasięgiem cenzury. Pamiętać jednak należy, że wydawcy pracują w niezwykle trudnych warunkach. Poza notorycznym brakiem powielaczy, matryc, papieru i pomieszczeń utrudnieniem w pracy jest przede wszystkim jawność przedsięwzięć. Rzecz polega na tym, iż przy jawności życia opozycyjnego wiele trzeba jednak robić w warunkach konspiracyjnych lub półkonspiracyjnych. Chronić należy powielacze, istnieją trudności z zakupem większej ilości papieru (co zawsze może wzbudzić podejrzenia), przede wszystkim zaś kłopoty sprawia samo powielanie tekstów i kolportaż gotowych nakładów. Ludzie zajęci tą pracą działają w warunkach niezwykle trudnych. Dość powiedzieć, iż każdy numer danego pisma musi być powielany w innym miejscu by skoki w zużyciu energii elektrycznej nie przyciągnęły czyjejs uwagi. Ludzie pracują noc i dzień w jednym pomieszczeniu przez trzy-cztery doby — chodzi o to, by pracę ukończyć w jak najkrótszym czasie bez zwracania niczyjej uwagi. Potem powstają problemy z kolportażem — zadanie niezwykle trudne, często skazane na rozwiązania przypadkowe.

Wśród ponad trzydziestu tytułów tej prasy (niektóre to efemerydy lub pisma o zasięgu lokalnym) wyróżnić należy następujące:

1) *Robotnik* — pismo przeznaczone dla środowisk robotniczych, zajmujące się problemami dotyczącymi prawa pracy, świadomości prawnej pracowników, interwencjami oraz stale informujące o niezależnych akcjach (m.in. o strajkach). Pismo ma stosunkowo małą objętość, redagowane jest jednak żywo i przystępnie. Posiada chyba największy nakład spośród opozycyjnej prasy polskiej, kolportowane jest przede wszystkim w dużych skupiskach robotniczych.

2) *Głos* — miesięcznik wydawany przez środowiska zbliżone do KSS „KOR”. Pismo poświęcone jest problemom politycznym

i społecznym, publikuje artykuły poświęcone ekonomii, praworządności, historii najnowszej, zamieszcza analizy aktualnej sytuacji politycznej. Skierowane jest przede wszystkim do młodej inteligencji. Redagowane akademicko, wymaga przygotowania intelektualnego.

3) *Biuletyn Informacyjny — Komunikaty KSS „KOR”* — powstałe jako fuzja dwóch oddzielnych pism jest chyba najlepiej w tej chwili redagowanym pismem poświęconym aktualnym sprawom społecznym. Zawiera spory serwis informacyjny, świetnie prowadzony dział reportażu, niektóre numery posiadają też materiał ilustracyjny. Gazeta dla wszystkich.

4) *Opinia* — miesięcznik wydawany przez ROPCiO, sporo uwagi poświęca aktualnym wydarzeniom oraz tradycji ruchu narodowego w Polsce. W większości ogranicza się do notatek, brak w nim większych materiałów problemowych, najciekawsze dotyczą zagadnień najnowszej historii. Pismo ma duże powodzenie w kręgach inteligencji technicznej oraz w środowiskach urzędniczych, dociera też do młodzieży szkolnej.

5) *Bratniak* — miesięcznik studencki wydawany przez środowiska akademickie zbliżone do ROPCiO. Sporo uwagi poświęca problemom życia akademickiego. Interesujące są poszukiwania z zakresu polskich tradycji politycznych, przy czym wyraźny jest wybór tradycji narodowej z tym, iż w wielu wypowiedziach (np. Aleksandra Halla) widoczna jest dążność do jej przewartościowania, odczytania na nowo.

6) *Krytyka* — kwartalnik polityczny. Ukazały się dotąd dwa numery przy czym pierwszy niemal w całości poświęcony był ocenie wydarzeń marcowych z 1968 roku. Drugi przynosi sporo materiałów dotyczących „Karty 77” w Czechosłowacji oraz kilka ciekawych materiałów krajowych — m.in. przedrukowany w *Kontynencie* tekst Lecha Dymarskiego o atmosferze szykan politycznych w Poznaniu przed uczczeniem przez środowisko akademickie śmierci Pyjasa, oraz tekst R. Wojciechowskiego o polskim więziennictwie. Na uwagę zasługuje w obu numerach publicystyka Jana Walca. W drugim numerze ujawniono międzynarodowy (czechosłowacko-węgiersko-polski) skład redakcji.

7) *Zapis* — kwartalnik literacki, niewątpliwie najbardziej znane pismo opozycyjne w Polsce. Początkowo pełniący funkcję antologii tekstów odrzuconych przez cenzurę, obecnie pismo samodzielne, żywo redagowane. W jego ramach ukazały się dotąd dwie publikacje książkowe (nr 3 i 10 — powieści Konwickiego). Na jego łamach publikują wybitni pisarze o ugruntowanym dorobku oraz debiutanci.

8) *Puls* — również kwartalnik literacki, redagowany przez

zespół pisarzy młodszej generacji, ukazuje się nieregularnie. Cechą odróżniającą go od *Zapisu* jest próba przewartościowania tradycji, zwłaszcza najnowszej, polskiej literatury. W obu pismach literackich publikowało już swoje utwory ponad 100 autorów polskich.

9) *Spotkania* — niezależny organ młodych katolików, pismo wyraźnie podejmujące idee soboru watykańskiego. Sporo tu również artykułów dotyczących naszej najnowszej historii, m.in. poświęconych problemom mniejszości narodowych (Żydzi, Ukraińcy). Teksty literackie słabsze niż w *Zapisie* czy *Pulsie*. Pismo niezwykle ambitne, żywo redagowane, rozchodzące się jednak w bardzo niskim nakładzie i trudno dostępne.

Te pisma stanowią podstawę działalności informacyjno-naukowej demokratycznej opozycji. Ponadto niezwykle ważną rolę odgrywają publikacje książkowe Niezależnej Oficyny Wydawniczej, a ostatnio Wydawnictwa im. Konstytucji 3-go Maja. Dodać należy, iż swoje biblioteczki uruchomiły pisma *Głos* i *Robotnik*. W kraju działają ponadto filie Niezależnej Oficyny Wydawniczej w Krakowie i Poznaniu. Interesującą inicjatywą jest też wydawana we Wrocławiu poetycka Biblioteka „Agory” w chwili obecnej publikująca tomiki (przebitki maszynopisu zszyte i oprawione) poetów z innych ośrodków (Stabro, Szaruga, Pawlak).

Jednakże warto tu podkreślić, iż niezależny ruch wydawniczy w Polsce nie jest zjawiskiem zupełnie nowym, oraz że granica między publikacjami oficjalnymi i nieoficjalnymi zacierała się już uprzednio. Bodaj najskrajniejszym wypadkiem przekroczenia barier cenzuralnych było wydawanie przez Tadeusza Walendowskiego już w latach 1974-75 pisma *Teatr Uliczny i Domowy* (maszynopis) — wyszło 5 zesztów. Nadto już w 1973 roku Julian Kornhauser i Wit Jaworski z krakowskiej grupy poetyckiej „Teraz” wydali własnym sumptem tomiki złożone z wierszy zatrzymanych przez cenzurę, zaś wcześniej jeszcze w roku 1969 poeta Krzysztof Mrozowski wydał w samizdacie tom prozy poetyckiej „Text”. Poza publikacjami samizdatowymi wydawane były serie nieocenzurowanych tomików wierszy rozprowadzanych poza oficjalnym rynkiem wydawniczym — tu warto wspomnieć o publikacjach poznańskiego klubu „Od Nowa”: w serii tu wydawanej ukazały się w ostatnich latach m.in. tomiki poetów już wówczas zakazanych — Krynickiego, Dymarskiego, Woroszyńskiego i Zagajewskiego. Wydawnicza działalność tego klubu została już zlikwidowana przez władze. Jednakże do powstania Niezależnej Oficyny Wydawniczej inicjatywy samizdatowe w Polsce miały na ogół charakter przypadkowy, nakłady tomików były bardzo niskie (kilkadziesiąt egzemplarzy) i trudne do zdobycia.

III. Nauka i samokształcenie

Niezależne inicjatywy samokształceniowe w Polsce mają dość długą tradycję, jednakże dotychczas nie zostały one ujęte w uporządkowany i kierowany system działań. Wystarczy w każdym razie przypomnieć kółka samokształceniowe działające w okresie poprzedzającym wydarzenia marcowe w 1968 roku czy — w inny nieco sposób funkcjonujące, lecz często umiejące zdobyć sporą niezależność — Koła Naukowe na poszczególnych wydziałach wyższych uczelni.

Po roku 1976 wyrazem wciąż jeszcze spontanicznej i nieuporządkowanej akcji samokształceniowej było uruchomienie wykładów Uniwersytetu Latającego, którego praca została później podporządkowana Towarzystwu Kursów Naukowych, powstałemu w początkach 1978 roku. Powstanie TKN-u — powołanego do życia jako instytucja niezależna i nie związana z żadnym ugrupowaniem politycznym — stanowi inicjatywę ludzi o uznanym i cenionym w Polsce dorobku naukowym. Stało się koniecznością z powodu skrajnego zagrożenia humanistyki polskiej w ostatnich latach: dalsze tolerowanie ograniczeń nakładanych w życiu oficjalnym na takie nauki jak historia, socjologia, literaturoznawstwo czy filozofia prowadzić by musiało do całkowitego wyjąłowania tych kierunków, porównywalnego tylko z ich stanem w okresie stalinowskim. Akcja naukowców i pisarzy powołująca TKN do życia stała się więc aktem koniecznej samoobrony. W chwili obecnej wykłady TKN w zależności od tematu i wykładowcy gromadzą jednorazowo od 20 do 120 osób. Stosunkowo niewielka liczba słuchaczy związana jest z ryzykiem jakie wciąż jeszcze pociąga za sobą uczestnictwo w zajęciach: szykany na uczelni, represje policyjne, akcje bojówek rozpędzających zebrania. Tym niemniej sama inicjatywa rozwija się już poza ramami ogłaszanych przez TKN zajęć: w obiegu znajdują się kasety z nagraniami wykładów i dyskusji, oraz skrypty sporządzone przez uczestników spotkań. Materiały te wykorzystywane są w czasie coraz liczniej i silniej rozwijającego się spontanicznego ruchu kółek samokształceniowych we wszystkich środowiskach akademickich kraju, a również w środowiskach licealnych. Są to kółka działające często niezależnie od siebie, organizowane przez grupy towarzyskie czy koleżeńskie.

Ważną inicjatywą jest funkcjonująca już od dwóch lat (głównie na terenie Warszawy, lecz zaczątki widać i w innych ośrodkach) „biblioteka książek zakazanych”, której księgozbiór — wciąż jeszcze zbyt szczupły i trudny do uzupełnienia — przecho-

wywany jest w warunkach konspiracyjnych. Działalność tej biblioteki stanowi odpowiedź na rozbudowywane w oficjalnych bibliotekach naukowych i czytelnich działy prohibitów obejmujące nie tylko wydawnictwa emigracyjne, lecz również sporą ilość książek wydanych w Polsce w okresie międzywojennym, oraz sporą grupę prac naukowych stanowiących dorobek humanistyki zachodniej. Uzupełnianie zbiorów „biblioteki książek zakazanych” stanowi, obok pomocy finansowej oraz zaopatrzenia kraju w papier i środki do powielania, jedno z najpilniejszych zadań stojących przed emigracją polską i sprzyjającymi jej ośrodkami społecznymi za granicą.

Kolejną i chyba dotąd najsilniej tępiącą inicjatywą samokształceniową w Polsce jest powołanie Uniwersytetu Ludowego w Zbroszy Dużej. Uniwersytet ten, na którym wykładowcami są wybitni specjaliści zarówno w dziedzinie zagadnień rolniczych jak wiedzy społecznej, stanowi cenną kontynuację podobnych inicjatyw ruchu ludowego z okresu międzywojennego, jest też swoistą nadbudową dla odradzającego się w Polsce niezależnego ruchu chłopskiego.

Istotne też wydaje się powołanie przy redakcjach *Głosu*, a zwłaszcza *Robotnika* biblioteczek tych czasopism. Zwłaszcza Biblioteka *Robotnika* stanowi ważny przyczynek ruchu samokształceniowego zapoczątkowanego dopiero w środowisku robotniczym, a mającego szansę podjąć tradycję Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych dawno już w Polsce zarzuconą.

Przy ocenie niezależnej działalności naukowej pamiętać należy o tym, iż jest ona w bardzo różnorodny sposób wkomponowana w oficjalne i półoficjalne życie naukowe kraju. Wykładowcy TKN są przecież jednocześnie pracownikami Polskiej Akademii Nauk, wielu uczestników zebrań to młodzi asystenci uniwersytecy. Nie bez znaczenia jest też ząębienie się niezależnych inicjatyw z ruchem Klubu Inteligencji Katolickiej. Wszystko to tworzy obraz bardziej złożony i skomplikowany niż ten, który mogłam tutaj naszkicować. Jedno w tym jest najważniejsze: uderzenie w niezależne inicjatywy samokształceniowe, choć możliwe w każdej chwili, nie może ich od razu rozbić, związane jest też z ryzykiem wystąpienia przeciw ludziom, których autorytet naukowy i moralny stanowi w Polsce jedno z najpewniejszych zabezpieczeń działalności TKN i związanych z nim instytucji.

IV. Emigracja i kraj

W wyniku działalności demokratycznej opozycji w Polsce znamiennej przemianie ulega stosunek emigracji do kraju i odwrot-

nie. Powoli zacierała się granica dzieląca obie społeczności. Jest to efektem uaktywnienia emigracji, bez której pomocy, przede wszystkim finansowej, ale nie tylko, niezależne inicjatywy społeczne w Polsce posiadałyby na pewno mniejszy zasięg. Istotny wydaje się fakt, że na skutek działalności Niezależnej Oficyny Wydawniczej zatarciu ulega podział na literaturę emigracyjną i krajową — świadczy o tym wydawanie obok siebie książek takich autorów jak Brandys, Konwicki, Miłosz czy Wirpsza. Ważny jest też udział autorów emigracyjnych (Herling-Grudziński, Kołakowski, Miłosz, Wirpsza) w czasopismach krajowych (*Zapis*, *Puls*). Z drugiej strony coraz liczniejsza grupa autorów krajowych publikuje za granicą — cenna jest tu zwłaszcza inicjatywa Instytutu Literackiego powołująca serię „Bez cenzury”.

Innym wyrazem związków między krajem i emigracją jest istnienie pozostających na wychodźstwie rzeczników Polskiego Porozumienia Niepodległościowe działającego w kraju oraz uczestnictwa Leszka Kołakowskiego w KSS „KOR”.

Ważne jest podejmowanie coraz liczniejszych inicjatyw Polonii zachodniej — uchwały Kongresu Polonii w roku 1977, wystąpienia w obronie Switonia, współzałożyciela Wolnych Związków Zawodowych, akcje na rzecz wypuszczenia z kraju poety i literaturoznawcy Barańczaka, któremu przyznano katedrę w Harvardzie. Stały nacisk środowisk polonijnych na władze polskie w dużej mierze przyczynia się do osłabienia akcji wymierzonych przeciwko działalności demokratycznej opozycji.

Wszystko to są zjawiska ważne, nie mające precedensu w powojennej historii Polski. Zawijanie się autentycznych i spontanicznych więzi między emigracją i krajem — niewątpliwie spowodowane również dopływem nowej i młodej fali wychodźstwa politycznego po roku 1968 — ma olbrzymi wpływ na rozwój niezależnych inicjatyw obywatelskich w Polsce.

Ważną funkcją emigracji jest również współdziałanie z ruchem demokratycznym w Polsce w nawiązywaniu kontaktów z opozycją działającą w krajach bloku moskiewskiego. Tworzeniu platform porozumienia między emigrantami z ZSRR, Czechosłowacji czy Rumunii odpowiada dążenie opozycji do nawiązania porozumienia z ośrodkami niezależnymi działającymi w tych krajach, czego wyrazem jest m.in. spotkanie członka KSS „KOR” Romaszewskiego z Sacharowem, utworzenie międzynarodowej redakcji krajowego kwartalnika *Krytyka*, współdziałanie KSS „KOR” z „Kartą 77” i inne inicjatywy zmierzające do stworzenia możliwości wspólnych wystąpień. Na szczególne podkreślenie zasługują tu wysiłki KSS „KOR”.

Istotna jest również wymiana materiałów między *Zapiskami*

czy *Krytyką* a organem rosyjskiej emigracji *Kontynent*. Jednym z ważniejszych wydarzeń w kraju było rozpoczęcie na łamach niezależnego pisma młodych katolików *Spotkania* dyskusji dotyczącej kwestii ukraińskiej — tutaj dążenia młodych spotykają się z wysiłkami emigracji obu naszych narodów, podejmowanymi już od wielu lat. Bardzo ważnym zadaniem jest koordynowanie z ośrodkami emigracyjnymi wszelkich inicjatyw podejmowanych w krajach bloku sowieckiego a mających na celu podnoszenie kwestii samostanowienia narodów zniewolonych przez Rosję.

Jak z tego widać, rozpoczęty dopiero proces współpracy demokratycznej opozycji w kraju z emigracją ma bardzo interesującą perspektywę i powinien być za wszelką cenę kontynuowany.

V. Między opozycją a władzą

Rozwój działalności demokratycznej opozycji w Polsce po roku 1976 spowodował ożywienie niektórych środowisk krytycznie nastawionych wobec rzeczywistości krajowej, jednakże nie podejmujących wprost akcji opozycyjnych. Aby zrozumieć na czym rzecz polega, trzeba uświadomić sobie fakt, iż w Polsce nie istnieje ściśle określona granica między postawą opozycyjną i postawą biernej uległości. Działalność wszystkich ośrodków jawnej i niejawniej, pozostającej na zewnątrz systemu i wewnątrzpartyjnej opozycji wzajemnie się ze sobą zalembia, tworząc dość skomplikowany i trudny do opisanego system zależności. Prócz bowiem od niedawna działających ugrupowań opozycyjnych (PPN, KSS „KOR”, ROPCiO) funkcjonują w kraju grupki opozycji od lat uznanej i legalnej, skupione przede wszystkim wokół ośrodków katolickich. Tego typu ośrodki jak Klub Inteligencji Katolickiej, redakcje *Więzi*, *Znaku*, *Tygodnika Powszechnego* łączy z grupami opozycji „nieoficjalnej” często więź personalna — wystarczy przywołać tu działalność Cywińskiego czy O. Jacka Salija. Autorzy pism katolickich drukują często w prasie opozycyjnej, a jednocześnie prasa katolicka stanowi jedyną oficjalną trybunę dla pisarzy związanych z ruchem niezależnym — Barańczaka, Krynickiego czy Woroszyńskiego. Dokładna analiza wszystkich tych relacji jest w chwili obecnej z różnych względów niewskazana, wspominałam tu tylko o faktach powszechnie znanych.

Innym zupełnie ośrodkiem aktywnie uczestniczącym w przemianie postaw społecznych po roku 1976 jest tzw. opozycja wewnątrzpartyjna. W większości wypadków, choć nie zawsze, odcina się ona od jakichkolwiek związków z niezależnym ruchem demokratycznym. Przejawem działalności tych grup i ośrodków

jest krytyka — nieraz otwarta, jak to miało miejsce pod koniec ubiegłego roku, gdy sekretarz partii z Konina wystąpił z otwartym atakiem na system gospodarczy — panujących w kraju stonków. Interesującym przejawem tych tendencji była podjęta m.in. przed Stefana Bratkowskiego próba stworzenia klubu dyskusyjnego o nazwie „Dyskusja i Przyszłość”. Klub miał stanowić forum dyskusyjne dla ludzi różnych przekonań, miano tam zajmować się najbardziej pilnymi sprawami współczesnej Polski. Pierwsze spotkanie poświęcone było sprawom sytuacji ekonomicznej. Inicjatywa ta co prawda spaliła na panewce, tym niemniej niektórzy działacze z nią związani nie rezygnują z prezentowania swych poglądów występując, jak choćby ostatnio Bratkowski, w czasie zebrania partyjnego Związku Literatów Polskich, z krytyką systemu. Co najważniejsze — niejednokrotnie analizy te pokrywają się w najistotniejszych punktach z analizami opozycji.

Warto tu również zauważyć, że istnienie grup opozycji demokratycznej wykorzystywane bywa przez partyjnych krytyków systemu jako pas transmisyjny dla prezentacji własnych poglądów — tak było np. z opublikowanym przez Niezależną Oficynę Wydawniczą memoriału kilku nie przynależnych do opozycji ekonomistów, poprzedzonego wstępem prof. E. Lipińskiego.

Jak z powyższego wynika, trudno w chwili obecnej wskazywać na granicę dzielącą grupy demokratycznej opozycji od reszty społeczeństwa — KSS „KOR” i ROPCiO to jedynie wierzchołek olbrzymiej góry lodowej wynurzającej się ze społecznego żywiołu. Ten fakt jest niezwykle ważny dla wszystkich, którzy chcą coś sensownie mówić o opozycji w Polsce.

VI. Moralność i polityka

Warto zwrócić tu uwagę na fakt, iż działalność demokratycznej opozycji w Polsce i krajach bloku sowieckiego przypada na okres znamienych przemian w rozumieniu postaw politycznych na świecie. Większość działaczy polskiej opozycji wyrosła w klimacie całkowitego cynizmu politycznego, charakterystycznego dla systemów totalitarnych a do apokaliptycznych wymiarów wyniesionego przez Hitlera i Stalina. Twarda i cyniczna gra polityczna jest też cechą charakterystyczną komunizmu. I oto w ciągu ostatnich lat dwudziestu zaszły w tej dziedzinie na świecie niezwykle ważne przemiany — czynnik moralny zaczął odgrywać rolę tak doniosłą, iż trudno w tej chwili politykę od ocen etycznych uwolnić. Międzynarodowe akty prawne, układy i porozumienia, jak choćby Pakty Praw Człowieka i Obywatela, mają na ogół mocną

podstawę etyczną — dotyczy to również porozumienia z Helsinek. Rzecz jasna, że dla władz komunistycznych (nie tylko jednak dla nich) akty te i porozumienia są w zasadzie jedynie świstkami papieru — tak przynajmniej pragną je one traktować. Kampania prezydenta Cartera na rzecz przestrzegania praw ludzkich przyjęta została przez komunistów z wyraźnym niesmakiem i częściowo z niedowierzaniem. W komunistycznym rozumieniu polityki rozsądny gracz nie używa takich argumentów — to dobre w propagandzie, lecz nie w grze politycznej.

Nie przesądzając sprawy czy tendencja do umoralnienia polityki i przydania jej podstaw etycznych się utrzyma, należy stwierdzić, że w Polsce ten sposób myślenia i działania trafił na grunt podatny. Kościół katolicki, który przez cały okres powojenny stanowił jeden z najsilniejszych ośrodków wolnej myśli, zawsze zwracał uwagę na konieczność moralnej oceny działalności politycznej. Odnowa Kościoła po soborze watykańskim tę tendencję umocniła.

Z tego też punktu widzenia niezwykle ważne stało się zbliżenie między Kościołem a lewicą laicką często dotąd dokonującą ostrego podziału między i polityką i moralnością. Dokumentem przemian świadomości lewicy stała się kontrowersyjna na pewno książka Adama Michnika „Kościół, lewica, dialog”*, w której autor analizując przemiany postaw lewicy laickiej w stosunku do kościoła i religii czyni założenia etyki chrześcijańskiej już nie tylko argumentem politycznym czy propagandowym, ale fundamentem porozumienia i dialogu. Przy czym i Michnik i inni działacze demokratycznej opozycji doskonale zdają sobie sprawę z faktu, iż nie można Kościoła traktować jako instytucji politycznej. Ale też nie będąc taką instytucją jest Kościół w Polsce autorytetem moralnym mającym olbrzymi wpływ na postawę społeczeństwa. I oto po trzydziestu latach samotnej walki zupełnie niespodziewanie znalazł Kościół sojusznika w umacnianiu postaw moralnych — stała się nim opozycja demokratyczna. Oczywiście byłoby błędem utożsamienie tego sojuszu z porozumieniem politycznym. Jednak niewątpliwie podstawą działania obu tych sił społecznych w Polsce jest wspólne przeciwstawianie się skutkom oddziaływania na masę ideologii komunistycznej, opisywanym tak w opracowaniach PPN jak w wystąpieniach opozycyjnych publicystów (np. w artykułach Marka Turbacza ogłaszanych w *Aneksie* i *Zapisie*). Podstawowa walka, jaką toczy się obecnie w Polsce, jest walką o dusze ludzkie, o przywrócenie sensu takim pojęciom jak godność człowieka czy niezawisłość osoby ludzkiej.

* Instytut Literacki, „Biblioteka Kultury”, tom 277, Paryż, 1977. (wy-czerpane).

W tym kontekście działania opozycji demokratycznej zyskują wymiar dodatkowy, przestają być jedynie rozgrywką polityczną. I jest to, jak się zdaje, największym osiągnięciem przemian społecznych po wydarzeniach roku 1976. Jest to tym bardziej istotne, że w zasadzie zniszczono w Polsce po wojnie korzenie tradycji ruchu chrześcijańsko-demokratycznego odgrywającego tak ważną rolę w politycznych układach takich krajów jak RFN, Włochy czy Austria, a stanowiącego w Polsce międzywojennej istotny składnik politycznego pejzażu.

VII. Przyszłość

Reasumując — wydaje się, że w chwili obecnej mamy w kraju do czynienia z pewną stabilizacją ruchu demokratycznej opozycji. Ilość jawnie występujących jej działaczy najprawdopodobniej nie ulegnie w najbliższej przyszłości znacznemu pomnożeniu, choć można liczyć na stały dopływ niewielkiej ich ilości głównie ze środowisk akademickich. Bez widocznych sukcesów opozycji jej liczebność w środowisku robotniczym i chłopskim nie ulegnie zmianie. We wszystkich natomiast środowiskach systematycznie wzrasta ilość stałych lub okazjonalnych współpracowników pragnących zachować — dla różnych przyczyn — anonimowość. Wzrasta też ofiarności społeczna na rzecz ruchu opozycyjnego — zarówno w kraju, jak i za granicą. Na pewno wzrasta ciągle zainteresowanie i pomoc ośrodków emigracyjnych oraz zagranicznych środowisk sprzyjających demokratyzacji życia w krajach bloku sowieckiego. Myślę również, że mimo istotnych trudności będziemy mieli do czynienia z rozwojem inicjatyw zmierzających do konsolidacji opozycji wewnątrz całego bloku. Ważną przy tym rolę mogą odegrać komunistyczne i robotnicze organizacje działające w Europie Zachodniej.

Nie należy oczekiwać, że władze będą się temu wszystkiemu przyglądać biernie. Szykany i represje spadać będą zwłaszcza na mniej znanych działaczy i uczestników ruchu demokratycznego. Wiele zależeć będzie od umiejętności zorganizowania przez całą opozycję wspólnych akcji samoobrony jak to się działo np. w znanej sprawie Switonia.

Nie będzie chyba w najbliższym czasie jakiejś większej i brutalnej akcji wymierzonej przeciw opozycji jako całości, przynajmniej nie będzie to akcja zarządzona przez władze polskie. Rewizje i zatrzymania po wybuchu w Nowej Hucie są jednak tylko szykaną, nie zaś brutalnym atakiem policyjnym. Sytuacja ekonomiczna kraju nie pozwala na podjęcie takiego ryzyka mogącego

doprowadzić do niekontrolowanego wybuchu społecznego. Nie jest to wskazane tym bardziej, że wszelkie niepokoje publiczne w Polsce po raz pierwszy po wojnie znalazłyby wsparcie w zorganizowanej działalności opozycji i to nie tylko polskiej. Obecna więc sytuacja w napięciach między opozycją i władzą nosi wszelkie znamiona szachowego pata. Lecz w przeciwieństwie do szachów nie jest to zakończenie gry.

Jadwiga KWIATKOWSKA

Kraków, dn. 16-23 kwietnia 1979 r.

Totalitaryzm na co dzień

Dla czytelnika na Zachodzie nasze codzienne życie tutaj — w krajach Najbardziej Postępowego Ustroju — jest trudne do wyobrażenia. Może jednak te kilka uwag, pisanych nie z pozycji politologicznych czy ekonomiczno-prawnych, pozwoli dostrzec warunki naszej codziennej egzystencji. I nie chodzi tu o tłumaczenie pojęcia „totalitaryzm”, czy — jak kto woli — „demokracja ludowa”, a tylko o kilka spostrzeżeń, dla nas tutaj — typowych, codziennych i przez to jeszcze bardziej koszmarnych.

Doprawdy nie wiem z czym można porównać rozmiary kolejek w polskich miastach w okresie Wielkiego Tygodnia A.D. 1979. Podobne sceny widziałem ostatnio w dzień po ogłoszeniu przez Jaroszewicza podwyżki cen w pamiętnym Czerwcu 1976. Oczywiście nie mam na myśli Radomia, Ursusa, Płocka — demonstracji i zamieszek ulicznych. Chodzi mi o te miasta, w których „warchoły” i „chuligani” nie zaktywizowali się zbyt. Ludzie od rana oblegali sklepy z artykułami spożywczymi rozmaitych branż i wykupywali wszystko co się dało.

Teraz ulice wyglądają podobnie. Najbardziej obłożone są sklepy z mięsem, pieczywem i wyrobami alkoholowymi. Jednak najbardziej dramatyczny przebieg mają kolejki po mięso. Kilka przykładów: Przeciętnie kolejki mają po 50 i więcej metrów. Jednak trudno jest szacować ich stan liczebny, zależy to bowiem od szerokości kolejki, ta zaś jest determinowana przez szerokość trotuaru przed sklepem. Czasem kolejka ustawia się z obu stron wejścia i potem oba „kierunki” walczą przy drzwiach, czasem też ma przebieg na tyle nieuporządkowany, że o pierwszeństwie wdarcia się do środka decyduje szybkość i siła fizyczna. Zdarza się, że personel sklepu stara się nieco uporządkować sytuację; drzwi zamyka się na klucz i wpuszcza się klientów dziesiątkami.

W większości jednak wypadków sklep do granic wytrzymałości nability jest ludźmi. Spotkałem się z przypadkiem, gdy o godz. 17.15 — już po sprzedaniu całego towaru — ponad 100 osób czekało na następny dzień. W innym sklepie ok. godz. 21-ej (sklep działa do 19-tej) ludzie mogli czekać w środku, choć oczywiście nie wszyscy się mieścili. Po prostu z uwagi na nocne chłody, personel pozostawił sklep otwarty, a w nim gołe haki i kontuary, zamknawszy tylko zaplecze.

Szczególnie „kolejki mięsne” sprzyjają powstawaniu nowego, nieoficjalnego zawodu, na który nie ma chyba jeszcze określenia, choć zajęcie to pojawia się już w „Kompleksie polskim” Konwickiego. To taki „kolejkowy wystawcz”, który zarabia staniem w kolejkach i potem odnoszeniem towaru do domu „zleceniodawcy”. Jest to jeden z elementów bujnie rozkwitającego w PRL podziemia gospodarczego. Zresztą termin „podziemie” nie jest najszczęśliwszy, bowiem wszystko to działa jawnie i bez przeszkód ze strony władz. W zimie brakowało ziemniaków, w sklepach państwowych można je było kupić tylko przez 1-2 godz. po „rzuceniu”. (A *propos*: Prócz oficjalnych środków przekazu chyba już nikt nie postępuje się terminem „dostarczyć towar”; wszyscy mówią: „rzucili towar”. Kto rzucił? Jak to kto?! „ONI!”. Ale potem te same ziemniaki były sprzedawane przez „handlarzy” (to augmentativum jest też dość charakterystyczne) w odległości 50 metrów od sklepu po cenie 2-3 razy wyższej. Od wielu miesięcy przeciw pomidorowy lub jego koncentrat jest nieosiągalny. Przed Wielkim Tygodniem „rzucono” go do kilku sklepów; 100-gramowa puszka kosztowała 9 zł, jednej osobie sprzedawano maksimum 3 puszki. Kto nie zdążył bądź nie wytrzymał w kolejce, płacił później „handlarom” po 20 zł. Oficjalna cena twarogu — 24 zł za kilogram (brak go oczywiście od dłuższego czasu). Można go kupić na placu targowym u kobiet ze wsi, ale trzeba zapłacić 50-60zł. Czystą abstrakcją są ceny mięsa; w „normalnych” sklepach jest ono praktycznie nieosiągalne, w osławionych „sklepach komercyjnych” sprzedawane jest po cenach 2-krotnie wyższych (zresztą też go często brakuje), a ceny w handlu pokątnym mają i 3-krotne „przebicie”.

Skąd biorą się monstrualne kolejki po pieczywo? Po pierwsze stąd, że w państwowych sklepach świeży chleb można kupić zazwyczaj tylko rano; nigdy nie wiadomo, czy będzie popołudniowa dostawa. A ponieważ te państwowe wypieki są często trudne do przełknięcia, ludzie chętniej kupują chleb w piekarniach prywatnych, te zaś nie zawsze nadążają z wypiekaniem.

Wspomniałem też o kolejkach przed sklepami z alkoholem. W tym wypadku wzrost tego i tak już gigantycznego popytu poprzedza dni sprzyjające piciu: święta, dni wolne od pracy, popularne imieniny. Ponieważ niedawno wprowadzono zakaz sprzedaży alkoholu przed godz. 11-tą, kolejki w owe dni wzrostu spożycia ustawiają się już na 1-2 godzin przed uruchomieniem sprzedaży.

Jeszcze jeden przykład z innej branży handlu artykułami spożywczymi. W Krakowie natknąłem się na wielką kolejkę przed sklepem z nabiałem. Okazało się, że sprzedawano masło — po 15 dekagramów na osobę. Zaopatrzenie w przetwory mleczne pogarsza się systematycznie i obecnie uruchamia się sieć „sklepów komercyjnych” z tymi artykułami. Coraz częstsze jest też limitowanie ilości sprzedawanych towarów.

Naprawdę trudno zdać sobie sprawę ze stanu zaopatrzenia sklepów w PRL. Brakuje zupełnie elementarnych artykułów spożywczych, bo prócz symbolicznego już mięsa istnieją ciągle trudności z kaszą, ryżem, płatkami owsianymi, wszelkimi niemal przetworami mlecznymi, większością warzyw i owoców, tłuszczów, koncentratów i przypraw — wyliczać można jeszcze długo. Nie brakuje za to monstrualnych transparentów i afiszy: PZPR — PRZEWODNIĄ SIŁĄ NARODU, a także BOMBA „N” — NIE!

Istnieje pewna gradacja w stanie zaopatrzenia rynku. Oczywiście w najlepszej (czytaj: najmniej złej) sytuacji jest Warszawa, potem duże miasta portowe — Gdańsk, Szczecin, bardzo złe zaopatrzenie jest w Krakowie, czy w mniejszych miastach wojewódzkich. Ta gradacja odzwierciedla też stan funkcjonowania infrastruktury: komunikacji, poczty, urzędów, usług. Te zagadnienia wymagałyby jednak odrębnego omówienia, choć i ono nie wyczerpałoby obrazu, który chcę nakreślić. Trzeba tu być i widzieć, a i tego za mało. *Slums*’y warszawskiej Pragi czy krakowskiego Kazimierza, nielepsze od nich mieszkania w tzw. „nowym budownictwie”: pokoje po 6 m² i wysokości 2,20 m, jeszcze mniejsze kuchnie bez okien, przysłowiowe już brud i smród, rozpadające się autobusy i pasażerowie stłoczeni w nich jak bydło, pociągi, które od zimowej „klęski żywiołowej” nie jeżdżą wcale, bądź przychodzą z wielogodzinnymi opóźnieniami, ale przede wszystkim ludzie — ci Orwellowskie proleci: szarzy, brudni i zaniedbani, stłamszeni w kolejkach bądź w długim oczekiwaniu na przystankach miejskiej komunikacji, obskurne knajpy i jeszcze straszniejsze dworce, wypełnione tymi ludźmi o twarzach złych i agresywnych, bądź beznadziejnie smutnych. Niespotykane wprost ilości pijanych: leżących, rzygających, sikających w bramach.

Można się zastanawiać, jaki obraz PRL wywożą stąd zachodni turyści. Udało mi się kilka razy nawiązać kontakt z uczestnikami wycieczek z Zachodu, organizowanych przez usługę „Orbis”. Wycieczki takie przebiegają wedle wcale zgrabnego schematu: luksusowy autobus + przewodnik (zazwyczaj agent SB), noclegi i wyżywienie w hotelach I-szej kategorii. Oglądają sobie owi turyści: centrum Warszawy, które rzeczywiście jest całkiem przyzwoite, a prócz tego — w zależności od trasy wycieczki — zabytki Gdańska, Krakowa lub Wrocławia i do tego jakąś wielką fabrykę czy hutę. Popołudnia też całkiem interesujące: teatr, opera albo balet i jeszcze spotkanie z „działaczem” związkowym bądź studenckim, czyli ze zwykłym politrukami, który opowiada o zwią-

kach zawodowych i szkolnictwie wyższym w PRL (ma się rozumieć, że o Świtoniu czy SKS-ie raczej nie wspomina). Jednak najbardziej atrakcyjne dla naszych globtroterów są wieczory. Ponieważ „Orbis” pobrał z góry wszelkie należności, turyści są zwolnieni z obowiązku wymienia 11 \$/dziennie po kursie 30 zł, wymieniają więc dolary po 130 zł u *gentlemen'ów*, którzy przy wejściu do hotelu natrętnie powtarzają: „*czejncz many! czejncz many!*” (oczywiście władze tolerują ten proceder; wszak to całkiem niezłe, „twarde” wpływy do tragicznego budżetu PRL). Tak wyposażeni w grube pliki banknotów z Chrobrym lub Kopernikiem nasi goście mogą poznać uroki PRL-u, tj. głównie wódę i dziwki (choć te ostatnie chyba najlepiej wyczuwają koniunkturę; jeden „występ” takiej panienki kosztuje 20-30 „zielonych”, cena więc całkiem zachodnia). Tak więc pełni wrażeń, zaopatrzeni w „krakowiaka” z Cepelii i parę butelek „wyborowej” obdarowani na drogę pamiątkami i kolorowymi folderami (niech pamiętają o PRL!), wracają nasi goście za Łabę, by za rok znów przyjechać z orbisowską wycieczką, bowiem *Poland is beautiful!*

Naszkicowany wyżej obraz może wydawać się mało prawdopodobny, ale pamiętajmy o tym, że władze PRL robią wszystko, by zamaskować tę codzienną rzeczywistość systemu. Rozporządzają przy tym całą gamą środków. Przyjeżdżający z Zachodu dziennikarz może „wszystko”: wywiad z Kurońcem czy Michnikiem? Proszę bardzo! Jeszcze dostaje ekipę z „Interpressu”, noclegi w Forum, a wszystko na koszt PRL. Przyjeżdża on jednak jako dziennikarz i ma obowiązek zgłosić to przy wjeździe (Riesowi zarzucano m.in. właśnie niedopełnienie tego obowiązku) — implikuje to całą specyfikę pracy zagranicznego dziennikarza w PRL; stąd biorą się później treści artykułów o Polsce w prasie zachodniej; dużo tam o opozycji (bowiem z faktem jej istnienia władze — jak na razie — pogodziły się), a ostatnio — po wyborze kardynała Wojtyły na papieża — o Kościele, prócz tego o społecznym niezadowoleniu i brakach w zaopatrzeniu. No tak, totalitaryzm to system bardzo odporny na prawdę.

Nie zdziwił się przeto niżej podpisany, gdy usłyszał, że PRL-owcy celnicy skonfiskowali pewnemu panu wracającemu do Ojczyzny numer *Time'u*, bowiem były w nim zdjęcia polskich kolejek. Zamiast pooglądać sobie kolorowe zdjęcia rodzimych sklepów, pan ów będzie mógł poczytać w rodzimym *Życiu Warszawy* o „stałym wzroście poziomu życia ludności”.

Zaś tego, kto chce poznać codzienną PRL-owską rzeczywistość, zachęcam do zabrania ze sobą aparatu fotograficznego, kasetowego magnetofonu, a przede wszystkim — jeśli on *iz Zapada* — do nauczenia się polskiego (bo inny język — zwłaszcza rosyjski — nie na wiele się przyda) i pojechania do Pyrzyc, Wielunia lub Nowego Targu.

POLISH PEOPLE'S REPUBLIC INVITES YOU!

Anatol Marek LIPIEC

kwiecień 1979

Przegląd prasy niezależnej

Ilość pism wydawanych przez uczestników Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela powiększyła się ostatnio o kilka tytułów. Wynika to po części z podejmowania nowych inicjatyw w poszerzającym się środowisku, a po części z podziału jaki zarysował się w ubiegłym roku w łonie Ruchu Obrony.

Najnowszym zapewne pismem jest *Gazeta Polska* pod redakcją Leszka Moczulskiego. W pierwszym numerze (z 25 lutego) tej niewielkiej, czterostronicowej gazetki redakcja określa swój cel jako wypełnienie braku „wśród ponad 20 niezależnych pism, tytułu o charakterze przede wszystkim aktualnym i przeznaczonym dla szerokiego kręgu czytelników”. W dalszym ciągu noty wstępnej czytamy: „Wybierając tytuł *Gazeta Polska* pragniemy w ten sposób nawiązać do tradycji pisma Towarzystwa Demokratycznego, współredagowanego przez Joachima Lelewela i Maurycego Mochackiego, wznowianego następnie pod tym tytułem przez kolejne generacje nurtu niepodległościowego”.

Zgodnie ze swymi założeniami pierwszy numer *Gazety Polskiej* przynosi w skondensowanej formie bieżące informacje, m.in. o procesie przeciwko Kazimierzowi Świtoniowi, o zwolnieniu z więzienia Henryka Jagiełły, o powstaniu Komitetu Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu (o którym poniżej), o nie znajdujących odpowiedzi pytaniach, które nasuwają się w związku z wybuchem w Rotundzie PKO, o zebraniu 280 tysięcy podpisów pod żądaniem dopuszczenia Kościoła do środków masowego przekazu, o apelu Funduszu Praw Człowieka do Polaków w Kraju i na Obczyźnie o pomoc finansową oraz w środkach technicznych dla działań demokratyzacyjnych i niepodległościowych, jak również wiadomości zagraniczne.

Wypełnianiem innej luki wśród dotychczasowych periodyków niezależnych chcą się zająć *Wiadomości Naukowe*, wydawane przez Niezależny Zespół Współpracy Naukowej w Polsce. Redaktorem jest dr Leszek Skonka z Wrocławia. Łamy pisma mają wypełniać informacje o sytuacji nauki w kraju, zwłaszcza w niezależnym ruchu naukowym, dyskusje na temat doskonalenia systemu szkolnictwa wyższego, polityki kadrowej, struktury organizacyjnej placówek naukowych, finansowania badań itp. Numer pierwszy *Wiadomości Naukowych* zawiera przedruki odezwo i komunikatów o powstaniu „Niezależnego Zespołu Współpracy Naukowej”, który zawiązano 3 maja 1978 roku we Wrocławiu. Znajdujemy tam długą listę tematów badań (z dziedziny zagadnień ustrojowych, politycznych, społecznych, ekonomicznych i historii najnowszej Polski), które mają być podjęte przez naukowców

skupionych w niezależnym ruchu naukowym, którego uformowanie jest celem Zespołu. Dalej publikowana jest ankieta o polskim *Berufsverbot*, czyli o stosowaniu dyskryminacji wobec osób o odmiennych poglądach przy obsadzaniu wszelkich kierowniczych stanowisk. Sondaż ten ma być pierwszą próbą w szerzej zakrojonej serii badań opinii publicznej na rozmaite tematy. „Jak organizować działalność naukową w warunkach szczególnie trudnych?” to temat innego sondażu-dyskusji, która ma być przeprowadzona w środowisku naukowym. Najdłuższy, siedmiostrońnicowy artykuł tego numeru *Wiadomości Naukowych* omawia przyjęcie Niezależnego Zespołu Współpracy Naukowej przez opinię publiczną. Autor artykułu, dr Leszek Skonka stwierdza, że „niektóre osoby, lub grupy (z kręgów opozycyjnych), wyrażające tendencję monopolistyczną, uważając, że tylko one mają wyłączne prawo reprezentowania wszelkich przejawów opozycji w Polsce — ustosunkowują się do tej nowej inicjatywy niechętnie”. Dr Skonka, poza tendencjami monopolistycznymi, jako powody takiego zachowania wymienia megalomanię, „oraz nawyki wyniesione ze starej pezetpeerowskiej szkoły, których nie łatwo zapomnieć, zwłaszcza jak się nie chce, bo z tym wygodnie. Pezetpeerowskie nawyki myślenia u niektórych rzeczników opozycji są tak silne, iż mówiąc o demokracji myślą i mówią o prawach wyłącznie dla siebie i to zdobywanych koniecznie kosztem innych: jest to fundamentalne założenie ich programu. Po prostu nie potrafiliby przyznać takich samych praw swoim przeciwnikom politycznym, a nawet swoim najbliższym kolegom i przyjaciółom. W zasadzie chodzi im o pozbawienie władzy PZPR, zajęcie jej miejsca i rządzenie w ten sam lub jeszcze gorszy zamordystyczny sposób, a nawet gotowi są dzielić władzę z komunistami, byle nie dopuścić do demokratyzacji”. Przeciwi komu zarzuty te są skierowane trudno powiedzieć, dr Skonka nie wymienia żadnych nazwisk ani nazw grup opozycyjnych. Przyznaje zresztą, że nikt otwarcie Niezależnego Zespołu Współpracy Naukowej nie atakował. Zwraca w każdym razie uwagę fakt, że w całym pierwszym numerze *Wiadomości Naukowych* nie wspomina się ani jednym słowem o działalności Towarzystwa Kursów Naukowych ani o represjach władz, które dotyczą wykładowców i słuchaczy Uniwersytetów Latających, mimo, że informowanie o sytuacji w niezależnym ruchu naukowym *Wiadomości Naukowe* uznały za swoje główne zadanie.

Najdłużej wychodzącym pismem ROPCiO jest *Opinia* (której osiem pierwszych numerów znanych jest czytelnikom na Zachodzie z londyńskiego wydania książkowego). W chwili obecnej posiadam numer 12/78 (nr kolejny 20-ty) z grudnia ub. roku. Po ubiegłorocznych zmianach w łonie ROPCiO *Opinię* redaguje kolegium w składzie: Andrzej Czuma, Kazimierz Janusz, Emil Morgiewicz i Wojciech Ziemiński. (Poprzedni redaktor *Opinii* Leszek Moczulski wydaje obecnie pismo *Droga*. Treść nru trzeciego

podawaliśmy poprzednio. Nr czwarty jeszcze do nas nie dotarł). Najciekawszym materiałem bieżącego nru *Opinii* jest opis wrażeń Stanisława Kruka z pobytu we Lwowie pt. „Pielgrzymka do Lwowa”. Autor opowiada o świadomym barbarzyńskim dewastowaniu polskich pamiątek Lwowa przez Rosjan, którzy do tego intensywnie rusyfikują miasto wbrew nominalnym gospodarzom, Ukraińcom. Ponadto numer zawiera dokumenty i uchwały przyjęte na IV Ogólnokrajowym spotkaniu uczestników Ruchu Obrony, które odbyło się w Warszawie w dniach 9 i 10 grudnia 1978 r. Obok rezolucji i oświadczeń na tematy ogólnopolskie są tam również uchwały uściślające strukturę organizacyjną ROPCiO i powołujące nowe organy m.in. Radę Sygnatariuszy ROPCiO. (W spotkaniu tym nie wzięli udziału działacze ROPCiO skupieni wokół Leszka Moczulskiego, którzy w tym samym czasie w innej części Warszawy odbyli V Ogólnopolskie Spotkanie Uczestników Ruchu Obrony). 12 numer *Opinii* przynosi też wiele wiadomości z życia kraju i opozycji demokratycznej, z życia rodaków na obczyźnie, artykuł Jerzego Brykczyńskiego „O wypaczaniu historii” i Marka Chmielewskiego „Z pamiętnika więźnia”.

Dwumiesięcznik młodych *Bratniak* wydawany jest przez gdańskie środowisko ROPCiO. Artykuł wstępny pt. „U progę nowego roku” z numeru 1 (15) za styczeń-luty 1979 formułuje następującą ocenę sytuacji: „Konstatując pogłębianie się kryzysu struktur systemu i samej partii, należy jednak stwierdzić, że miniony rok nie przyniósł również zdecydowanego kroku naprzód ze strony opozycji demokratycznej. Dynamika jej działania, znaczna w latach 1976-77, w roku 1978 uległa przyhamowaniu. Przyniósł on raczej umocnienie dotychczasowego stanu posiadania opozycji, niż poszerzenie bazy jej działania. Były jednak i wyraźne porażki. Na pewno trzeba do nich zaliczyć kryzys wewnętrzny jaki przeszedł w ciągu tego roku Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, oraz faktyczne fiasko koncepcji Studenckich Komitetów Solidarności”. Zdaniem redakcji najważniejszym zadaniem, które stanie przed środowiskami opozycyjnymi w roku 1979 „jest nadanie im charakteru nie elitarnych grup ale ruchu, jeśli nie masowego, to w każdym razie dysponującego znacznie szerszą bazą społeczną”. Wobec postawienia takiego celu staje się zrozumiałe, że redakcja oceniając rok 1978 pominęła fakt, że w tym właśnie roku powstały Komitety Samoobrony Chłopskiej, Komitety Wolnych Związków Zawodowych i Komitet Obrony Interesów Ludzi Wierzących. Żaden z tych komitetów nie jest jeszcze z pewnością ruchem masowym, ale czy nie oznaczają one mimo wszystko poszerzenia bazy działania opozycji demokratycznej?

Jedną trzecią tego numeru *Bratniaka* wypełniają rozważania Krzysztofa Lechickiego na marginesie książki Wojciecha Wasiutyńskiego „Źródła Niepodległości”. Autor notuje z zadowoleniem, że książka ta miała dwie reedycje krajowe w niezależnych wydawnictwach: w „Wydawnictwie Narodowym” z Poznania i w „Wy-

dawnictwie Polskim" związanym z ROPCiO. W dalszej części numeru przedstawiona jest dość obszerna relacja z mało znanych wydarzeń na Jasnej Górze 21 lipca 1958 r. W dniu tym Służba Bezpieczeństwa przeprowadziła rewizję w Instytucie Prymasowskim a oddziały Milicji zaatakowały tłum pielgrzymów, który zebrał się pod bramą Klasztoru, zaalarmowany poczynaniami władz. W dziale „Dokumenty” pismo publikuje apel „Do młodych demokratów w Polsce”, podpisany przez Karola Głogowskiego, Andrzeja Ostoja-Owsianego i Adama Pleśniara. Autorzy apelu byli członkami Związku Młodych Demokratów, organizacji powstałej na fali Października 1956, kwestionującej kierowniczą rolę partii, rozwiązanej wkrótce po umocnieniu się Gomułki u władzy. Apel analizuje sytuację w oficjalnym ruchu młodzieżowym w Polsce w chwili obecnej i wzywa młodych do szerokiego podjęcia służby sprawie demokratyzacji. *Bratniak* przynosi jeszcze analizę danych liczbowych o sytuacji oficjalnej prasy w Polsce przygotowaną przez Ośrodek Dokumentacji i Badań Politycznych oraz długą listę represji władz w grudniu ub. roku, głównie w związku z obchodami rocznicy Wypadków Grudniowych.

Najnowszy numer *Gospodarza* (1/14 z 20 lutego 1979), pisma przeznaczonego dla wsi, związanego z ROPCiO, przynosi — obok przeglądu bieżących wydarzeń, dokumentów i komunikatów komentarze na temat klęski żywiołowej ostatniej zimy i jej skutków dla wsi oraz na temat stałych prób upaństwowienia ziemi oraz artykuł dr. hab. Stanisława Około-Kułaka o gospodarowaniu Państwowym Funduszem Ziemi.

Ruch Związkowy, pismo poświęcone odrodzeniu wolnego ruchu zawodowego w Polsce, nie jest formalnie związane z ROPCiO, ale członkowie kolegium redakcyjnego są zarazem członkami Ruchu Obrony. (Roman Kściuczek, Kazimierz Świtoń, Andrzej Woźnicki i Jan Zapolnik). Numer 3 za październik-listopad 1978 zawiera okolicznościowe komentarze w związku z wyborem Papieża i rocznicą odzyskania Niepodległości, kronikę niezależnego ruchu zawodowego, przedruki oświadczeń i dokumentów oraz artykuł Andrzeja Woźnickiego o systematycznym zatrzymywaniu pracowników w niektórych łódzkich zakładach przemysłowych.

Wspomniany na początku Komitet Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu zawiązał się w dniu 10 lutego 1979, na cztery dni przed 60 rocznicą otwarcia Sejmu Ustawodawczego RP, a jego celem jest „stworzenie otwartej płaszczyzny porozumienia wszystkich obywateli, którzy — działając w dobrej wierze — zmierają do zjednoczenia wspólnych wysiłków na rzecz demokratycznej ordynacji wyborczej; jak najszybszego przeprowadzenia rzetelnych wyborów najwyższego, suwerennego organu władzy Państwa Polskiego”. Pod deklaracją podpisanych jest 26 osób, w tym wielu uczestników ROPCiO, m.in. Wojciech Ziem-

biński i Marian Piłka, którzy zostali redaktorami organu prasowego tego nowopowstałego Komitetu pt. *Rzeczpospolita*. Poza deklaracją założycielską pierwszy numer *Rzeczpospolitej* przedrukowuje jeszcze list 23 Żołnierzy *Rzeczpospolitej* i uczestników walk o niepodległość, skierowany do Przewodniczącego Rady Państwa PRL Henryka Jabłońskiego z żądaniem jak najrychlejszego zarządzenia rzetelnych wyborów do Sejmu w oparciu o demokratyczną ordynację wyborczą. 14 sygnatariuszy tego listu weszło w skład Komitetu Porozumiewawczego na rzecz Samostanowienia Narodu.

Pełna (najprawdopodobniej) lista pism wydawanych przez uczestników Ruchu Obrony praw Człowieka i Obywatela obejmuje jeszcze *Opinię Krakowską* i *Rejestr*. Nie posiadam jednak żadnego egzemplarza tych czasopism.

J. Ś.

Sztokholm

Życie nauczyciela w PRL

Reportaż-wspomnienie z kilkuletniej pracy nauczycielskiej w Polsce.

W marcu 1968 roku nie wierzę, abym kiedykolwiek miała otrzymać dyplom ukończenia studiów. Za działalność publicystyczną (pozał się Boże jaka to publicystyka, wiersze o nikłej wartości literackiej, odezwy do społeczeństwa, komunikaty) pobawiona zostaje wszelkiej pomocy stypendialnej, prawa do zamieszkiwania w domu studenckim oraz korzystania ze stołówki. Jestem zmuszona przerwać studia prawnicze (I rok), zezwala mi się natomiast na kontynuowanie zajęć na polonistyce (II rok). Widocznie polonista o „skrzywionym” kręgosłupie ideowym jest mniej niebezpieczny niż prawnik.

Zaczyna się okres wytężonej pracy, dążenie do celu z uporem maniaka — w dzień zajęcia na uczelni, wieczorami i w niedziele praca.

Mija prawie 5 lat od tamtego, pamiętnego marca, gdy — jak na ironię również w marcu — otrzymuję urzędowe potwierdzenie własnej przydatności społecznej — „Dyplom ukończenia studiów”.

Pełna optymizmu pakuję do walizki całe moje studenckie

życie i wracam do rodzinnego miasta, gdzie mam nadzieję podjąć pracę zgodną z moim wykształceniem magistra-polonisty.

Po kilkunastu wizytach w Wydziale Oświaty (szkoły podstawowe) i Kuratorium (resort szkół średnich) w poszukiwaniu pracy — radość i optymizm powoli topnieją. Nie ma pracy, brak etatów, taki stan rzeczy utrzymuje się do 15 września, w dwa dni potem otrzymuję propozycję pracy — szkoła podstawowa, na wsi, dojazd autobusem międzymiastowym z dworca kolejowego, czas dojazdu do pracy — około godziny. Podpisuję jednak umowę na rok, zostaję nauczycielką — czego? Właściwie trudno sprecyzować — uczę wszystkiego: geografii, prac ręcznych, gimnastyki, śpiewu oraz... języka polskiego.

Czuję się trochę jak omnibus, trochę jak „Siłaczka” — szczególnie zimą, gdy o godz. 6-tej rano wychodzę z domu, gniotę się w zatłoczonym tramwaju a potem dosypiam w autobusie brnącym przez śnieg do „mojej” szkoły (lekcje rozpoczynają się o godz. 7.15. W szkole zimno, dzieciaki w płaszczach, chustach, w piecach gwizdże wiatr, za oknami śnieg, prawdziwa wiejska szkółka sprzed około 100 lat.

Pani dyrektor, też polonistka — zapowiada mi z góry abym nikomu się nie narażała, bo „tu magistrów nie było i też się żyło”, więc mam pamiętać, że za rok się stąd wyniosę.

Jednocześnie dowiaduję się, że w szkole nie było polonisty od początku roku szkolnego tj. od 1 września, dlaczego więc ja otrzymałam pracę dopiero od 17 września? Odpowiedź jest zaskakująco prosta i ekonomiczna — otóż w przypadku umowy o pracę spisanej po 15 września nauczycielowi nie przysługuje wynagrodzenie za dwa miesiące wakacyjne, tym oto sposobem moja skromna osoba powiększa skarb państwa o 4.600 złotych polskich.

W następnym roku wędrowkę z podaniem o pracę rozpoczynam przezornie o 2 miesiące wcześniej niż poprzednio, tj. w maju. Do sierpnia nie uzyskuję nic, zaczynam podejrzewać, że źródłem moich kłopotów z zatrudnieniem może być „przeszłość marcową”, pracownik Kuratorium radzi mi otwarcie „powinna pani wstąpić do partii, wszyscy nauczyciele, jako wychowawcy młodego pokolenia powinni być partyjni, musimy odpowiednio dobierać pracowników, albo może pani spróbować załatwić coś przez znajomości, ale to tylko prywatna rada”.

Dobra rada złota warta — jak mówi stare ludowe porzekadło, tylko skąd wziąć te znajomości, pomysł z partią odpada bowiem zdecydowanie.

Mijają tygodnie, nadal jestem „bez przydziału”, nadchodzi początek roku szkolnego. Rozpacz — ojciec na emeryturze, matka

— rencistka, siostra — na studiach, a ja — bez pracy. Nieoczekiwanie sytuację ratuje dyrektor liceum, którego jestem absolwentką. Spotkany w Kuratorium na korytarzu wieje złością, ponieważ od trzech miesięcy stara się bezskutecznie o brakującego w szkole... polonistę! Paradoks? Być może, ale nie odosobniony. Niestety etat ten jest już zajęty. Od kiedy? — Od dzisiaj rana! formalnie wszystko jest w porządku.

Po połowie września (znów oszczędności?), dzięki wydatnej pomocy „mojego” dyrektora, otrzymuję etat polonisty w średniej szkole technicznej.

Duży piękny gmach, sale lekcyjne przestronne, czyste, dobrze oświetlone. Radość, optymizm i żądza działania emanują z całej 25-letniej „pani profesor”.

Wspaniałe jest życie nauczyciela... do momentu pierwszego z cyklicznych zebrań nauczycielskich, nazywanych „szkoleniem ideologicznym nauczycieli”.

Szkolenia owe organizowane są mniej więcej co 3 miesiące, zawierają tematy takie jak: „Wyższość kultury i nauki socjalistycznej nad kulturą i nauką krajów zachodnich”, „Kształtowanie socjalistycznej postawy ucznia”, „Wolność pracy i kultury — zdobywcze socjalizmu” (sic!).

Czuję się jak na sympozjum wariatów, gdy prowadzący szkolenie przekonuje zebranych, że współczesna literatura zachodnia jest lepiej znana w Polsce niż współczesna literatura polska na Zachodzie, a dzieje się tak dzięki dalekowzrocznej polityce wydawniczej naszego kraju — po prostu w Polsce wydaje się więcej tytułów pisarzy zachodnich niż odwrotnie. Po godzinnym referacie, w trakcie którego grono pedagogiczne z uporem godnym lepszej sprawy stara się robić wszystko, aby zapełnić sobie czas nie słuchając prelegenta (porządkowanie dzienników lekcyjnych, odrabianie zaległości korespondencyjnych, lektura) — przychodzi czas na dyskusję. Ponieważ w moim charakterze nie leży stosowanie biernego oporu — proszę o głos.

— Jakich współczesnych pisarzy polskich możemy rzucić na rynek światowy? Który z nich może zainteresować międzynarodową publiczność? Iwaszkiewicz — być może, jeżeli znajdzie tłumacza idealnego, wyczulonego na impresję słowa; Dąbrowska — zbyt tkwiąca tylko w polskich realiach; Dygat, Kawalec — darujmy sobie, odpada. Zostaje Kruczkowski, Andrzejewski, Konwicki — ale kto jeszcze?

— No, ale np. Mrozek stał się znanym na Zachodzie dramaturgiem?

— Tak, od chwili gdy wyjechał z Polski, gdy przestał, mówiąc językiem kulinarnym, dusić się w naszym narodowym sosie. Nie mamy w Polsce Hemingwayów, Caldwellów, Steinbecków,

Faulknerów, Sartrów, Aragonów. Ionesco i całego szeregu innych, wyrostłych ponad narodowe wartości twórców. Jeden Mrozek i Gombrowicz nie stworzą literatury...

— Kto tu mówi o Gombrowiczu, to nie ma związku z tematem...

— To właśnie bardzo źle, bo powinno, powinno, uważam...

— Dziękujemy za zabranie głosu, poproszę jeszcze tylko o nazwisko koleżanki... (to pan towarzyszący prelegentowi).

Koniec dyskusji, koniec szkolenia, stracone (czy na pewno) 2 godziny. Jeszcze jedno doświadczenie więcej.

Prawdziwą radość sprawia mi praca z młodzieżą. Prowadzę trzy klasy maturalne, uczniowie w wieku 19-20 lat, „młodzi gniewni”, myślący, moim zdaniem — ciekawi ludzie. Właśnie ludzie, a nie dzieci, niedorostki czy smarkacze.

Nie pracuje *nad* nimi, nie wychowuję werbalnie — staram się pracować z nimi. Kontakt z młodzieżą po początkowym okresie nieufności nawiązuje się szybko. Zaczynają mówić o swoich planach, przeżyciach, często o sytuacji rodzinnej, przychodzą po lekcjach, na przerwach, uczą się i... przede wszystkim czytają. Czytają uważnie, z wyborem, analizują przeczytane lektury. Nauczyciele często twierdzą, że młodzi są bezduszni, źli, cyniczni. (Niestety jak później się okaże, w niektórych wypadkach mieli rację). Na lekcji wychowania obywatelskiego, realizując temat o przemysłowej potędze Polski (!) — tematy takie narzucane są odgórnie — nauczyciel mówi o osiągnięciach przemysłu, o budowie Huty Katowice, podaje w liczbach wskaźniki produkcji — pod koniec tej wychowawczej lekcji uczeń zadaje pytanie — gdzie można by nabyć paczuszkę stalowych gwoździ? Nigdzie — po prostu nie ma. Cynizm? — nie, raczej konfrontacja smutnej rzeczywistości z nadętą a nieskuteczną propagandą.

Młodzież polska, podobnie jak młodzież całego świata dąży do poznania prawdy, konfrontuje słowa z rzeczywistością. W Polsce konfrontacja ta wypada nader żałośnie.

Uczniowie często przyjmują pozycję, jak im się wydaje agresywną, pytają o fakty, których nie ma w podręcznikach, poruszają tematy tabu. W mojej 4-letniej pracy nauczycielskiej *nie było klasy*, w której nie padłyby pytania:

— Dlaczego nie mówi się o agresji ZSRR na Polskę 17 września 1939 roku?

— Czy pani wiadomo coś o pakcie podpisanym przez Mołotowa i Ribbentropa?

— Jak to było ze zbrodnią katyńską? (pytanie nieomal etatowe).

— Czy pani wie co Rosjanie robili na wschodzie Polski, gdy w 1939 roku zajęli te tereny?

Co można tym młodym ludziom odpowiedzieć?

— Po prostu o tym się nie mówi, w podręczniku historii też nie znajdziecie, powiem wam tyle, ile sama wiem.

— Tak, wiem o tym pakcie, nazwany został paktem Ribbentrop-Mołotow.

— Katyń — nie muszę nic wyjaśniać — oni wiedzą i ja wiem, przynoszą książki z dokumentalnymi zdjęciami, czytają, oglądają.

— Wiem, co Rosjanie robili na zajętych przez siebie terenach, cała moja rodzina pochodzi ze Lwowa.

Dosyć o problemach historyczno-politycznych — uczyć języka polskiego, powinnam więc mieć żywot względnie spokojny. Tamtymi sprawami niech się zajmują nauczyciele historii — szczerze im zresztą współczuję.



Niestety i literatura nie jest, jak się okazuje, „bezpieczną” dziedziną nauczania. Najbardziej kontrowersyjnymi lekcjami są godziny poświęcone takim pisarzom jak Mickiewicz, Słowacki, Wyspiański, Żeromski, Andrzejewski, Bratny, Baczyński. Przy omawianiu twórczości Mickiewicza („Dziady” cz. III *jeszcze* są w programie szkół średnich) padają natychmiast pytania o przyczyny wydarzeń marcowych 1968 roku. Wyjaśniam, opowiadam, powracają w pamięci miejsca, ludzie, wąskie uliczki zablokowane przez uzbrojone oddziały milicji, zamknięty przez 10 dni uniwersytet, w którego głównym gmachu nie ma ani jednej całej szyby (to władza strzelała pociskami i gazem łzawiącym przez zamknięte okna do sal wykładowych), rozgorączkowane twarze studentów (i nie tylko), powielanie powstających na gorąco tekstów.

Słuchają w ciszy i skupieniu.

„Popiół i diament” — reakcja uczniów jest diametralnie różna od zakładanej przez ośrodek metodyczny. Szczuka jest dla nich człowiekiem z kamienia, monolitycznym działaczem komunistycznym — natomiast bohaterem pozytywnym jest zagubiony w wydarzeniach 1945 roku i bardzo przy tym ludzki Maciek Chełmicki.

Zastanawiam się czy autorowi nie przyświecał właśnie ten cel, czy takie odczytanie postaci młodego bohatera nie jest jedynym prawidłowym odebraniem idei Andrzejewskiego.

Dyskusja na lekcji zatytułowanej: „... nie wiedząc czy my karty Iliady rzeźbionej ogniem w błyszczącym złocie, czy nam postawią, z litości chociaż, nad grobem krzyż” staje się burzliwa, wnioski — rewelacyjne. — „Nieporozumieniem była rehabilitacja żołnierzy AK — po prostu nieporozumieniem było oskarżanie ich, tego nie wolno było robić”.

Młodzież sama proponuje tematy prac pisemnych, zastanawiając się czy ich, dwudziestolatków lat 70-tych stać by było

na lata walki, narażanie życia, na prześladowania, a nawet śmierć. Rozważają, polemizują, pytają się — w imię czego? Jakiej ojczyzny? A jednak końcowa odpowiedź brzmi — TAK!

Są przerażeni aktami ludobójstwa — a jednak fakt pozornie zaskakujący — nie żywią nienawiści ani do Niemców ani do Rosjan jako narodu. Dobrze, inaczej trudno byłoby im żyć. Współczują Rosjanom (biedny, tumaniony naród), oraz Niemcom (nie można sztucznie rozdzielić narodu, to niehumanitarne) — tania słowiańska klikiwość czy realne spojrzenie na świat człowieka XX-go wieku?

Zastanawiam się jak minimalną rację w kształtowaniu ich świadomości odgrywają emanujące propagandą *mass media*.

Przychodzi wiosna, zbliża się okres egzaminów dojrzałości — trzy tygodnie zupełnie zwariowanego życia. Wiem już czemu nikt ze „starych” nauczycieli nie chce uczyć w klasach maturalnych: w ciągu roku karkołomne wysiłki, aby zmieścić się z programem w czasie dwóch godzin lekcyjnych tygodniowo (tak, tyle akurat czasu przeznaczają się na język polski w IV-tej klasie szkół technicznych, 90 minut na tydzień, tj. mniej niż wynosi wymiar czasowy języka rosyjskiego!), organizowanie dodatkowych pozalekcyjnych zajęć, wreszcie poprawianie maturalnych prac pisemnych, udział w komisjach egzaminacyjnych, dodatkowe klasyfikacyjne rady pedagogiczne.

Wszystko w końcu mija, zostaje ogromna radość — wszyscy, 103 „moich” uczniów, zdają egzamin z języka polskiego z wynikiem pozytywnym. Podziękowania od uczniów, gratulacje ze strony dyrekcji.

Wspaniale jest być... nie, znów przestaje być nauczycielem. W pierwszych dniach czerwca otrzymuję, bez podania powodów, rozwiązanie umowy o pracę na trzy tygodnie przed końcem roku szkolnego!



Po połowie (nigdy nie uwierzę, jeśli mi ktoś powie, że Polska jest krajem rozrzuconym) września Kuratorium instaluje mnie w innej szkole o podobnym profilu i programie nauczania jak w placówce poprzedniej. Klasy maturalne (nie tylko zresztą), sytuacje się powtarzają, te same pytania, problemy, reakcje. Nie, przepraszam, inna jest reakcja dyrektora naczelnego szkoły na wiadomość, że Kuratorium odwołuje mnie z pełnionej funkcji z dniem 28 lutego.

Do matury pozostają tylko dwa miesiące, rodzice uczniów, pracujący społecznie w Komitecie Rodzicielskim, składają pisemny protest, podpisany przez dyrektora. Stanowisko Kuratorium jest

jednoznaczne, uczniowie nic nie tracą, od 1 marca przychodzi nowy nauczyciel — polonista.

Oj, wesoło jest być nauczycielem... uczucie radości wzmaga się, gdy wysunięte zostają w stosunku do nauczycieli żądania, aby każda lekcja zawierała trzy elementy: poznawczy, kształcący i wychowawczy. Powyższe trzy cele *muszą* być ujęte w konspekcie a następnie zrealizowane na lekcji. Wyłonieniu niedociągnięć służą hospitacje, kontrola obejmująca dziennik lekcyjny, konspekty przygotowywane przez nauczyciela oraz zeszyty uczniów. Podczas gdy cel poznawczy i kształcący występują praktycznie przy każdym temacie — wielkiej gimnastyki umysłowej wymaga wyodrębnienie celu wychowawczego w lekcji np. o imiesłowach przymiotnikowych (a może po prostu dobrać odpowiednie przykłady? np. *bity* — *bijący*, *oskarżony* — *oskarżający* — można jeszcze dorzucić *uwięzionego* i *zrehabilitowanego*). I co? — nudno w szkole? Skąd, wszyscy się świetnie bawią. Przypomina to co prawda zabawę w „kto kogo dogoni”, ale przynajmniej nie ziewa się z nudów.

Szczególnie wesoło go charakteru nabiera życie nauczycielskie wiosną i jesienią. Jest to okres uczniowskiej, przymusowej turystyki zwanej szumnie „praca społecznie użyteczna”. Dwa określenia się zgadzają — „praca” oraz „społeczna”, co do użyteczności mamy na ten temat nieco inne zdanie.

Komu potrzebna była dwudniowa praca moich uczniów, którzy jesienią, w deszczu kopali w lepkiej glinie rowy po to, aby później — na wiosnę — te rowy (bez żadnych zmian, choć miały być w nich kładzione rury) zasypywać? Jaki pożytek miał PGR z tego, że jeden z pracowników uderzył ucznia w głowę gdy ten przysiadł na chwilę na koszu z ziemniakami, aby odpocząć? Młodzież miała lekcję kultury, gdy powyższy pracownik na zwróconą uwagę odparł, że „panią też mogę nauczyć”. Naturalnym efektem tego zajęcia było przerwanie przeze mnie uczestnictwa mojej klasy wykopkach.

Nauczyciel — wychowawca klasy, monitowany ogólnie (chodzi o uczestnictwo uczniów w pracy; wielu stara się uwolnić od tego obowiązku, służą temu celowi najczęściej zwolnienia lekarskie), robiąc dobrą minę do złej gry namawia, molestuje, przekonuje, uświadamia, agituje — wreszcie egzekwuje (albo i nie!).



Następnym miejscem mojej pracy jest liceum ogólnokształcące dla pracujących. Uczniowie, ludzie dorośli ostrzegają z góry — pan A. musi mieć oceny pozytywne — jest sekretarzem partii

w swoim zakładzie pracy, musi mieć maturę, ach, i lepiej przy nim „nic takiego” nie mówić.

Po dwóch miesiącach nauki zjawia się w szkole pan A. — oświadczam mu, że musi nadrobić zaległości. Kiwa głową z uśmiechem politowania nad moim umysłowym ograniczeniem, jednocześnie „po przyjacielsku” proponuje mi swoją pomoc w uzyskaniu mieszkania i (nawet!) stałego etatu. Oczywiście warunkiem byłaby przynależność do partii (nawet załatwi się przeskoczenie stażu kandydackiego) oraz — w nieodmówieniu — matura.

Zbliża się matura, pan A. na egzamin pisemny przysyła zaświadczenie z zakładu pracy — uczestniczy w szkoleniu wyjazdowym i przybyć do szkoły nie może. Będzie zdawał egzamin ustny razem z tymi osobami, którym na pisemnym nie powiodło się. Traktuję go jak wszystkich innych uczniów: losowanie pytań, odpowiedzi przed komisją. Dyrektor (też polonista) stara się pomóc „dzielnemu przywódcy narodu” pytaniem dodatkowym z rzędu „wyciągających z opresji egzaminacyjnej”. Pytanie dotyczy „Konrada Wallenroda” — pan A. z pewną miną oświadcza osłupiałym członkom komisji, iż Konrad był wodzem Krzyżaków w okresie... powstania listopadowego! Nie zgadzam się na zaliczenie egzaminu, nie mogłabym spojrzeć w oczy innym uczniom. Pan A. nie otrzymuje w maju świadectwa dojrzałości, ja natomiast otrzymuję... przeniesienie (cud boski! — nie wymówienie!) do innej szkoły.

Od 1 września (nareszcie bez tych oszczędności) — nowa praca. Biedny kurator nie może się mnie pozbyć — najgorzej to z taką upartą.

Pierwsza rada pedagogiczna — jestem przerażona, powitalne przemówienie dyrektora naczelnego wygląda następująco:

„W ubiegłym roku nic nie robiliście, wiem że mnie nie lubicie, ale mnie to guzik obchodzi, macie pracować, dawać z siebie wszystko, szanować wasz zawód, gdyż jest on zaszczytny, jak powiedział w telewizji tow. Gierek. Nie będę tolerował nieróbstwa magistrów, ja tam nie jestem magister, ale nie po to tyle lat w UB pracowałem, aby teraz znosić wasze fochy — ja wam jeszcze pokażę...”. Tak zaskakująco szczere i bezpośrednie przemówienie zapadło mi szczególnie w pamięć, gdyż jak się okazało później było ono stałym punktem wszystkich zebrań nauczycielskich.

Ten rok szkolny jest najtrudniejszy z dotychczasowych: ciągłe hospitacje lekcji dokonywane przez dyrekcję i wizytacje Kuratorium pod kątem sprawdzania wyników pracy ideologicznej z młodzieżą, zalecenia sypią się jak z rękawa — mają związek głównie z działalnością KOR-u.

Najbardziej karkołomnym przedsięwzięciem byłoby przepro-

wadzenie lekcji zgodnej z tematem narzuconym odgórnie — „KOR jako organizacja kryminalistów”. Piszę w trybie warunkowym — byłoby — ponieważ o ile wiem w żadnej klasie takiej lekcji nie przeprowadzono, nikt nie odważył się nazwać Andrzejewskiego, J. Kuronia czy ks. Zięję — kryminalistą.

W maju organizuję wraz z uczniami apel z okazji Dnia Zwycięstwa. Apel będzie nietypowy, nie odmawiam zasług żołnierzom I-szej Armii LWP, jednak uważam, że zwykłą ludzką sprawiedliwością będzie przypisanie zasługi zwycięstwa wszystkim Polakom, biorącym udział w walce z hitlerowcami, niezależnie od tego na jakim froncie walczyli.

Ponad godzinę nadajemy przez radiowęzeł szkolny program poświęcony żołnierzom Września, Armii gen. Andersa, AK, marynarzom spod Narwiku i lotnikom polskim walczącym w Wielkiej Brytanii. Na program składają się wiersze i pieśni żołnierskie, jest życzenie poety by:

*„... głośno dudnił gdzieś na warszawskim bruku
obcas łatany w Narwiku, gwóźdź wyszczerbiony w Tobruku...”*

są „Warszawskie dzieci”, których nie zmoże żadna siła, jest powstańcza „piosenka z barykad” i „rząd białych krzyży pod Monte Cassino”. Jest też... potężna awantura z dyrekcją pt. „Pani nie zdaje sobie sprawy z tego, co pani robi. To jest sianie wrogiej propagandy” — nie mam sił ani ochoty tłumaczyć „panu dyrektorowi z UB”, że *wszystkie* teksty zaczerpnięte zostały z książek i płyt wydanych w PRL, wiem sama, jak dużą rolę spełnia wybór i usystematyzowanie słowa.

Ostatnie szkolenie ideologiczne, w którym uczestniczę (obecność obowiązkowa) zamienia się w ostrą — nazwijmy to delikatnie — wymianę zdań i poglądów. Włos jeży się na głowie, gdy prelegent z ośrodka ideologicznego zaznajamia nas z nowymi dyrektywami, a są one następujące:

1. każdy wychowawca nauczy swoich podopiecznych śpiewać „Hymn młodych komunistów”, który będzie wykonywany na cotygodniowych apelach młodzieży — tekst hymnu nauczyciele otrzymają;
2. uczniowie mają każdą lekcję rozpocząć powstaniem, okrzykiem „cheść godłu” i podniesieniem prawej ręki — przez co oddadzą honory godłu państwowemu (wiszącemu w każdej sali lekcyjnej w towarzystwie portretu pana Gierka).

Nie, nie jest to 1 kwietnia, nie *Prima Aprilis* — jest maj, mamy nadzieję, że jest to zarządzenie tylko lokalnych władz, nie ogólnopolskie lecz mimo wszystko — nie dajmy się zwariować!

Zgodnie z tym, jedynym w danym momencie, praktycznym hasłem, domagam się usilnie głosu w dyskusji. Odmawiam.

— Nie będę uczyć śpiewania „Hymnu młodych komunistów”, szkoła to nie kabaret, ja — nie Liza Minelli. Uważam również, że drugie zalecenie jest absolutnie nie do przyjęcia. To nic innego jak narodziny szowinizmu, czy musimy dublować historię, w dodatku czerpiąc wzorce z Niemiec lat 30-tych??

Po tygodniu otrzymuję wymówienie z pracy — a jednocześnie odbieram paszport, o który bezskutecznie starałam się od długiego czasu. Aby memu upartemu charakterowi stało się zadość idę osobiście do Kuratorium z podaniem o pracę na następny rok szkolny. W tym momencie moja „bezczelność” przekracza widać granice, gdyż urzędnik tejże instytucji, doprowadzony do ostateczności, będąc u kresu wytrzymałości nerwowej oświadcza mi wprost i bez ogródek, że nie mam po co składać podania, gdyż pracy i tak nie otrzymam. Dlaczego? Nareszcie sytuacja staje się zupełnie jasna. Przyczyn jest kilka: moja działalność „marcowa”, o której nie zapomniano, wypowiedzi na szkoleniach oraz na... lekcjach.

Nie wierzyłam, gdy moje starsze, bardziej doświadczone koleżanki ostrzegały mnie, iż niektórzy uczniowie są wzywani do Kuratorium, gdzie relacjonują przebieg poszczególnych lekcji. Niestety okazało się, że miały rację — mam przed sobą dowody, wszystko jest zapisane, włącznie z datami, wypada mi tylko dziwić się, że przez kilka lat byłam jednak nauczycielem i wspominać teraz — z emigracyjnego oddalenia — „wesole” nauczycielskie życie w Kraju.

ANNA

BIBLIOTEKA « KULTURY »

WZNOWIENIAWITOLD GOMBROWICZ
D Z I E N N I K I

(Tomy VI, VII i VIII „DZIEŁ ZEBRANYCH”)

Dziennik T. I. (1953-1956) str. 304 — F. 55,00**Dziennik** T. II (1957-1961) str. 256 — F. 50,00**Dziennik** T. III (1961-1966) str. 224 — F. 40,00.**Sąsiedzi****W sowieckiej prasie**

Jak można było oczekiwać, najbardziej sensacyjne wydarzenie w kwietniu 1979 roku — to jest wymiana pięciu sowieckich dysydentów na dwóch sowieckich szpiegów — nie znalazło żadnego oddźwięku w sowieckiej prasie. Na pytania dziennikarzy francuskich, którzy towarzysząc Prezydentowi Giscard d'Estaing byli w Moskwie w dniu tej wymiany, rzecznik Breżniewa odpowiedział: „Byli ludzie, którzy chcieli porzucić nasz kraj i byli inni, w których powrocie byliśmy zainteresowani”. Strona sowiecka ograniczyła się wyłącznie do tego komentarza.

Druga część wyjaśnienia rzecznika Breżniewa odpowiada prawdzie: Związek Sowiecki był zainteresowany w powrocie dwóch szpiegów, współpracowników ONZ, schwytanych na gorącym uczynku i skazanych przez sądy amerykańskie na 50 lat więzienia każdy. Ale pierwsza połowa odpowiedzi jest tylko częściowo słuszna: wyjechać ze Związku Sowieckiego chcieli jedynie Edward Kuzniecowa i Mark Dymyszyc, skazani w 1970 roku za próbę porwania samolotu (zresztą nawet do niego nie wsiedli) na karę śmierci, zamienioną na 15 lat więzienia i łagrów; nie chcieli natomiast wyjechać ani Aleksander Ginsburg, ani Walentin Moroz, ani pastor Georgij Wins.

Kwietniowa wymiana to nowy rozdział historii handlu żywym towarem, którym władze sowieckie zajmują się już ponad 60 lat. Przez wiele lat handel ten miał charakter — jeśli tak można powiedzieć — najbardziej prymitywny: chwymano cudzoziemca, wsadzano go do więzienia i następnie targowano się o wykup. Przy czym żądano zawsze bardzo dużo, oraz zwlekano z uwolnieniem. W 1921 roku, na przykład, Amerykańska Organizacja Pomocy (ARA) godząc się żywić miliony obywateli sowieckich mrących z głodu, prosiła o uwolnienie amerykańskiej dziennikarki, zaarrestowanej w Moskwie. Towarzysz Lenin, niezbyt chętnie godząc się na przyjęcie żywności od imperialistów, absolutnie

nie chciał zwolnić tej dziennikarki. W 1928 r. zostali zaaresztowani niemieccy inżynierowie, których oskarżono o zaczynające wschodzić w modę przestępstwo — szkodnictwo. Za ich uwolnienie towarzysz Stalin zażądał już bardziej wyrafinowanego wykupu — maszyn i kredytów. Towarzysz Stalin nigdy nie wykupował sowieckich obywateli, którzy znaleźli się za granicą. W ogóle nie lubił, by obywatele sowieccy jeździli za granicę, nawet jeżeli ich sam wysyłał. Odmówił wykupienia głośnego szpiega Richarda Sorge od Japończyków, a nawet i wymiany swego syna, który dostał się do niewoli niemieckiej. Jak wiadomo ograniczył się tylko do zaaresztowania żony syna, którą miał akurat pod ręką.

W jednym tylko następcy Stalina nie przypominają swego Ojca i Nauczyciela: zaczęli wykupywać swoich szpiegów. Wpływy sowieckich organizacji wywiadowczych wzrosły i ich skompromitowani agenci uzyskali prawo powrotu, aby móc wyjaśnić co o nich wiedzą za *żelazną kurtyną*. W grudniu 1976 roku swego człowieka, Luisa Corvalana, KC KPZS wykupiło oddając Zachodowi Władimira Bukowskiego. W kwietniu 1979 roku, po raz pierwszy, wymieniono obywateli sowieckich na innych obywateli sowieckich.

Dlaczego ta wymiana miała miejsce? To jest jasne. Breżniew za wszelką cenę chciał podpisać tzw. SALT-2. I rzeczywiście, w 12 dni po wymianie 5 dysydentów wszystkie trudności na drodze do podpisania tej umowy zostały usunięte. Natomiast przekonywującego wyjaśnienia dlaczego Amerykanie zgodzili się podpisać umowę, w zawarciu której tak jest zainteresowany Breżniew — jak dotąd nikt nie udzielił. Prawdopodobnie przede wszystkim działa tu zasada polityki zachodniej, sformułowana już w 1919 roku przez Lloyd George'a. Premier Wielkiej Brytanii oświadczył, że niezbędne jest „zaduszenie Bolszewików dobrocią”. Operacja ta trwa już 60 lat i trudno powiedzieć, aby była udana. Francuski historyk Alain Besançon pisał niedawno, w związku z wizytą Giscard d'Estaing'a w Moskwie, że przedtem dyplomacja służyła polityce, a obecnie polityka służy dyplomacji. Przedtem dyplomaci przygotowywali spotkania polityków, w czasie których podejmowano jakieś decyzje. Obecnie robi się ustępstwa polityczne, aby dobić się jakiegoś spotkania. W ostatecznym obrachunku wieloletnie pertraktacje o podpisanie SALT-2 były prowadzone jedynie dlatego, by Carter mógł spotkać się z Breżniewem.

Ale SALT-2 to jest inna historia. Wróćmy do samej wymiany. Rząd sowiecki był w niej zainteresowany i z innych powodów. Przebywanie w łagrach znanych na Zachodzie więźniów stwarza napięcie, które Moskwa chce osłabić w przededniu Olimpiady. Ma się rozumieć pozostają jeszcze inni więźniowie. Ale i ich prawdopodobnie wymienią do lata 1980 roku na potrzebne władzy sowieckiej rzeczy. W 1979 roku bardzo wzrosła ilość wiz, wydawanych Żydom, którzy chcą porzucić Związek Sowiecki. Dziesiątki tysięcy wyjedzie — ostrość problemu zostanie osłabiona.

Odpowiedzialny pracownik oddziału wiz i rejestracji cudzoziemców (OWIR), Konstantin Zołotow, wezwał w kwietniu br. Ałę i Marka Smuljańskich, którzy od 9-ciu lat czekają na zezwolenie na wyjazd do Izraela. Towarzysz Zołotow uprzejmie im oświadczył, że nigdy nie otrzymają wizy, ale niektórzy z „odmówników” (ci, którym odmówiono prawa wyjazdu i to często wielokrotnie) otrzymają zezwolenia przed Olimpiadą. Pozostali, po święcie olimpijskiego sportu, zostaną wysłani „w długą drogę do miejsc, których nie lubią”.

Sowieckie organy starannie dobrały dysydentów do handlu: trzech Żydów (A. Ginsburg jest wyznania prawosławnego), jeden Ukrainiec i jeden baptysta. Wniosek sam się nasuwa: tylko obcy są dysydentami. Sądząc z „Łagiernego dziennika” Edwarda Kuzniecowa, który został przez niego tajnie wysłany z łagru, stosunki między niektórymi z wymienionych dysydentów nie były idealne. Dlatego też wszyscy z miejsca rozjechali się w różne strony. Reprezentują oni różne poglądy. W pierwszym swym wywiadzie Aleksander Ginsburg wystąpił jako zwolennik pokojowej ewolucji w Związku Sowieckim, wierząc w odrodzenie ludzkich uczuć. Uważa on, że trzeba co najmniej dwóch pokoleń aby ta pokojowa ewolucja dała rezultaty. Obecnie — oświadczył — nie ma ani jednego człowieka, który byłby gotów ująć władzę w swoje ręce, ani jednego, który by się do tego przygotowywał. Inne stanowisko reprezentuje Walentin Moroz: ruch narodowy na Ukrainie — oświadczył — skierowany jest na starcie z władzą sowiecką; swój powrót do ojczyzny widzi jako powrót „z ludźmi w mundurach”, gdy „uwolnią oni Kijów”.

Sowieckie organy miały wszelkie powody, aby liczyć się z tym, że pięciu wysłanych na Zachód dysydentów nie będzie działać wspólnie.

Najbardziej doświadczony handlarz żywym towarem — Moskwa — zrobiła wszystko, aby złagodzić gorycz porażki. Niezależnie od wszystkiego, wymiana dysydentów na szpiegów jest klęską władzy sowieckiej: dopuszczono do tego, aby USA wnieśli się w jej sprawy wewnętrzne. Najważniejsze zaś jest to, że dysydenci w Związku Sowieckim przekonali się, że mają zaplecze, że nie są całkowicie osamotnieni w swojej walce z okrutnym aparatem państwa sowieckiego.

Powody i cele tej wymiany zostały wyłożone — ma się rozumieć w zakamuflowanej formie — w majowej uchwale KC KPZS o wzmocnieniu propagandy. Konstatuje ona niedostateczną efektywność propagandy sowieckiej — nudnej i prymitywnej; prasa i telewizja są krytykowane za jednostajność i brak „iskry”, za niechęć do omawiania aktualnych zagadnień społecznych, „za tendencję do bagatelizowania i unikania nierozwiązanych zagadnień, maskowania istniejących braków i trudności”. Zarówno autorzy tekstu tej uchwały, jak i jej czytelnicy dobrze wiedzą, że te rytualne oskarżenia powtarzają się już od przeszło 60-ciu lat. Zasadnicza część uchwały to wytyczne nowej ofensywy ideo-

logicznej. KC KPZS nakazuje skierowanie uderzenia przeciwko Chinom i przeciwko Zachodowi, informując o tym, że „imperialistyczny Zachód” i „szowinistyczny, agresywny Pekin” połączyły się, aby zdemoralizować umysły sowieckich obywateli.

8 maja br. sekretarz moskiewskiego komitetu partii, członek Politbiura, Wiktor Griszyn, na zebraniu pisarzy, członków partii, uściślił zadania. Wskazał na konieczność „wzmocnienia patriotycznego i międzynarodowego wychowania Moskwičan”. Zadanie to, podkreślił W. Griszyn, jest „specjalnie ważne w związku z XXII Olimpiadą”.

Zbliżająca się Olimpiada już dzisiaj nie daje spać sowieckiemu kierownictwu: niezbędne jest oczyszczenie kraju i przygotowanie obywateli do spotkania z falą cudzoziemców. Zostały podjęte zarządzenia administracyjne, aby 300 tysięcy cudzoziemców — którzy w ciągu 16-tu dni już samym tylko swoim wyglądem i zachowaniem będą uwodzić umysły ludzi sowieckich, jak najmniej stykało się z tubylcami i jak najmniej ich zarażało. Teraz — mówił sekretarz komitetu moskiewskiego — trzeba przyjąć wytyczne ideologiczne. Wzór jest. Jak wiadomo zawody olimpijskie w kraju totalitarnym organizowane są po raz drugi. W 1936 roku Józef Goebbels przekonywał Berlińczyków: „Każdy powinien być gospodarzem. Przyszłość Reichu zależy od tego z jakimi uczuciami wyjadą nasi goście”. W 1979 roku Wiktor Griszyn nakazuje: „Jest konieczne, aby mieszkańcy Stolicy w kontaktach z cudzoziemcami przejawiali serdeczność i gościnność, by podkreślali wyższość sowieckiego stylu życia i osiągnięcia naszego społeczeństwa, a jednocześnie odrzucali propagandę wrogich idej i zasad, ataki na nasz kraj, na ideę socjalizmu i komunizmu”. Goebbels nie mógł jeszcze, po trzech latach sprawowania władzy, kłaść specjalnego nacisku na osiągnięcia, u niego wszystko było w przyszłości. Dla Griszyzna z 60-letnim doświadczeniem władzy sowieckiej — sytuacja jest o wiele lepsza.

Wiktor Griszyn oficjalnie otwiera przedolimpijską ofensywę ideologiczną. Pisarzom zaleca się natychmiast rozpocząć tworzenie „pozytywnych charakterów i współczesnych bohaterów, którzy reprezentować będą ducha naszych trudnych i heroicznych czasów i którzy służyć mogą jako wzór dla młodzieży”. To pierwsze zadanie: stworzyć bohatera pozytywnego, wzór dla młodzieży. Jak stworzyć tego bohatera-wzór, sowieccy pisarze już wiedzą: uczy ich tego największy pisarz sowiecki naszych czasów, autor sześciu tomów artykułów i raportów „Szlakiem Lenina” i trzech tomów literatury pięknej — Generalny Sekretarz, Przewodniczący i Marszałek — Leonid Breżniew, który 21 kwietnia br. „na żądanie pracujących” otrzymał nagrodę im. Lenina w dziale literatury. A sekretarz Związku Pisarzy, Siergiej Narowczatow, poeta i redaktor miesięcznika *Nowyj Mir*, bynajmniej się nie krępując oświadczył: „Nie można sobie wyobrazić artystycznego utworu, który będzie napisany w najbliższych latach i w którym nie zostanie wykorzystane doświadczenie L. I. Breżniewa”. Sam

wielki twórca bardzo dokładnie określił: „najważniejsze osiągnięcia naszego 60-lecia, to sowiecki człowiek”. „Człowiek, który przeszedł przez wszystkie trudy sam zmienił się nie do poznania...”. I pisarz Breżniew niewątpliwie ma rację. W stalinowskich czasach pisarze chwalili styl, język, wybitne osiągnięcia artystyczne utworów Wodza i Nauczyciela, gdyż trochę wierzyli i bardzo się bali. Dzisiaj, gdy Narowczatow chwali artystyczne osiągnięcia „breżniewowskiej twórczości” robi to dlatego, że sam zmienił się nie do poznania — przestał być podobny do człowieka, a stał się *człowiekiem sowieckim*. I nic go nie obchodzi — aby tylko płacono. A utwory Breżniewa już są na ekranach filmowych. Niedługo — jeśli zdążą, bo autor jest chory — przeniosą je na sceny, do opery itd.

Ofensywa ideologiczna musi mieć pozytywnego bohatera. Jest on jej punktem oparcia, ale rzecz najważniejsza to „bohater negatywny” — przede wszystkim wróg. A wrogów jest wielu: zachodni imperialiści, chińscy szowiniści, syjoniści, dysydenci. I wszyscy oni łączą się w jednego wroga, wszyscy reprezentują część jednego spisku. W literaturze (jeśli można w ogóle w tym wypadku mówić o literaturze) spiszek ten najbardziej wszechstronnie ukazał czołowy dziś pisarz antysemicki — Iwan Szewcow. Przede wszystkim w swej pierwszej powieści „Próchno”, w której zdemaskował polskich i węgierskich „rewizjonistów”, a także podkreślił niebezpieczeństwo żydowskie. W powieściach „Miłość i nienawiść”, „W imię ojca i syna” Szewcow szeroko wykorzystuje przedrewolucyjną i hitlerowską literaturę antysemicką dla przedstawienia diabolicznej działalności Żydów, rozkładających zdrowe ciało sowieckiej ojczyzny. Obraz przedstawiany przez Szewcowa jest tak beznadziejny, że wydaje się iż czytelnikom pozostają tylko dwa wyjścia: albo zginąć pod żydowskim butem, albo natychmiast zrobić pogrom. *Prawda* z lekka skrytykowała tego pisarza, wskazując, że nie docenia siły i potęgi partii. Bohaterzy Szewcowa w 1970 roku skarżyli się Leninowi. *Prawda* wspomniała, że są następcy Lenina, którzy żydowską zarazę opamiętują. W 1978 roku Szewcow wydał nową powieść „Alarm”. Akcja jest przeniesiona do Polski w latach wojny i pierwszych latach powojennych. Tym razem pisarz sowiecki bierze za wzór protokoły Mędrcoży Syjonu i rozpisuje je na głosy. W zakończeniu uczestnik ruchu oporu, Francuz-gaullista, pisze list do przyjaciela generała KGB o katastrofie grożącej światu: „Wymienię ci trzy państwa syjonistycznego imperium — USA (finansowa, ekonomiczna i wojenno-polityczna baza), Południowa Afryka i „prototyp przyszłości” — Izrael jako centrum ideologiczne”. Przyjaciel-gaullista informuje przyjaciela generała KGB, że w Tel-Awivie zebrał się sztab generalny „niewidzialnej, szatańskiej siły tajemnej, który wzięwszy z rąk Hitlera pochodnię rozpracowuje przerażające plany hegemonii nad światem”. Powieść Iwana Szewcowa została wydana w nakładzie 75 tysięcy egzemplarzy w wydawnictwie o odpowiedniej nazwie — *Sowriemiennik*.

Wydawnictwo Prawnicze wydało w ramach tej ofensywy ideologicznej „Białą księgę”. Na 280-ciu stronach wydawnictwa prawnicy sowieccy (obecnie wszyscy pracownicy organów muszą mieć dyplomy prawników) dają wskazówki jak należy walczyć z dysydentami, a przede wszystkim wyjaśniają kim oni są. Jest to podręcznik walki z dysydenctwem dla średniego aparatu partyjnego i państwowego. Nakład — 150 tysięcy egzemplarzy. W książce tej zostali wyliczeni najważniejsi dysydenci, mowa jest o niektórych Żydów wyjeżdżających do Izraela. Zastępca ministra spraw wewnętrznych Borys Szumilin, informuje że: „W Związku Sowieckim nie ma obiektywnych podstaw dla emigracji jako zjawiska społecznego”. Natomiast obywatele Stanów Zjednoczonych mają poważne trudności w wyjazdach i powrotach.

Obrona praw człowieka jest jednym z celów nowej kampanii propagandowej. Prawda, mówi się tylko o obronie praw człowieka w USA, Francji, Anglii i sowieccy propagandyści dużo dziś piszą o naruszaniu praw człowieka w Chinach i w Kambodży (sprzed oswobodzenia jej przez wielki naród wietnamski).

Głównym celem ideologicznych ataków są radiostacje działające na Związek Sowiecki. W tym wypadku przeciwnik rzeczywistości istnieje i jego rola jest znaczna. Aleksander Ginsburg podkreślił w swoim wywiadzie, że sowieckie społeczeństwo „nie składa się wyłącznie z *homo sovieticus*, gdyż zaczyna się uwalniać dzięki zagranicznym radiostacjom w języku rosyjskim”. Mówi on dalej, że „społeczeństwo to nie może egzystować bez radia”. Oburzenie propagandystów sowieckich na zachodnie radiostacje nie ma granic. Radiostacje te „wszelkimi sposobami starają się osłabić przyciągającą siłę idei socjalizmu”, „przeciwstawiają się duchowi odprężenia”. *Litieraturnaja Gazieta* (27. 3. br.) specjalnie podkreślała złowrogą rolę „pomocnika Prezydenta USA do Spraw Bezpieczeństwa, Zbigniewa Brzezińskiego”, który dał „osobiste wskazówki, aby w audycjach skierowanych na Związek Sowiecki zwiększyć ilość materiałów, zawierających krytykę zagranicznej i wewnętrznej polityki sowieckiego kierownictwa”.

Staje się widoczne, że wzmocniono walkę z miejscowymi elementami zakłócającymi spokój. Kontynuuje się nacisk na autorów almanachu „Metropol”. Jak już wspominałem w jednym z moich poprzednich przeglądów o „Metropolu” (z akcentem na „o”, aby podkreślić, że sprawa dotyczy nie moskiewskiego hotelu, a miasta o metrze najpiękniejszym na świecie). Zjawisko „Metropolu” jest bardzo interesujące dla wszystkich tych, którzy zajmują się sowiecką współczesnością.

W końcu kwietnia br. almanach ukazał się drukiem. Amerykańskie wydawnictwo „Ardis” wydało go w języku rosyjskim w niewielkiej ilości egzemplarzy. Ale jeszcze przed publikacją, jeszcze przed przeczytaniem go, dziennikarze zachodni pisali o wyzwaniu rzuconym sowieckiej cenzurze, o buncie wybitnych pisarzy sowieckich. Przeważająca większość autorów almanachu, W. Ak-

sionow, B. Achmadullina, A. Wozniesiński, A. Bitow, F. Iskander i inni, dużo publikują w sowieckich wydawnictwach, piszą scenariusze filmowe, wiersze i piosenki nadawane w radiu i telewizji. Krótko mówiąc większość autorów almanachu to uprzywilejowani pisarze sowieccy. Że cenzura nie udzieliła zgody na niektóre rzeczy, które napisali — można sobie łatwo wytłumaczyć. „Czarna księga cenzury PRL” Tomasza Strzyżewskiego daje doskonały obraz całkowitej irracjonalności decyzji socjalistycznych cenzorów. Nawet w Polsce, a tym bardziej w ZSSR. Dwudziestu trzech pisarzy i poetów zdecydowało się zebrać w tym almanachu utwory odrzucone przez cenzurę, a potem przedłożyć go sowieckiemu wydawnictwu. Były już precedensy: w 1956 r. ukazały się dwa tomy almanachu „Litieraturnaja Moskwa”, w 1961 r. — „Tarusskije stranicy”. Ale to były lata króciutkiej odwilży, a w 1979 roku panuje zima. Sowieckie wydawnictwa almanach ten odrzuciły. Ale jego autorzy zorganizowali konferencję prasową, wysłali rękopis na Zachód, spowodowali awanturę.

Co zawiera ten almanach? Z jakiego powodu ten cały krzyk? Wassilij Aksionow dał sztukę „Cztery temperamenty”, którą napisał w 1967 roku, Bella Achmadullina opowiadanie „Wiele psów i pies”, Andriej Bitow „Opowiadania”, Fazel Iskander — kolejny epizod swojej sagi o Abhazji, Borys Bachtin — opowiadanie „Dubienka”, które jest transpozycją gogolowskich „Szyneli” w nasze czasy; z opowiadaniem wystąpili: Piotr Kożewnikow, Jewgienij Popow. Wspólną cechą wszystkich utworów zebranych w tym almanachu jest irrealność przedstawianego społeczeństwa. We wszystkich utworach fantastyka, sny, zaświatowość. Jewgienij Zamiatin pół wieku temu powiedział, że współczesna literatura powinna kojarzyć fantastykę i życie. „Metropol” to fantastyka i życie — życie, które stało się fantastyką. Potworność, okrucieństwo, nieludzkość rzeczywistości czyni ją nierealną. Ale to jest właśnie codzienne życie.

Utwory zebrane w almanachu są bardziej bliskie temu, co drukują emigracyjne pisma *Kontinent*, *Wriemia i my*, *Echo* i inne niż *Nowyj Mir*, *Oktiabr* i inne miesięczniki sowieckie. „Metropol” ponownie stawia problem, na który nie ma łatwej odpowiedzi: na ile wewnętrzny cenzor, działający jeśli nie świadomie to podświadomie u pisarza pracującego dla sowieckich wydawnictw, pozwala mu pisać prawdę?

„Metropol” składający się z rzeczy napisanych w celu oficjalnej publikacji jest w pierwszym rzędzie zjawiskiem społecznym i politycznym, a nie literackim. I represje wobec autorów almanachu — chociaż każda represja pozostaje represją — mają charakter umiarkowany: zdjęto z ekranów film według scenariusza A. Bitowa, i autor przestał otrzymywać honoraria. Bella Achmadullina nie otrzymała pozwolenia wyjazdu z recytacjami swoich wierszy, Andriej Wozniesiński mógł wyjechać do USA jedynie na skutek uporczywych domagań się rodziny Kennedy. Przeciwno pismu *Poiski* — *Poszukiwania* (samizdat — ukazały się cztery

numery zanim organy nie skonfiskowały kolejnego numeru i archiwum) rozpoczęło się śledztwo, redaktorzy zostali oskarżeni o „rozpowszechnianie oszczerczych antysowieckich wiadomości”.

Uchwała KC o wzmożeniu propagandy, artykuły *Prawdy*, referaty członków Politbiura, wszystko to jest niewątpliwie dobre, tłumaczy niezbędną walkę ideologiczną i wskazuje metody. Ale konieczna jest i teoria. Jak by to nie wydawało się dziwne, uzasadnienie teoretyczne dali nie strażnicy ideologii sowieckiej, a pisarka Marietta Szaginian. W szacownym wieku 90 lat i czterech miesiącach zakończyła kolejną, trudno powiedzieć już którą, wersję swoich pamiętników. W młodości pociągała ją religia, teozofia, później Goethe, a następnie — w latach 30-tych — pokochała, już na zawsze — Lenina. Obecnie stała się seniorem cechu fałszywych świadków. W zakończeniu swoich wspomnień zatytułowanych „Człowiek i czas” Marietta Szaginian robi filozoficzno-teoretyczne odkrycie: „2000 lat temu — pisze — niejaki rzymski dostojnik Piłat zapytał się stojącego przed nim przywódcę ludowego, rybackiego kaznodziei co to jest prawda? Ten co stał przed nim nie mógł odpowiedzieć. Milczał... W naszych czasach przyszedł człowiek na nowo organizujący społeczeństwo... I on odpowiedział na pytanie co to jest prawda: prawda — konkretna” (*Nowyj Mir* nr 11/1978, str. 228).

Ze słów Marietty Szaginian łatwo wyciągnąć wniosek: jeśli prawda konkretna, to znaczy że wszystko jest dozwolone.

I czyż można się dziwić, że bohater samizdatowego opowiadania „Maskirowka” tłumaczy powszechne sowieckie pijaństwo maskowaniem. Ludzie sowieccy, ukrywając przed amerykańskim satelitą co w rzeczywistości dzieje się w pierwszym kraju socjalizmu, nieustannie piją. Ale pod ziemią istnieją fabryki i przedsiębiorstwa, gdzie widać pracę ku chwale ojczyzny, gdzie nikt nie pije myśląc tylko o świetlanej przyszłości socjalizmu. Jeśli konkretna — prawda, to wszystko inne jest maskowaniem.

Adam KRUCZEK

W 3-cim numerze sowieckiego czasopisma *Iskustwo Kino* z zeszłego roku ukazał się artykuł o wielkim wojennym filmie w pięciu częściach *Zołnierze Wolności* reżyserii Jurija Ozierowa. Film ten wyświetlany już jest w ZSSR, a także w Polsce. W jednej z części poruszono sprawę Powstania Warszawskiego. W nowej wersji historycznej wygląda ona z grubsza tak: Armia Czerwona podchodzi pod Warszawę; próbuje nawiązać kontakt z Armią Krajową; daremne wysiłki, Bór-Komorowski nie odpowiada; wybucha Powstanie, Armia Czerwona czeka, wciąż z nadzieją nawiązania kontaktu z AK; wreszcie, nie mogąc dłużej znieść tego bolesnego czekania, organizuje wspólnie z I-szą Armią Polską odsiecz; jest już, niestety, za późno. Wśród scenarzystów wielu narodowości figuruje nazwisko płk. Zbigniewa Żałoskiego, jego więc zapewne pióra jest ta nowa sowiecka wersja historyczna. Jej wysunięcie wskazuje, być może, że obie strony — ZSSR i PRL — postanowiły złagodzić niezagojoną ranę Powstania Warszawskiego. *Literaturnaja Gazieta* zalansowała podobną wersję w reportażu z Warszawy, napisanym przez specjalną wysłanniczkę tygodnika.

Kronika niemiecka

Ilość abonentów hamburskiego tygodnika *Der Spiegel* w krajach komunistycznych: Jugosławia — 244, Chińska Republika Ludowa — 116, Związek Sowiecki — 108, Bułgaria — 53, Rumunia — 63, Węgry — 56, Polska — 51, Czechosłowacja — 29, NRD — 2. ■ Krystyna Żywulska pisarka (od 1968 na emigracji w RFN), prowadzi na *Uniwersytecie Powszechnym* w Wuppertalu (fakultet językoznawstwa i literatury) cykl wykładów na temat roli sztuki w więzieniach i obozach koncentracyjnych w Polsce w czasie okupacji hitlerowskiej oraz o znaczeniu satyry w krajach wschodnioeuropejskich po 1945 roku. W wydawnictwie *Kindler-Verlag* (Monachium) ukazuje się niebawem książka Żywulskiej pt. *Wo vorher Birken waren* (tytuł wydania polskiego: *Przeżyłam Oświęcim*). ■ Na seminarium na temat: *Naród i państwo na Wschodzie i Zachodzie*, zorganizowanym w Siegburgu (Nadrenia-Westfalia) przez bliski socjaldemokratom *Wschodnio- i Środkowo-europejski Zespół Roboczy* (siedziba w Düsseldorfie) uczestniczył także Henryk Tycner, korespondent *Agencji Interpress* w Bonn, jeden z czołowych propagandzistów antysemitki i antyinteligentki kampanii w marcu 1968 (był wówczas redaktorem naczelnym *Kuriera Polskiego*). Podczas dyskusji, Tycner został przez obecnego na seminarium polskiego pisarza emigracyjnego przyparty do muru i zmuszony do wyraźnego stwierdzenia, że mord w Katyniu na tysiącach polskich oficerów został dokonany przez Sowietów. Powiedział on, że ze względu na przyjaźń ze Związkiem Sowieckim podtrzymuje się fałszywą wersję, iż zbrodni tej dokonali Niemcy. Tycner oświadczył ponadto, że Gomułka nie zgadzał się na propozycję Chruszczowa, aby ogłosić prawdę o Katyniu. ■ Reżym wschodnioniemiecki wydał niespodziewanie nowe, zaostrome przepisy, które wymagają od zachodnich korespondentów, aby przed nawiązaniem kontaktów z obywatelami NRD, czy to w postaci wywiadów prasowych lub radiotelewizyjnych, czy też ankiet — uzyskali uprzednio pisemne zezwolenie od *Ministra Spraw Zagranicznych*. Ponadto dziennikarze zachodni, jeśli chcą podróżować po NRD i przekroczyć ustaloną strefę 25 km. powinni każdorazowo podać trasę, godzinę, cel podróży i uzyskać odpowiednią przepustkę. ■ Nowe przepisy odnośnie zakupów w *Intershoppach* (wschodnio-niemiecki odpowiednik polskiego Pewexu) obowiązują od połowy kwietnia br. Według nich wyłącznie obokrajowcy będą mogli zakupywać w *Intershoppach* za zachodnie dewizy; są jednak zobowiązani do wylegitymowania się. Dla obywateli NRD wprowadzono specjalne ceki świadczące o dokonaniu wymiany walut i tym samym uprawniające do zakupów w sklepach dewizowych. Czeków nie będzie można przekazywać innej osobie. ■ Między PRL i NRD podpisano porozumienie na temat zbadania możliwości *wspólnej eksploatacji pokładów węgla brunatnego* w tzw. filarze Nysy, w rejonie Zittau-Turów. ■ W monachijskim wydawnictwie *Fischer-Verlag* ukazała się książka Wiesława Kielara pt. *Anus Mundi — Fünf Jahre Auschwitz* (*Odbytnica świata. Pięć lat w Oświęcimiu*); nakład 30 tys. egzemplarzy. Obszerne wyjątki (sześć odcinków) opublikował hamburski *Der Spiegel*. Książka ukazuje się w 11 krajach. ■ 39 firm rolno-spożywczych wzięło udział w dwudniowej wystawie w Warszawie. Kurt P. Gilles, w imieniu zachodnioniemieckich wystawców przekazał w darze na *Centrum Zdrowia Dziecka* kwotę 2 tys. marek. ■ W Szlezewiku-Holsztynie, chrześcijańscy-

demokracji (CDU), mimo utraty jednego mandatu zdołali utrzymać się przy władzy. Neonazistowska NPD uzyskała zaledwie 0,2% głosów (1975 — 0,5%). Również tylko 0,2% wyborców głosowało na promoskiewską partię komunistyczną DKP (1975 — 0,4%); neonaziści stracili w rezultacie 70% głosów. ■ *Katyń* — powielana 26-ciostronicowa broszura, która ukazała się w kraju w oparciu o *Spółeczny Instytut Pamięci Narodowej im. Józefa Piłsudskiego* zostanie wydana w języku niemieckim w RFN. ■ Sąd przysięgłych w Düsseldorfie uwolnił od zarzutu mordowania więźniów czworo b. członków załogi obozu koncentracyjnego w Majdanku. Decyzja ta spotkała się z bardzo licznymi protestami również w Republice Federalnej Niemiec. *Der Spiegel* pisze że „władze PRL całe lata zwlekają z udostępnianiem Prokuraturze RFN odpowiednich materiałów obciążających, głównie nazwisk świadków”. Dopiero po zawarciu układu z RFN Polska zaczęła udzielać sądom zachodniemieckim pomocy prawnej w tym zakresie. ■ W ośrodku młodzieżowym w Langenhagen (Dolna Saksonia) urządzono wystawę pn. *Polska i Niemcy*. Ekspozycja zobrazowała historię kultury polskiej i stosunków polsko-niemieckich; pokazano również wydawnictwa demokratycznej opozycji działającej w kraju. Ciesząca się sporym zainteresowaniem wystawa została zorganizowana przez miejscowego miłośnika historii i kultury polskiej — dr. N. A. Ommlera-Omiczyńskiego. ■ Prof. Wolfgang Schwinger, dyrektor *Opery Państwowej* w Stuttgarcie ogłosił drukiem pierwszą biografię polskiego kompozytora, Krzysztofa Pendereckiego po premierze jego „Raju utraconego”. ■ Bronisław i Eugeniusz Krawczukowie (ojciec i syn) z Gliwic otrzymali nagrody na *I Europejskiej Wystawie Malarstwa Amatorskiego w Münster* (Westfalia). ■ W serii *Zeszytów Naukowych Uniwersytetu Jagiellońskiego* (Nr 58) ukazała się praca źródłowa Stanisława Gawędy pt. *Uniwersytet Jagielloński w okresie okupacji hitlerowskiej 1939-1945*. Studium uwzględnia m.in. po raz pierwszy materiały *Bundesarchiv* w Koblencji. Książka została wydana w nakładzie 920 egzemplarzy. ■ *Entspannungspolitik in Ost und West* (Polityka odprężenia na Wschodzie i Zachodzie) — taki jest tytuł pracy zbiorowej wydanej pod redakcją Hansa-Petera Schwarza i Borisa Meissnera (*Carl Heymanns Verlag, Köln-Berlin-Bonn-München*). W książce opublikowano m.in. obszernie studium Alexandra Uschakowa o PRL-owskich propozycjach i modelach w dziedzinie *détente*. ■ Magdalena Abakanowicz z Warszawy została jedną z laureatek tegorocznych nagród im. *Johanna Gottfrieda von Herdera*, przyznanej jej za wybitne osiągnięcia w tworzeniu tkanin artystycznych. ■ *Frankfurter Allgemeine Zeitung* ogłosiła całostronicową recenzję niemieckiego przekładu książki Kazimierza Moczarskiego, więźnia *Gestapo* i *UB* pt. *Gespräche mit dem Henker* (*Rozmowy z katem*). Przekładu dokonała Margitta Weber, słowo wstępne napisał Andrzej Szczypiorski. Wydawany w Warszawie tygodnik *Perspektywy* niezwykle ostro zaatakował autora przedmowy, zarzucając mu „antykommunistyczną obcesję” i wyrządzenie szkody „Polsce i niełatwemu procesowi rozwoju wzajemnego zrozumienia społeczeństw Polski i Republiki Federalnej Niemiec”. Z tygodnika *Deutsches Allgemeines Sonntagsblatt* dowiadujemy się o represjach jakie dotknęły Andrzeja Szczypiorskiego. Znamienny jest tytuł artykułu: *Berufsverbot dla pewnego autora*. Okazuje się, że 19 grudnia ub. roku miała się odbyć w Warszawie premiera sztuki Szczypiorskiego *Strefa Milczenia* (o dziele i martyrium Janusza Korczaka). Wszystko było gotowe (afisze, programy wydrukowane), mimo to w przeddzień przedstawienia władze sztukę „zdyktowały”. Na posiedzeniu warszawskiego oddziału *Związku Literatów Polskich* w dniu 2 lutego br., Szczypiorski został brutalnie zaatakowany przez funkcjonariusza kulturalnego dyr. Jacka Dobierskiego, któremu sekundował w roli eksperta członek KC PZPR, Ryszard Wojna. Wszystko poszło o to, że Szczypiorski ośmielił się w przedmowie do zachodniemieckiej edycji książki

Rozmowy z katem wspomnieć o pakcie Ribbentrop-Mołotow i wymienić po imieniu sprawców zbrodni katyńskiej. Wstrzymano też druk dwóch książek Szczypiorskiego. Niemiecka prasa informuje, że pracownicy ambasady PRL w Kolonii (radca kulturalny Janusz Szmyt i 2-gi sekretarz Marek Pietraszewski) próbowali nakłonić wydawnictwo *Droste* w Düsseldorfie do wycofania książki *Rozmowy z katem* ze sprzedaży i wydania nowego nakładu bez przedmowy Szczypiorskiego (Szmyt: „dostarczymy polskiego literata, który napisze właściwy wstęp”). Natomiast *Frankfurter Allgemeine Zeitung* pisze, że córka Moczarskiego, na skutek nacisków wiadomego resortu, cofnęła udzielone Szczypiorskiemu pełnomocnictwo reprezentowania praw autorskich do książki *Rozmowy z katem* za granicą. Niezależnie od powyższych szykan, Szczypiorski, otrzymał ostatnio szereg anonimowych listów znieślawiających; niektóre z podrózkami. Na podstawie dokładnej analizy udało się ustalić, iż wszystkie listy zostały spreparowane przez *Stuzbę Bezpieczeństwa*. ■ *Neues Deutschland*, organ wschodniemieckiej SED, donosząc o premierze sztuki teatralnej *Rozmowy z katem* w saksońskim Magdeburgu, opartej na głośnej książce, stwierdza lakonicznie, że Kazimierz Moczarski... „w celach naukowych spędził niespełna rok w celi z generałem SS — Jürgenem Stroopem, który kierował tłumieniem powstania w getcie warszawskim”. Wielkie dzienniki zachodniemieckie *Frankfurter Rundschau* i *Die Welt* napiętnowały to perfidne fałszerstwo NRD-owskiej propagandy, wyjaśniając czytelnikom, że Moczarski („gorący polski patriota”) był skazany na karę śmierci za działalność w *Armii Krajowej*, która prowadziła „heroiczną walkę z hitlerowskim okupantem”.

Andrzej J. CHILECKI

Polska i Ukraina

W ramach *McMaster Conference on Poland and Ukraine: Past and Present* (20-22 października 1977) Borys Lewickij wygłosił referat o „Politycznej i kulturalnej współpracy między PRL i Ukrainą SSR”. Pełny angielski tekst referatu dotarł do nas dopiero teraz. Zasługują na przytoczenie konkluzje:

„Bezpośrednio po drugiej wojnie światowej reżym sowiecki usiłował odciągnąć uwagę narodu ukraińskiego od całości problemu ukraińsko-polskiego. To podejście objęło nawet dziedzinę studiów polskich, które świadomie zaniebawiano na całej Ukrainie, łącznie ze Lwowem. Ukrainę zachęcano do rozwinięcia stosunków z Bułgarią i, aż do inwazji w roku 1968, z Czechosłowacją. Chociaż polityka Moskwy wpłynęła negatywnie na studia z zakresu historii Polski, literatury polskiej i języka polskiego, nie zmniejszyła zainteresowania Polską wśród szerokiej mas ludności ukraińskiej, zwłaszcza wśród inteligencji ukraińskiej. Zainteresowanie Polską wzrosło się po „Polskiej Wiosnie” w roku 1956. Nie jest przesadą twierdzić, że Ukraina interesuje się Polską bardziej, niż innymi republikami związkowymi; i że to zainteresowanie wykracza poza kulturę i historię do takich nawet aspektów polskiego życia jak moda. Kiedy cztery lata temu pewien turysta zachodni zadał grupie dziewcząt we Lwowie pytanie czemu uczą się z takim zapałem polskiego, odpowiedziały że chcą czytać *Przyjaciółkę*. Ukraińcy interesują się też bar-

dzo gorąco polską muzyką pop i polskimi filmami. Podczas „Dni Literatury Polskiej” serdeczne przyjęcie, jakie ludność ukraińska zgotowała gościom polskim, stanowiło kontrast z pompatycznymi spotkaniami oficjalnymi, podkreślając odrębną postawę ukraińskiej inteligencji i młodzieży.

„Problemem, którego nie poruszyłem dotąd w moim referacie, jest sytuacja Ukraińców w Polsce i Polaków na Ukrainie. Podczas spisu ludności z roku 1970 mieszkało na Ukrainie 295.107 Polaków. Z nich tylko 44.021 podało polski jako język ojczysty. Większość — 202.379 osób — optowała na rzecz ukraińskiego i rosyjskiego. Szczególnie wysoka była liczba osób podających ukraiński jako język ojczysty — 113.034. Rosyjski podało 47.498 osób. Nie należy winić Ukraińców za tę pozorną „ukrainizację”. Jest ona rezultatem celowej polityki narodowościowej Moskwy, której ofiarą są między innymi sami Ukraińcy. Polska mniejszość etniczna na Ukrainie wepchnięta została w sytuację „obiektywną”, w której nie ma innej alternatywy poza stopniowym porzucaniem własnej tożsamości narodowej. W przeciwieństwie do Litwy, sowiecka Ukraina nie posiada prawdziwie polskich szkół i gazet. Sytuacja Polaków w RSFSR, gdzie liczba ich wynosi 107.084, jest jeszcze gorsza. Brak dowodów istnienia w republice rosyjskiej szkół z polskim językiem wykładowym. Jeśli chodzi o Ukrainę, dwie polskie szkoły średnie we Lwowie stanowią dobry przykład sowieckiej polityki narodowościowej i jej stosowania przez lokalną biurokrację partyjną. W roku 1976 w wydawnictwie „Radjańska Szkoła” wyszedł podręcznik *Literatura* do użytku 5 klasy szkół z polskim językiem wykładowym. Nakład 250 egzemplarzy! W takim samym nakładzie wyszedł podręcznik do nauki języka polskiego dla dwóch klas, piątej i szóstej. Warszawa nie jest bez winy za ten smutny stan rzeczy. Wskazuje na to fakt, że przeszło czterotysięczny nakład miał podręcznik do nauki literatury dla szkół z węgierskim językiem wykładowym. Dodajmy porównawczo, że na sowieckiej Ukrainie mieszka tylko 157.731 Węgrów.

„Mniejszość ukraińska w Polsce, obliczana na od 100 do 150 tysięcy (brak cyfr urzędowych), znajduje się w o wiele lepszym położeniu. Posiada własne stowarzyszenie pod nazwą „Ukraińskie suspilno-kulturne Towarzystwo”. Stowarzyszenie wydaje tygodnik w języku ukraińskim *Nasze słowo*, z dodatkami *Nasza kultura* i *Switank* (dla dzieci). Stowarzyszenie zabiega również o wiele kulturalnych udogodnień dla Ukraińców mieszkających w Polsce. Mniejszość ukraińska ma oczywiście swoje bolączki, ale nie tak poważne jak mniejszość polska na sowieckiej Ukrainie. O ważności Stowarzyszenia świadczy fakt, że dba ono o współpracę polsko-ukraińską nie tylko na szczeblu urzędowym, lecz także w terenie. Stowarzyszenie utrzymuje kontakty z polskimi uczonymi i pisarzami zainteresowanymi problematyką ukraińską i pomaga im w pracy. Otrzymuje w zamian znaczną pomoc.

„Jedną z najważniejszych wytycznych w stosunkach między narodami ZSSR i państwami sąsiedzkimi jest wpływanie na rozwój tych państw w interesie polityki sowieckiej. Służy temu celowi m.in. współpraca między organizacjami partyjnymi, zwłaszcza w rejonach pogranicznych. Międzypartyjna współpraca w ukraińsko-polskim rejonie pogranicznym daje Moskwie doskonałą sposobność bezpośredniego wnikania w szkolnym polityczne polskich komunistów. Zaznajamia się ich z mechanizmem władzy w ZSSR i zachęca do naśladowania go w Polsce”.

Sprawy i troski

Polscy protestanci

Ilu ich jest? Wedle informacji, którą uzyskałem w Sztokholmie jest dziś w Polsce około 200 tysięcy i poza Polską ponad pół miliona polskich protestantów. Jest więc to, obok Żydów, jeszcze jedna mniejszość zanikająca w polskim krajobrazie. Jeśli problem żydowski pojawia się czasem w polskim piśmiennictwie to wokół protestantów panuje zmowa milczenia. Nikt nie zauważył, że w grupie ludności emigrującej do Niemiec poważną część (jeśli nie większość) stanowią właśnie protestanci. Ludzie ci opuszczają Polskę z poczuciem krzywdy doznanej nie tylko ze strony komunistycznych władz. Nikt i nigdzie nie podejmuje ich sprawy, ich własny głos pozostaje niezauważony.

Od kilku miesięcy ukazuje się w Sztokholmie kwartalnik ewangelików polskich na Zachodzie: *Szkice i Dialog*. Ze stron tego pisma przebiega rozpaczliwa chęć przypomnienia rodakom walki protestantów o swoją polskość i ich udziału w walkach o niepodległość Polski. Ta pierwsza walka, o własną polskość, toczyła się na dwóch frontach — przeciw obcym i przeciw swoim. Wystawieni na silniejsze niż inne grupy naciski nie dali się wynarodowić przynajmniej do czasu póki tereny, na których mieszkali nie zostały włączone do Polski i póki własni rodacy nie rozpoczęli najbardziej obrzydliwej dyskryminacji. Prześladowany kościół katolicki nie zmienił swego stanowiska i nie próbował przeciwdziałać wybrykom katolickiej ludności ani przeciwstawiać się rozpowszechnionemu stereotypowi stawiającemu znak równości między protestantem i Niemcem.

Przez wiele lat rok rocznie jeździłem na Mazury, spotkałem się z Kaszubami, bywałem na Śląsku. Wydaje się, że na palcach można policzyć księży katolickich, którzy umieli ułożyć współżycie z ludnością i kościołem protestanckim. Hierarchia kościoła katolickiego bynajmniej nie zachęcała do takich postaw. Protestanci spotykają się wszędzie z tą samą wrogością — w szkole, w wojsku, w urzędzie i w życiu prywatnym. Władze, również

wrogie i podejrzliwe jak reszta ludności, czasami próbują wygrać kościoły reformowane w rozgrywkach z kościołem katolickim. Na tych samych zasadach co Teatr Żydowski, istnieje w Polsce protestancka Chrześcijańska Akademia Teologiczna i protestanckie wydawnictwo *Zwiastun*. Uważny czytelnik wiele mógłby się z publikacji tego wydawnictwa dowiedzieć na temat historii Ziemi Odzyskanych i nie tylko. Wydaje się jednak, iż nikt z zewnątrz nigdy się tymi wydawnictwami nie interesował.

Pojawienie się na emigracji pisma ewangelików polskich ponownie otwiera szansę dialogu, podjęcia spraw, które nie mogą być przedyskutowane w cenzurowanej prasie krajowej, a jak dotychczas pozostają niedostrzegane przez prasę niecenzurowaną.

Stosunki między katolikami i protestantami w Polsce do dziś dnia bazują na mitach z czasów kontrreformacji. Tanie stereotypy zastępują wiedzę o źródłach i historii konfliktu. Rzetelne studia nad historią reformacji są utrudnione, ponieważ kościół katolicki w Polsce przez wieki niszczył wszelkie dokumenty historyczne, odbiegające od katolickiej wersji historii naszego społeczeństwa.

Występując przeciw cenzurowaniu współczesnej historii Polski zapominamy, że na całej naszej historii ciąży fatalne piętno rodzimej cenzury katolickiej.

Wśród inteligencji katolickiej pojawili się ludzie gotowi podjąć otwarty dialog z marksistami. Niestety nie widać takiej samej gotowości do podjęcia dialogu z protestantami. Ruch ekumeniczny traktując o sprawach wiary i liturgii, nie dotyka nawet problemów historycznych i społecznych, bez rozwiązania których postęp ruchu ekumenicznego jest niemożliwy. Wydawać by się mogło, że dziś wreszcie można bez frustracji obejrzeć się wstecz. Kościół katolicki jest dziś nadawcą tekstów niemal identycznych z tymi, które wyznawcy reformowanych kościołów kierowali niegdyś pod jego adresem. Liberalna inteligencja nie tylko przestała walczyć z kościołem katolickim, ale szuka w nim oparcia i wspiera jego poczynania. Wbrew, czy też raczej dzięki, przesładawaniom ze strony komunistów, kościół katolicki jest dziś w Polsce silniejszy niż kiedykolwiek. Czy dość silny aby zdobyć się na krytyczną analizę własnej historii? Czy dość silny aby podjąć otwarty dialog ze swoim najstarszym przeciwnikiem?

Pismo ewangelików polskich na Zachodzie nosi tytuł *Szkice i Dialog*. Pojawia się tu pytanie czy rzeczywiście gotowi są do tego dialogu i czy istnieją partnerzy do takiego dialogu? Nie jest to bynajmniej problem marginalny. Kościół katolicki przez wieki lansował model Polaka-katolika. Ten model obrony przed wynarodowieniem miał również swoje straszliwe skutki negatywne. Prowadził do sprymityzowania zarówno religii jak i kultury narodowej. Poszukując dziś strategii walki przeciw sowietyzacji naszej kultury, stajemy przed pokusą sięgnięcia po stare wzory. Modelowi Polak-komunista najłatwiej przeciwstawić stary model Polaka-katolika. Dziś, kiedy mamy polskiego papieża ten prymitywny symbolizm jeszcze bardziej rośnie w siłę.

Wydaje się, że jedynie sam kościół katolicki mógłby powstrzymać tę tendencję. Jedynie kościół katolicki, dojrzały w walkach o swoją własną egzystencję, zdobyć się może na krytyczną rewizję własnej przeszłości oraz na powrót do tradycji Pawła Włodkowica i katolickich współtwórców konfederacji warszawskiej. Hasła walki o tolerancję i wolność słowa nie mogą być interpretowane w duchu moralności Kalego.

Zapewne łatwiej zasiadać do okrągłego stołu z byłymi marksistami znajdującymi się w ekstazie ekspiacji. (Niżej podpisany sam przeszedł przez okres zafascynowania marksizmem i nie jest to przytyk pod adresem własnych przyjaciół). Trudniej jednak zdobyć się na otwartą dyskusję z fizycznie pokonanym przeciwnikiem. Trudno czasem wybaczyć krzywdy, które się samemu wyrządziło. Trudno odwrócić kolejność członów pięknego hasła: przebaczymy i prosimy o przybaczenie. Dziś jest to jeszcze możliwe.

Andrzej KORASZEWSKI

Nowi

Austria i Szwecja. Dwa kraje, gdzie najmniej pamiętliwy nie zapomni polskiego, rodzimych wierzb i kolejek za mięsem. Przyjeżdżają ludziska z adresami, sposobami na forszę, szczęście, geszeftami, z żalosnym ujadaniem i przeklinaniem tego co zostawili. Później roznoszą reklamy, odgarniają śnieg, myją gary i znów klnąc na całkiem już odczarowany świat, pchają dorobek w kolorowe torby i odjeżdżają. Jedna łezka, druga i po nich. Są nowi, coraz więcej, pociągi coraz pełniejsze. I znowu to samo kółko; najpierw biadolenie, skargi, nadzieje, woda, potem egzystencja, rozczarowanie, pakowanie manatek i hajda...

Od paru lat przyglądam się temu zjawisku w Wiedniu Z czasem nabrało ono cech masowości, jakże polskiej typowości. Coraz częściej tubylcy narzekają, srożą się, zaostwiają kontrolę i niczym z bezdennej beczki wyciągają nasze Marlboro i swojską Wyborową. Logiczne, że wiemy o sobie coraz więcej sylabizując rubryki o kryminałkach. Rozgrzeszamy, bo jakże inaczej — polskie.

Nie to jednak, w tym ruchu posuwisto-zwrotnym, jest godne uwagi, lecz fakt, że żegnamy ich mniej niż witamy i coraz więcej jest odprowadzających! Zostają. Żenią się, fingują małżeństwa, emigrują dalej, proszą o azyl lub po prostu osiedlają się walcząc z Austriakami o prawo do stałego pobytu. Co głowa to inny motyw i pomysł na życie.

Na razie, zgodnie ze swoimi przewidywaniami, spadają „z pieca na łeb”. Zmieniają wyobrażenia, pasują się do, za dużych dla nich, garniturów tutejszych wymagań i norm oraz przyciasnych wdzięków życiowych standardów. Widzą pełne półki i liczą na lepsze. Głównie młodzi, różnego zawodu, obojga płci. Podejmują decyzję w kraju lub tu, śmiesznie ją tłumaczą, często odają paszporty i rozglądają się z wyczekiwaniem.

Szukają podobnych sobie, tworzą zdeorientowane grupki, dzielą się ostrożnie informacjami: o możliwościach pracy, wyjazdu, przetrwania. Chłopy z dyplomami mają się zająć, których istnienia dotąd nie podejrzewali. Żadna praca nie hańbi — pocziwa, pocieszająca wymówka — jakże aktualna.

To chyba jedyny etap w życiu, w którym skok od pióra do łopaty przechodzi bez większych wstrząsów i utraty wiary w samego siebie. W tej karkołomnej sytuacji uważają go za element rozwoju, przewidziane potknięcie, które towarzyszy większości gwałtownych zwrotów. Byle by nie na długo. Tymczasem mija rok, dwa...

Polak, który swoje obcowanie z Zachodem ogranicza do ostrożnego liźnięcia tutejszej rzeczywistości ryzykuje najwyżej poparzeniem języka. Wkrótce wydobrzeje w ciepłym łóżku na Grochowskiej i zrehabilituje się we własnych oczach z pomocą zwiezionych dolarów.

Z tymi co zostają jest inaczej. Przedłużające się niepowodzenie gasi zapał, nadzieję, minimalizuje aspiracje, dusi radość, zmienia sens życia. Ważny jest ten początek, to najważniejsze ogniwo w długim łańcuchu aklimatyzowania się, wieloletniego zżywania z nowym.

Austria jest krajem tranzytowym dla uchodźców rosyjskich, żydowskiego pochodzenia. Przyjeżdżają tym samym pociągiem, „Chopin”, co Polacy. Wystraszonych, niepewnych, razem z ich całym tekturowym majdanem zabierają specjalne autobusy i rozwożą do przygotowanych mieszkań. Od miejscowych otrzymują statusy uchodźców, paszporty, a od organizacji środki na życie i bilety na drogę w wybranym kierunku. Tam, na miejscu, już na nich czekają. Zrzucają swoje ciuchy, dostają nowe zachowując symboliczne chruszczówki. Uczą się języków. Mają start.

A nasi? Oczywiście, że istnieją organizacje charytatywne: Polsko-Amerykański Komitet Imigracyjny (PAIRC), Caritas. Ta druga cieszy się większym uznaniem bo majątniejsza lecz niestety wybredniejsza zarazem. Obie dalekie od wspaniałomyślności, skąpią grosza i czynią tylko co muszą. Zajmują się wyłącznie samym aktem emigracyjnym. Załatwiają formalności związane z żebraczymi wizytami w ambasadach oraz przejazd. Rzadko przyznają skromne datki na utrzymanie. Brak pieniędzy. Nie mniej kilkanaście setek Polaków korzysta rocznie z tej pomocy. Przewodniczący PAIRC — pan Balko to chyba najlepszy tu ekspert do spraw polskiej emigracji za ocean, znający jej specy-

fikę i jako jedyny człowiek „z urzędu” potrafiący udzielić konkretnych wskazówek.

Nie wszystkim jednak. Lwia część podejmuje decyzje zdając się na łaskawość przypadku. Polak biega w gruncie rzeczy tam, gdzie większość a większość tam gdzie lepsza passa. Tu wstrzymali, tam ograniczyli, gdzie indziej znów stawiają zwiększone wymagania. Raz fale emigracyjnego entuzjazmu obmywają ambasadę amerykańską, raz kanadyjską, to znowu australijską lub południowoafrykańską. I na podstawowe pytanie urzędnika do spraw emigracji: dlaczego właśnie tam? — wytrzeszcza taki gały. Tłumaczy nie na temat, że w Polsce nie ma mięsa i wolności.

Bardzo niemądrze wypadają w czasie tych *interview*. Ich wiedza o kraju wybranym, w sensie zasobu wiadomości przydatnych, wyznaczających realne granice ich oczekiwań, jest mierna, wyobrażenie przez to przesadzone i zabarwione na różowo, marzenia, dziecięcy optymizm. Często wymyślają fortele mające zwiększyć ich szanse. Chwalą się więc w ambasadzie RPA chwacko, że nie znoszą Murzynów za co przedstawiciel rządu skreśla ich z listy potencjalnych Afrykanów i wyrzuca nieodwołalnie na zbity łeb. Za głupotę? Za niewiedzę również; przecwaniłi.

Regułą jest, że przedstawiciele każdej z ambasad krajów przyjmujących emigrantów pragną usłyszeć o osobistych motywach opuszczenia kraju. Tymczasem przyczyna jest natury ogólnej; to konglomerat polityczno-gospodarczo-ideowy, w prostej linii konsekwencją polskiego ustroju i jego ponad 30-letniej historii rozwoju. Ludzie uciekają bo są przestraszeni beznadziejnością, zatruci szarżą polskiej codzienności. To wcale nie urodzeni bojownicy, bici i zamykani za polityczne przekonania. To całkiem normalni, przeciętni Polacy, którzy pragną nagle popędzić swoje życie innymi, gładszymi torami.

Jest to pokolenie powojenne z etyką i mentalnością wyhodowaną na doświadczeniach własnych rodziców. To pokolenie pozabawione złudzeń, aż nadto dobrze znające zawiedzioną ufność swoich ojców i matek.

Ci ludzie muszą się zdobyć na polityczną argumentację i podać szczegóły o tym jak to reżym dobrał im się osobiście do skóry. Wielu kombinuje, inni nie. Jedni i drudzy tworzą polską społeczność poza granicami kraju. Ci polityczni i „polityczni”, ambicjni i szukający łatwizny, znudzeni, żądni przygód, wrogowie ustroju i miłośnicy samochodów, ci co już za oceanem i ci w poczekalniach, ambasad, ci roznoszący papiery w Austrii i kopiący buraki w Szwecji, szukający szczęścia we Francji i azylu w RFN — ci wszyscy, którzy rozpierzchają się, gdzieś giną, należą do Polonii i potrzebują pomocy. Ci nowi. A tymczasem?

Tymczasem mijają miesiące i lata (z głodu tu się nie umiera), puszcza pierwszy pęd stabilizacji, roślinka rozwija się wolno, bardzo wolno i zatrzymuje się o wiele za wcześnie. Najczęściej na etapie uczłowiczenia w nowej formie, w stopniu, który daje

niezbędne do życia minimum satysfakcji i radości. Dopiero drugie pokolenie ma bazę — rodziców.

Jest to problem wszystkich emigrantów. W większym lub mniejszym stopniu przeżyliśmy lub przeżywamy to samo. Historia się powtarza. Z żelazną konsekwencją losu, łupnia dostają coraz to nowi, wbrew sobie samym dbając o zachowanie mało imponującej polonijnej średniej. Ci co się dochrapali, trzymają zębami swoje i groźnie warczą na amatora gotowego przepisu na „sukces”.

Jest w Wiedniu siedziba Związku Polaków w Austrii — Nansenhaus. Dwa pokoje, parę przedawnionych gazet i prezes dwa razy na tydzień po trzy godziny. Prezes radzi, tłumaczy, informuje. Sześć godzin tygodniowo to kropla w morzu potrzeb. Co robi Związek — nie wiem — to bardzo trudne do uchwycenia dla niewtajemniczonych. Sądząc jednak z wydawanego biuletynu — nic poza sporadycznymi okazjami, którym podporządkować się musi. Ktoś przyjedzie to się pogaworzy, powspomina a potem znowu tylko dwa pokoje, z urzędującym prezesem w jednym i znudzonymi emigrantami w drugim. Przychodzą po porady, często ci sami, piją kawę lub piwo i odchodzą bez większych rozczarowań bo też i nie oczekiwali niczego.

Jest więc parę metrów kwadratowych i napis ZPA. To już tylko symbol, obdarty z treści, smutny w swojej bezpostaciowości, który ma emigrantom zastąpić Polskę, polskość, jednoczyć ich i reprezentować. Nie wierzą, że jest ich siła — w Austrii, w Europie, na całym świecie. Nie wierzą w Polonię jako organizację, zreszenie ludzi o polskich sercach. Wiara taka jest potrzebna by nie czuć się samym, jednym jedynym przeciw czterem miliardom obcych na tym świecie. I przygnębia świadomość, ileż to lat, ileż wyrzeczeń zanim jakiś maleńki ułamek tego świata dowie się i przynza do współzależności z takim żyjątkiem.

Tymczasem z próżnią za sobą wkręca się, kokietuje, łąsi i latami czeka na łaskawe klepięcie: no bracie jesteś swój!

Czasami szuka podobnych sobie — dla pociechy. Pod polski język, pod los jednaki zalać pałę, przez chwilę poczuć się u siebie. Rzeczywistość wraca z kaczem.

Czyta taki polonijną prasę, uczy się prawdziwej historii ale daremnie szuka o sobie i jemu podobnych. Gdzie są te „tysiące ludzi”, którzy czytają to samo, jak do nich dotrzeć, mieć z nimi choć jedną wspólną sprawę. Naiwni i najświeżsi maszerują do SPK. Jak głosi nazwa jest to Stowarzyszenie Polskiej Kultury. Ta pretensjonalna nazwa chyba tylko dla utrzymania jakichś zagranicznych subsydiów. Pije się tu polską wodę, polskie piwo i pali przemycone papierosy przy polskich rozmowach i bigosie. Tyle tu polonijnego co jadła i napitku i parę czupurnych głów. Czasem wrzaski sprowadzają policję i zmuszają do wcześniejszego zamknięcia lokalu. Czynny zresztą tylko wieczorami, pod koniec tygodnia a i to gdy agent jest w dobrym humorze i skory do pracy. Wymieniony Klub jest zwykłą knajpą a utrzymywanie

jego oficjalnej nazwy uwłącza nam wszystkim i naszej kulturze. Nie prowadzi żadnej polonijnej działalności, brak tu jakichkolwiek gazet, książek, niczego co usprawiedliwiłoby uzurpowanie prawa do reprezentowania nas w jakiegokolwiek dziedzinie, oprócz chłania, życia.

Całe szczęście, że mamy *Kulturę*. Utożsamiamy się z nią, po trosze również sobie przyszywając zasługi za jej wysoki publicystyczno-literacki poziom. Bo też jest to wykładnik naszej kultury, możliwości i cech intelektualnych, hamulec zubożenia, przykład że i tu można i do tego dobrze. Zawarte w *Kulturze* poglądy podzielamy wszyscy. Czegoś jednak brak.

Szybując (i dobrze) w górnych warstwach najciekawszych międzynarodowych i polskich problemów, dając zarazem na swoich łamach odbicie najistotniejszych dla nas aktualnych wydarzeń na świecie, miesięcznik nie jest w stanie zapewnić dopływu szczegółowych, bieżących informacji dobranych pod kątem przydatności dla szerokich mas emigranckich i reemigranckich. Przydałoby się pismo, nieoficjalny organ światowej Polonii utrzymujący ściśle kontakty z redakcjami wszelkich czasopism polonijnych i posiadający współpracowników-korespondentów w krajach gdzie żyją nasi. Centralna gazeta skupiająca wszystkie nitki dopływów informacji, drukująca na bieżąco o najważniejszych sprawach. Wystarczyłoby przekazywać aktualne dane o rynku pracy, poszukiwanych zawodach, przepisach, prawach, trudnościach, czekających formalnościach, czy w końcu cytować przykłady z życia o pouczających przypadkach.

Takie pismo, pożyteczne dla każdego, skarbem byłoby dla nieopierzonego jeszcze emigranta. Zamiast spontanicznej decyzji „w ciemno”, wyrachowany wybór na bazie miarodajnych źródeł. Zresztą dobrze byłoby poznać się bliżej, nie tylko przez powiększającą soczewkę kongresów, zjazdów, spotkań i nekrologów.

Roman BRESZKA

Wołanie na puszczy

Cienie w jaskini

Czytelnik prasy w Polsce to jak ów człowiek w platońskiej jaskini: widzi dziwacznie płaszące cienie i po nich wnioskuje, co się dzieje na zewnątrz. Owszem, podaje mu się na ogół materiał faktyczny zza granicy, ale tak okrojony, oświetlony i specjalnie zinterpretowany, że aby wydedukować zeń, co się naprawdę zdarzyło, trzeba brać odpowiednie odchylenie, do tego zaś trzeba znać i przewrotność i sklerotyczną skostniałość myślenia naszych braci komunistów. Przewrotność i skleroza w jednym stojące domku, a do tego poczucie obowiązku takiego przedstawienia wypadków, które odpowiada rządowi (to się nazywa dźwięcznie „racją stanu”), oraz strach, choć nie bardzo wiadomo przed czym — oto zawiła mieszanina bodźców i antybodźców, z których wyrasta sowieckie pisanie Stefanowiczów, Wojnów i Winiewiczów, Ramotowskich i Bilików, Wysockich, Misiornych i Jaworskich. Zresztą oni pewno myślą, że w owym bujaniu z metodą tkwi ich misja. Cenzor też uważa, że fałszowanie cudzych tekstów to misja, policjant też ma misję, konfiskujący książki celnik również... Tylko normalny człowiek nie ma żadnej państwowej misji, z czego prosty wniosek, że pęta się niepotrzebnie i tylko przeszkadza, określane pogardliwym słówkiem „ludność”. Zaiste, ludność przysparza u nas rządowi masę kłopotów i właściwie, idąc za radą Brechta, należałoby ją rozwiązać... Pewno przyjdzie czas i na to. Na razie trzeba ją, dla uproszczenia, absolutnie zjednoczyć. Tego zdania jest nawet redaktor mojego *Tygodnika Powszechnego*, który pisze: „Wielkie wydarzenie, jakim będzie wizyta Ojca Świętego w Polsce, niewątpliwie przyczyni się do stworzenia klimatu, sprzyjającego zwartości i pomyślności całego narodu”. A skąd wiadomość, że zwartość równa się pomyślności? A może dla nowoczesnego narodu lepsza jest nie zwartość lecz rozwartość?! I jaka to będzie, według Turowicza, owa „zwartość”: marksistowska czy katolicka czy obojnacka? Oj niedobrze, Panie Bobrze, sklerykalizowany

komunizm czy skomunizowany klerykalizm i nic więcej pod słońcem — cóż za perspektywa! Na co ci to przyszło, o biedny Jerzy Turowiczu, więc Ty także masz misję?! Na całe szczęście myślę, że Papież jest rozumniejszy. I wolniejszy...

Czy nasza „ludność” zdaje sobie sprawę, że jest stale obełgiwana, że w najlepszym wypadku widzi kunsztowne cienie, czyli nie same fakty, lecz ich interpretację oraz selekcję? Z tym bywa różnie. Najłatwiej dostrzec kłamstwo w przedstawianiu faktów krajowych, o tych zresztą informowani jesteśmy najmniej, podczas gdy prasa pełna jest wyczerpujących (cierpliwosć) komentarzy zagranicznych. O kraju dowiedzieć się można za to sporo z „Wolnej Europy” — lecz tu znów cienie w jaskini, choć odwrócone: wnioskować z zagranicznego radia, co dzieje się pod samym moim nosem, to zaiste perwersja! Trzeba mieć na to mózg specyficznie połamany. Ale może mózg połamany to instrument ciekawszy i subtelniejszy, niż mózg zwyczajny? Zwłaszcza w epoce Orwella?

Proroctwa Orwella sprawdzają się niesamowicie. Pamiętacie z „Roku 1984” owe dziwne wojny, toczące się między Oceanią, Eurazją i Wschodnioazją na zmianę, przy czym mieszkańcy mętnie są informowani kto i dlaczego jest akurat wrogiem i kto w ogóle z kim się bije? Toć absolutnie tak właśnie się dzieje teraz w Azji: Chiny, Wietnam, Kambodża, ZSSR, Laos, Jemen, kto kogo i dlaczego, tego nikt nie pojmie. Nawet Superwiniewicz czy Superramotowski zgubi się, gdy musi z dnia na dzień zamienić „socjalistyczny rząd wolnej Kambodży” na „zbrodniczą klikę Pol-Pota” lub na odwrót. A na przykład Iran? Tak jeszcze niedawno prasa warszawska zachwycała się wizytą Szacha z Małżonką, merdając przymilnie ogonem (nafta, forsa!) i bredząc o „Ich Cesarskich Mościach”. A co teraz?! Klops, nie wiadomo w dodatku, jak rzecz zinterpretować, bo sprawy są całkiem nietypowe, nie marksistowskie: coraz większa otwiera się luka i rozpiętość między „nieuporządkowanymi” faktami a wygadzonymi, wyszlifowanymi od lat koncepcjami słownymi. Zaś towarzysze radzieccy, mistrzowie oraz nauczyciele naszej prasy twardzi są i nie pozwalają: z „klasową treścią historii” się nie rozstaną, niech się wali, niech się pali, choćby teoria ta pasowała do wydarzeń jak śledź do koziego ucha. Właśnie w dniach rozkwitu rozgrywki chińsko-wietnamskiej *Trybuna Ludu* wydrukowała artykuł rosyjskiego profesora, który zachwycał się, jak to Marks trafnie powiedział, że w krajach rządzonych przez „klasę robotniczą” zanikną wszelkie nacjonalizmy, szowinizmy, imperializmy! Czyta się to jak komedię Ionesco czy Mrożka, ale autorzy chyba tego nie dostrzegają. Przyzwyczajeni dociągać kapryśną prawdę do założonego z góry porządku słów nie rezygnują z tej ulubionej słownej sklerozy w najbardziej nawet absurdalnych okolicznościach. Przy okazji powstało nowe słowo: „hegemonizm” — chiński oczywiście.

Ludzie śmieją się niezgorzej, że komuniści biją się z komunistami a Ruscy dalej bredzą swoje o „klasowym charakterze kon-

fliktu", ale niektórzy widzą w tym metodę. Wszak Rosją rządzą wielcy cwaniacy i cynicy, więc jeśli upierają się przy swej sklerotycznej formie słownej to widać mają w tym jakiś interes: to jest „skleroza robocza”, umowna, użyteczna. Do czego? Nie wiem, ale podobno skuteczne „udawanie Greka” to w polityce największa sztuka — może więc udawanie Marksa także? A może Rosjanie sami też nie wiedzą co mówić, gdy z sowieckiej jaskini widzi się tylko płaszące na dziejowym ekranie chińskie cienie? Podobno już reagują w jakimś tam Jemenie, azjatyckie ciosy padają jak w kalejdoskopie, padają na przemian, ale kto się w tym potapia?! Orwell, tylko Orwell!

A już na pewno nie Amerykanie: ci od dawna chyba zgubili rytm światowej ruletki, choć wyszedł im początkowo numer z Chinami i Japonią. Wyszedł, lecz rosyjska riposta i następne błyskawiczne azjatyckie ciosy zbiły ich z pantałyku, w rezultacie rozgrywka toczy się bez nich. Ameryka Cartera przestała moim zdaniem być politycznym mocarstwem, to jedynie ogromny potencjał gospodarczo-militarny, ale potencjał niezborny, niezdolny do instynktownych, szybkich reakcji. Może to za porządni ludzie na politykę, a także za słabi, bo nazbyt przywiązani do swego benzynowo-elektronicznego luksusu? Kiedyś zarzucano Nixonowi, że na zimno, po aktorsku udaje lwa. Ale udawał do złudzenia, a Carter i tego nie potrafi, nie umie ukryć strachu przed opinią, Kongresem, prasą, nie umie się rozgniewać i przestraszyć kogośkolwiek. Jak nie umie, to się już nie nauczy. Za wielki demokracja...

O prasie amerykańskiej i w ogóle zachodniej też mam swoje dziwne zdanie. Bombarduje ona swe kraje lawiną wiadomości, tyle że tych wiadomości jest za dużo: przeczą sobie wzajemnie, wypychają jedna drugą, a dziennikarz politycznej selekcji nie dokona, zaabsorbowany mnogością i jednostkową realnością doniesień. W rezultacie najbardziej poinformowane społeczeństwa świata okazują się częstokroć w wielu dziedzinach ciemne jak owa tabaka w rogu. Film „Holocaust” obnażył tę dziwną właściwość rozwiniętych zbiorowisk Zachodu: hollywoodzki melodramat sprawił to, czego przez dziesiątki lat nie mogły osiągnąć tabuny polityków, historyków, publicystów, dziennikarzy, reporterów — wywołał realny, masowy dreszcz sumienia. O czym to świadczy? Może nie tylko totalistyczny Wschód ale cała kula ziemiska to zespół jaskiń, izolowanych i ciemnych, w których zdezorientowani ludzie obserwują skaczące po ścianach cienie wydarzeń z zewnątrz, cienie faktów, a o samych faktach pojęcia nie mają. Niemiłe z tego prognozy dla światowej polityki: toczy się na oślep i nie wiadomo dokąd. Aby do jutra...

Skoro tak jest na świecie, to wróćmy do Warszawy, gdzie ludzie przynajmniej wiedzą, że nic nie wiedzą, a do odszyfrowywania tajemnic gry cieni, zastępującej fakty, są przyzwyczajeni. Przyzwyczajeni aż za bardzo: gdy Husak z ekipą przylatuje nagle do Polski a Gierk z Jaroszewiczem przyjmują go na błyskawiczną wizytę w Bieszczadach, nikt nie pyta o co szło. Prasa zachłystuje

się entuzjazmem, jakie to tam poruszano ważne i „interesujące obie strony” rzeczy, ani słówkiem oczywiście nie wspominając jakie — i nikt się nie dziwi, nikt nie pyta. Przywykliśmy, że żyjemy w komedii Mrożka, przywykliśmy nadmiernie, straciliśmy godność, ambicję. I stąd też wrócenie z cieni, jak niegdyś z fusów: gdy przez tydzień nie ma w *Życiu Warszawy* codziennej zazwyczaj fotografii Gierka, już całe miasto się trzęsie i wnioskuje — pochopnie... Ale gdy minister Komunikacji Mieczysław Zajfryd powie wprost i rzeczowo (*Polityka*, 17. II. br.), że zaniebdana, niedoinwestowana kolej w Polsce „wysiada”, że wielkie inwestycje lokalizowano bez myśli o transporcie, że pociągi przewożą z miejsca na miejsce ciężar większy, niż waży cała roczna produkcja kraju, że lepiej nie będzie, tylko gorzej... ludzie nic sobie z tego nie robią, mówią, że to i tak wszystko jedno, bo pewno „przejdziemy na szerokie tory”... Zaś wybuch w Rotundzie warszawskiego PKO wszyscy absolutnie uważają za dzieło zamachu... Ja osobiście nie: gdyby to był zamach, już by była podana zapięta na ostatni guzik wersja, oczywiście fałszywa. Fakt, że dotąd nie uzgodniono komunikatu dowodzi, moim zdaniem, iż musiało tam być piętrowe techniczne niedbalstwo i nie wiadomo na kogo je zwalić. Lecz to ludzi nie ciekawi, podobnie jak nikt nie wierzył w kolejowe „wąskie gardło”, zatkane na dodatek śniegiem, wszyscy mówili, że to było umyślnie i że coś się za tym kryje. „Spiskowa teoria życia” — jak by powiedział Micewski.

Tak, łowcy cieni i wróżbici przesadzają, ale trudno im się dziwić: tam gdzie nie ma informacji, którą zastępuje INTERPRETACJA, wytwarza się specyficzna informacyjna schizofrenia, frustracja z ekscytacją, w sumie ogólna egzażeracja (ładne słowa, nieprawdaż?). Informować normalnie próbuje za to młodzieńcza prasa nielegalna: jest już chyba ze czterdzieści pisemek, w nich znajdziecie informacje rzeczowe, gospodarcze, polityczne, statystyczne. Znowu dziwność niepojęta: to co normalne kryć się musi w podziemiu, a w oficjalnych pismach króluje fantastyka, mistyfikacja, surrealizm. Ale miłośnicy wrócenia z cieni nie ustępują, od rana ustawiają się kolejki po *Życie* i *Trybunę*. Fakt, że tych pism brakuje to dziwność do kwadratu, dziwność w dziwności. Bo polska dziwność musi być jeszcze dziwniejsza od innych: toć mieszkamy nad Wisłą.

Na zakończenie wiadomość o sobie. Ponieważ impresje niniejsze dochodzą do *Kultury* nie wiedzieć kiedy, więc trudno je uważać za regularne korespondencje, stąd i forma fantazyjna i myśl chaotycznie skacząca. Ale to jedyna informacja konkretna. W marcu ukazał się w Warszawie nowy, pozacenzuralny periodyk *Res Publica*, a w nim mój duży artykuł „Czy geopolityka straciła znaczenie?”. Treść jego, to mój wariant na odwieczny temat „Niemcy, Rosja a sprawa polska”, temat zawsze aktualny i na Emigracji dyskutowany. Podpisałem go nazwiskiem, nie ogryzkiem nazwiska, co ma swoje znaczenie. Balzak napisał: „Obowiązkami to nie uczucia. Robić to co należy robić, to nie znaczy robić co mi się podoba”. Otóż gdy piszę, co mi się podoba, pod-

pisuję się „Kisiel”, gdy piszę, co należy robić, podpisuje: Stefan Kisielewski. Polecam Czytelnikom *Kultury* ten artykuł, chyba do Was dojdzie, choć nie ma nóg. Jest próbą wypełnienia z jakimi, gdzie absorbuje nas kunsztowna gra cieni, i rozejrzenia się po normalnie oświetlonym świecie. Czego wszystkim życzę

KISIEL

Masło

Warszawa, Wielkanoc.

„Masło” to jest sytuacja w krokiecie, gdy kilka kul ugrzęźnie w bramce i blokują się wzajemnie, uniemożliwiając dalszą grę. Takie właśnie masło trwa dzisiaj w Polsce. Wszyscy już wiedzą, że król czyli Gierka jest nagi, ale nikt nie ma ochoty publicznie tego krzyknąć. Ogólny bałagan, dziwnie sparaliżowana komunikacja, brak najprostszych lekarstw, inflacja fantastycznie podnoszonych cen, niewykonanie żadnych planów, powódź (zlekceważona przez prasę, boć tutaj ludzie cierpią a nie państwo), opóźnione żniwa — wszystko to stanowi dopełnienie wrażenia ogólnej plajty, jaka po 9 latach stała się udziałem rządzącej ekipy. Na górze partii panuje popłoch, bo oni tam najlepiej znają ogólną sytuację, wiedzą ile wynosi nasze zadłużenie dewizowe, a ile niedobory energetyczne. Boją się jak ognia, że lud lada chwila wierzgnie, dlatego urządzono zupełnie bezsensowne Plenum KC 11 kwietnia, poświęcone drobnej państwowej wytwórczości, gdzie mówiono o niczym — oligarchowie chcieli pokazać w telewizji, że jeszcze są, że obradują jak zwykle i mają spokojne twarze, a na końcu mogą bezkarnie odśpiewać „Międzynarodówkę”. Czeka, że lud wierzgnie a lud milczy, nie reaguje. Dlaczego?

Parę jest tego przyczyn, zresztą dla emigracyjno-opozycyjnych, zapalonych uszu przyczyn niezbyt miłych. Tak zwany lud siedzi cicho bo: a) Nie widać w partii alternatywy personalnej, nikt więc nie podsyca buntu, nawet wieczny pretendent Olszowski nie pali się teraz do przejmowania gierkowskiej masy upadłościowej, zwłaszcza wobec niewyklarowanej sytuacji w Rosji, gdzie Breżniew wciąż żyje a Kirilenko podobno się przygotowuje. b) NEP-owsko pewexowska koniunktura dla pewnych kół trwa, kto ma dolary i kombinuje ten się urządza, aut coraz więcej, dojustrkująco konsumpcyjny ideał indywidualny skutecznie odwraca uwagę od plajty ogólnej. c) Brak ideowego sloganu dla ewentualnych buntów, paraliżujące umysły słowo socjalizm robi swoje, a nikt innego, równie znanego słowa w dyspozycji nie

posiada. d) Bo Zachód wciąż popiera Gierka jak może, licząc, że tylko on spłaci swe długi: nie zarzyna się kury, póki nie zniósł jajek (znosi je w postaci procentów, co miesiąc — tylko nie wiemy ile). e) Bo 3 miliony ludzi w partii to walny czynnik bezruchu, wszystko mają do stracenia a nic do zyskania. f) Kościół zachowuje się kompromisowo i łagodząco, czekając na przyjazd Papieża. g) Młodzieńczą opozycję w dużym stopniu poskromiono, wyłączając po trochu biciem i terrorem najaktywniejszych jak Kuroń i Michnik, oraz ograniczając ją do kręgów inteligencko intelektualnych.

Takie są przyczyny WIELKIEGO MASŁA, które trwa. Pomaga w tym irracjonalny brak koniunktury psychologicznej na gwałtowne rozruchy: ludzie, wyzbyci wszakże wszelkich iluzji, łykają jednak wszystko w spokoju. Partia trzęsie się ze strachu, a ludzie śpią. Wynika to i z wymienionych względów konkretnych, ale także z jakichś motywów nieuchwytnych. Oczywiście — to co nieuchwytnie również nieuchwytnie może się zmienić, immobilizm nie jest wieczny.

Ciekawe jednak bardzo jest zjawisko NEP-owej kapitulacji Gierkowskiej ekipy, forytującej teraz niewątpliwie indywidualne, „agencyjne” sklepy i knajpy — po 30 latach niszczenia prywatnej inicjatywy i wytwórczości. Kapitulacja to trochę spóźniona: lansowana jest częściowa wyprzedaż socjalizmu, lecz mało kto chce oficjalnie kupić, zaufanie się skończyło. A może szkoda. Tu przychyliam się do tez bystrego artykułu Macieja Poleskiego „Wolność w obozie” (*Kultura* nr 4) gdy pisze: „Opozycja winna uświadomić sobie, że na dłuższą metę społeczeństwo będzie tym wolniejsze, im więcej w nim będzie wolnych konsumentów i wolnych producentów. Tradycyjna niechęć inteligentów urzędników systemu do 'prywaciarzy' musi ulec zmianie”. Mądre to słowa, tyle że u nas ludzie utracili już wiarę w organiczną autentyczność jakichkolwiek zjawisk społecznych, poza walką o własną konsumpcję. Nie łudźmy się: wychowane w totalizmie społeczeństwo jest w dużym stopniu zdegenerowane. Kto i kiedy je odrodzi?

Masło czyli zawieszenie broni jest też w niemałej mierze związane z czerwcowym przyjazdem papieża Jana Pawła II. Wszyscy na ten przyjazd czekają, choć każdy z innych powodów. A mianowicie:

a) Ekipa Gierka sądzi, że uroczystości papieskie odwrócą uwagę ludu od problemów i trudności wewnętrznych, rozładują emocje, dając pożądaną a nieszkodliwą dystrakcję. Nieszkodliwą politycznie, boć elastyczni w takim wypadku Rosjanie już się na sprawę zgodzili: dowodem wizyta Gromyki w Watykanie. Rząd, liberalnie i wspaniałomyślnie przyjmujący Papieża (organizacją przyjęcia zajmuje się osławiona agencja „Interpress”) spularyzuje się w Kraju i za granicą. Papież pobłogosławi Polskę

Ludową, bo innej Polski na świecie nie ma. A jakżeż tu występować potem przeciw państwu tak namaszczoneму?!

b) Kościół sądzi, że dostanie przy okazji jakąś zasadniczą koncesję, np. oficjalny tytuł „instytucji prawnie publicznej” a także, że radiowe czy telewizyjne transmisje z czerwcowego pobytu Papieża stworzą precedens, który pozwoli na trwałe przewyciężyć odcięcie religii i od środków masowego przekazu. Na razie zachęcano Kościół zaliczką w postaci szybkiej zgody rządu na obsadzenie Metropolii w Poznaniu, Szczecinie i w Krakowie, oraz na budowę nowych świątyń. A więc znów porozumienie Kościoła z Cesarzem?! Wyraźne akcenty teokratyczne pobrzmiwają też w wypowiedziach naczelnego redaktora *Tygodnika Powszechnego* Jerzego Turowicza, piszącego, że zapowiada się oto „... stworzenie klimatu, sprzyjającego zwartości i pomyślności całego narodu”, co odpowiada partyjnemu sloganowi o „współpracy oraz zjednoczeniu wszystkich Polaków”. A więc rezygnacja z demokratycznych haseł pluralizmu na rzecz hipotetycznej jedności? A jaka to ma być jedność: marksistowsko-katolicka?! A może polski Khomeini? Ciekawe!

c) Wreszcie opozycja liczy, że Papież dyskretnie lecz stanowczo odżegna się od marksizmu i marksizowania, tak jak to zrobił w Meksyku z „teologią wyzwolenia” i próbą kubanizacji Ameryki Południowej. Zaś bardziej zmaterializowani sądzą, że socjalizm polski upadnie, gdy miliony Polaków go zdepczą, ruszając w pogoń za papieskim helikopterem, a 3.000 dziennikarzy zagranicznych, z braku miejsc w hotelach, nocować będzie pod mostami Warszawy. Podobnie, jak rosyjski komunizm upaść ma po moskiewskiej Olimpiadzie!

Tak więc polska wizyta Papieża jest jak magiczny przedmiot, który ma różne odbicia w różnych zwierciadłach. Każdy czeka na co innego, ale Papież Wojtyła, człowiek wytrawny i wieloletni „Polak ludowy” również na pewno wie o wszystkim i własne wyjście znajdzie. Także Edward Gierk rozumie wszakże propagandowe i psychologiczne ryzyko. Fotografii Sekretarza widzimy co dzień w każdym polskim dzienniku, na pewno więc nie zaniedba okazji, aby się 100 razy sfotografować z Papieżem. Zaś gorliwi zachodni dziennikarze rozniosą to po całym, zachodnim oczywiście, świecie.

Jakie będą tego skutki? Czy Papież ocali Gierka? Czy wizyta Jana Pawła II wyzwoli jakiś polski dynamizm i autentyczność? Czy przewyciężone zostanie WIELKIE MASŁO?!

O tym będziecie już wiedzieć więcej ode mnie, gdy niniejsze słowa w czerwcu ukażą się w druku.

KISIEL

Książki

Własny głos

Książki opatrzone podtytułem „szkice”, „rozważania krytyczne” lub „studia i uwagi” budzą uzasadnione zazwyczaj podejrzenie, że stanowią jedynie zbiory zapiekowanych na chybcika artykułów o wątpliwej spoistości, dlatego też uważam za konieczne podkreślić od razu zarówno zdumiewającą jednolitość tematyczną książki Stanisława Barańczaka* — zdumiewającą, bo oczywiście *jest* ona zbiorem artykułów i recenzji — jak i fakt, że ogólnikowo-ozdobny na pozór tytuł ściśle określa jej treść. Treścią tą jest krytyczna ocena stanu rzeczy w polskiej poezji powojennej ze szczególnym uwzględnieniem lat siedemdziesiątych, a kryteriów osądu dostarczają obie wymienione w tytule hierarchie wartości: moralna i estetyczna. Trzydzieści mniej więcej szkiców składających się na omawianą pracę (częściowo opublikowanych uprzednio w tak rozmaitych wydawnictwach jak *Twórczość*, *Literatura*, *Tygodnik Powszechny*, *Zapis*, *Kultura* paryska i in.) autor zgrupował w pięciu częściach, z których każda stanowi jakby podrozdział centralnego tematu. Część I formułuje etyczne stanowisko autora: świecki, nieautorytarny kodeks moralny, którego fundamentem jest świadomość istnienia innych ludzi i przyznanie im tych samych praw, co samemu sobie. Eseje poświęcone postaciom Boenhoffera, Mandelsztama i Josifa Brodskiego ilustrują trudność tej postawy, która w totalizmie przetrada się z na pozór samej przez się rozumiałej przyzwoitości w cnotę heroiczną; antybohaterem tego działu jest Ernest Bryll, którego tomik „Zwierzątko” (1975) Barańczak nazywa „najbardziej przerażającą książką poetycką” lat ostatnich z uwagi na zawartą tam apologię rezygnacji i szmatłowości powszedniej.

* *Etyka i poetyka. (Szkice 1970-1978)*. „Biblioteka Kultury”, tom 303, seria *Bez cenzury*. Instytut Literacki, Paryż, 1979, str. 272.

Część II książki skupia się na związkach między etyką i poetyką: w dwóch pierwszych szkicach tej części autor cofa się do prehistorii interesującej go epoki literackiej, czyli do wczesnych futurystów i witalistów polskich i pokazuje na ich przykładzie, jak odrzucenie normalnej moralności w imię podejrzanych bóstw typu Przyszłości, Życia i Tłumu prowadzi albo do potęgującej izolację gołostowności (Czuchnowski), albo do czerezwyczajki (Jasieński).

Dwa dalsze szkice zawarte w tej części — „Życie zaczyna się po trzydziestce?” i „Proszę pokazać język” — zawierają kapitalnie zwięzły przegląd tendencji literackich w ubiegłym trzydziestolecu w terminach opozycji „bunt: zgoda” i „etyka : estetyka”. Barańczak wyróżnia tu cztery okresy — jego periodyzacja odnosi się głównie do poezji, ale przypuszczalnie można by ją rozciągnąć i na inne gatunki — które definiuje następująco: 1949-55, zgoda + etyka (tzn. postawa akceptacji wobec narzucanych norm estetycznych i etycznych, z naciskiem na „etykę” stalinowską); okres październikowy i krótko po: bunt + estetyka (tzn. sprzeciw, ale głównie wyrażający się w odejściu od form socrealistycznych); okres małej stabilizacji gomułkowskiej: zgoda + estetyka (tzn. letarg światopoglądowy i skupienie uwagi na „czystym pięknie”; Barańczak ironicznie nazywa tę formację klasycystyczną); faza ostatnia, po roku 1968, określona jest jako splot buntu i etyki (bez cudzołostu). Tylko tę ostatnią formację uważa autor za zaczątek „literatury koniecznej”, przeciwstawiającej się twórczości mniej lub bardziej fikcyjnej — tzn. nieszczerej i unikowej — lat wcześniejszych. Za główny wyróżnik formalny wymienionych faz uważa Barańczak ich język również dający się opisać w terminach podstawowych opozycji: „cudzy : własny”, „abstrakcyjny : konkretny”. Poezja socrealistyczna osłabiła się „głosem cudzym”, tzn. żargonem gazet i zebrań, bez dystansu i zastrzeżeń wobec jego dętości i ogólnikowości; faza „estetyczna” w okresie gomułkowskim odeszła wprawdzie od gazety i wyświechtanych abstrakcji, zachowała jednak zasadę cytowania z aprobatą (np. z klasyków), a więc mimo wszystko odwoływała się do głosu cudzego; dopiero najnowsza poezja, zdaniem Barańczaka, konsekwentnie skupiła uwagę na kształceniu własnego głosu. Nieco paradoksalnie jednym z jej najbardziej rozpowszechnionych „przyjmów” jest parodia języka cudzego — partyjnej mowy-trawy, *slangu* młodzieżowego czy też klasycznego cytatu — ale celem nie jest tu podpieranie się zewnętrzny autorytetem, lecz właśnie poddanie go w wątpliwość lub też ujawnienie groteskowego kontrastu słowa i rzeczy („Trzy razy polski odmienił się złoty...” Krynickiego może służyć za przykład tej stylizacji).

Jak każda typologia zaproponowana przez Barańczaka podział dopuszcza wyjątki i typy mieszane, ale dla ogólnej charakterystyki okresu wydaje się nader przydatny. Wyraźnie też jest on

głównym elementem organizacji omawianej książki: jej części III i IV poświęcone są szczegółowym studiom nad poezją starszej (nieco lub sporo) generacji (Słonimski, Międzyrzecki, Szymborska, Woroszyński, Białoszewski, Herbert, Rymkiewicz) i „pokolenia 68” (Zagajewski, Kronhold, Karasek, Bierezin, Moczulski, Kornhauser, Krynicki) właśnie z punktu widzenia omówionych wyróżników czy — jak można je też nazwać — postulatów współczesności. Postulaty te, które w jednym z dalszych szkiców Barańczak ujmuje w trójce: Empiryczność — Język — Pojedynek z Gazetą, w różnym stopniu realizowała już starsza generacja omawianych poetów (tylko Rymkiewiczowi zarzuca autor nadmiar stylizacji retro, a więc rodzaj ucieczki ze współczesności w językowe Szangri-la), ale w sposób pełny i jako element dominujący doszły one dopiero do głosu w twórczości poetów debiutujących na początku lat 70-tych i nazywanych rozmaicie: Młoda Kultura, Nowym Ruchem lub Nową Falą.

Ostatnia część książki, zatytułowana „Fasada i tyły” — jest to równocześnie tytuł ważnego eseju pomieszczonego w tej części — zajmuje się nie tyle samą poezją, co współczesną sytuacją literacką i intelektualną w Polsce. Jest to już era wyraźnego podziału na literaturę oficjalną o różnym stopniu zakłamania (dwa szkice o Bratnym dyskutują etyczne i estetyczne konsekwencje „oficjalności”) i literaturę zbliżającą się do postulowanego ideału twórczości koniecznej, tzn. zarazem zaangażowanej i niezależnej. Powstanie tej formacji — „solidnego budynekku na tyłach potiomkinowskiej fasady” — wiąże się przede wszystkim z powstaniem niezależnego obiegu informacji pisanej — czyli sieci nieoficjalnych wydawnictw krajowych o bardzo skromnym wyposażeniu (powielacze z wyzmaczek), ale dysponujących imponującą liczbą pracowników i autorów o niemniej imponującej ofiarności i odwadze.

Oryginalna, solidna, zwarta książka Barańczaka dobrze reprezentuje tę nową formację, dla której literatura nie jest sprawą sukcesu, etatu, *hobby* czy snobizmu, lecz krokiem w kierunku samouzdrawienia społeczeństwa od lat zatruwanego podległością i kłamstwem. Być może nie jest przypadkiem, że Barańczak-naukowiec jest zarazem wybitnym poetą, bo tam gdzie samo źródło świadomości — język — jest zatrute, poezja staje się odczynnikiem, filtrem i odtrutką, na pewno zaś nie jest przypadkiem, że Barańczak-krytyk domaga się poezji męskiej i suwerennej, bo jako człowiek wykazał on już dawno, że zagrożenie, szykany i łamanie zasłużonej kariery mniej dlań ważą niż własne przekonania i własny głos.

Portret inteligenta

W ubiegłych latach 1976 i 1977 *Kultura* opublikowała na swych łamach bardzo interesującą prozę, która do dziś pozostała jakoś niezauważona. Chodzi o cykl tekstów, układających się w pewną całość, i opatrzonych wspólnym tytułem *Kto to zrobił?** Autorem cyklu jest Seweryn Kwarac, pisarz prawdopodobnie krajowy (sądząc po znajomości współczesnych polskich realiów i języka) i o niewątpliwie dużym i dojrzałym talencie (sądząc po warsztacie i przenikliwości intelektualnej). Cykl składa się z czterech części, niby z czterech rozdziałów, każdy z nich jednak stanowi całość niezależną, jakby samodzielne opowiadanie. Ogniwo łączącym części-rozdziały jest przede wszystkim osoba bohatera, poza tym zaś pewne epizody i wątki, które — jeśli raz się pojawiły — powracają później w postaci różnych odwołań i nawiązań. Ogólnie rzecz charakteryzując, każdy z „odcinków” przedstawia jakieś ważne, kluczowe zdarzenie z życia bohatera. Zdarzenia te mają charakter punktów zwrotnych w jego biografii. Toteż nie wyczerpują się one same w sobie, lecz stanowią zarazem pryzmat, poprzez który ukazane są i podsumowane całe etapy dojrzewania i rozwoju. Bohater o osobliwym imieniu Onio jest współczesnym polskim inteligentem (nauki ścisłe), należącym do pokolenia urodzonego niedługo przed wojną. Jednakże cykl *Kto to zrobił?* pragnie opisać nie tylko jego, szczególnie być może przypadek, chce on uchwycić i odmalować ogólną sytuację współczesnej polskiej inteligencji, chce pokazać istotne i różnorodne cechy jej sytuacji, próbuje wreszcie odtworzyć szersze tło społeczne, w jakim wypada działać i żyć ludziom posiadającym wyższe wykształcenie i predystynowanym do tworzenia ważnych wartości kulturowych. Zanim jednak przejdziemy do tych sumujących refleksji, przyjrzyjmy się naprzód przedstawionym zdarzeniom.

Odcinek pierwszy, czyli młodość, nadzieja i siła

Odcinek ten odnosi się do najwcześniejszych doświadczeń bohatera, opisuje jego pierwsze potyczki i odkrycia w życiu. Ten okres dojrzewania ukazany jest poprzez pryzmat dwóch zasadniczych wydarzeń. Pierwszy z nich to incydent w kinie „Tęcza”, kiedy to podczas wyświetlania filmu o sowieckim kołchozie we wczesnych latach 50-tych któryś z uczniów rzucił ogryzkiem w ekran. Zdarzenie drugie to udana ucieczka po pamiętnym wiecu

* *Kultura* nr. 1/340-2/341 (1976); 3/354 (1977); 7/358-8/359 (1977).

studentkim w Warszawie jesienią 57-go roku i wygrany pojedynek z milicjantem. Te dwa momenty spinają swoistą klamrą pierwszą młodość bohatera i wyznaczają jego duchowy i moralny rozwój. Co się stało w ciągu tych lat? Od czego zaczynał i do czego doszedł bohater?

Zaczynał jak większość z jego pokolenia. Mimo iż pochodził z dobrego, inteligentckiego domu, który wpajał w niego elementarne zasady moralne i uczył daleko posuniętej rezerwy w stosunku do nowego systemu społeczno-politycznego, uległ on zbiorowej euforii ideologicznej, znalazł się w szeregach młodzieżowej organizacji i stał się typowym dla tamtych lat działaczem, jeżdżącym w teren, agitującym, wygłaszającym dogmatyczne przemówienia, a nawet uciekającym się do gróźb i chwytów zastraszających. W tym jego zaangażowaniu istotną, jeśli nie najważniejszą rolę odegrała wyobraźnia, podatna na różne mitologie i legendy. Młody człowiek, czytany i mocno przeżywający swoje lektury, pamiętający ponadto doskonale niedawny czas wojny, kiedy to ludzie w jego wieku stawali się z dnia na dzień bohaterami i wstawili się odważnymi czynami, poczuł, że oto i przed nim otwierają się takie możliwości. Ujrzał siebie jako misjonarza i ludowego wychowawcę, jako romantycznego bojownika o lepsze jutro i lepszy świat. Taki kształt życia kusił zresztą nie tylko samym podobieństwem do rzeczywistości legendarnych, kusił również, a może przede wszystkim swą bezpośrednią barwnością i atrakcyjnością: dawał szansę przygody, urozmaicenia, głębszego oddechu. Świat zaangażowanego działania był w oczach wrażliwego i niespokojnego chłopca swoistym „dzikim Zachodem”. W świecie tym spotykało się mocnych, niezwykłych ludzi, którzy niejednokrotnie nosili przy sobie broń, w świecie tym działały się rzeczy nieporównywalnie ciekawsze od monotonnych zajęć szkolnych i domowych. Więc bohater korzystał z tego pełną piersią. Nie zważając na przestrogi rodziców, a nawet — niekiedy — odcinając się od nich drastycznie, zanurzył się w ten ruchliwy żywioł i spalał w nim intensywnie. I tak to trwało jakiś czas. Aż wreszcie któregoś dnia — zupełnie niespodziewanie — stało się coś dziwnego. Po incydencie w kinie, w trakcie upokarzającego i brutalnego dochodzenia, bohater, chociaż tego nie zrobił, przyznał się do niepopelnionego czynu. Trudno powiedzieć, jakie działały w nim pobudki. Być może — tak jak sam później stwierdził — nie mógł znieść upokarzającej atmosfery zbiorowego przesłuchiwania, być może jednak — i to wydaje się prawdopodobniejsze — znów odezwały się w nim (tyle tylko że w innym odcieniu) wizje śmiałych wystąpień legendarnych postaci młodzieńczych lektur. Odważnie przyznać się do niepopelnionego czynu, efektywnie wziąć winę na siebie — ależ było to tym samym, co jeździć w teren i nawracać ciemnych chłopów, ależ było to nawet czymś więcej! W młodzieńczej, rozpalonej głowie chłopca nie dominowała — wbrew pozorom — polityka wraz z całym jej bagażem dogmatycznych rozróżnień i kontekstów; głowa ta była przede wszystkim nasycona potrzebą intensywnego

życia, ciekawością, pragnieniem poznania świata i ludzkich doznań do samej głębi. Tak więc to ta sama tęsknota, która swego czasu pchnęła go w fanatyczną działalność organizacji, obecnie, każąc mu przyznać się do niepopelnionego czynu, wtrąciła go do więzienia. Tam bowiem natychmiast wylądował wypowiedziawszy brzemienne w skutki słowa: „Ja to zrobiłem”.

Pobyt w piwnicach Urzędu Bezpieczeństwa, długotrwałe i męczące przesłuchania, wreszcie obserwacje stamtąd wyniesione (głównie dotyczące współaresztantów) dokonały pierwszego zasadniczego przełomu w duszy bohatera. Zrozumiał on czym podszyta jest, czy wręcz na czym stoi cała ta piękna idea, do której się zapalił i którą — na podobieństwo romantycznych śmiazków — pragnął wcielić w życie. Pojął więc, że wszystko to opiera się na sile i przemocy, ludzie zaś, którzy dotychczas tak mu imponowali, to na ogół bezwzględni i ograniczeni wykonawcy, kierujący się żądzą władzy i dominacji nad innymi, osobnicy o ciemnych, występnych instynktach, będący zaprzeczeniem wszelkiego romantyzmu i szlachetnych ideałów. Doświadczenie to, tak drastycznie rozwiewając jego idealistyczne mrzonki, zasiało w nim nieufność do wszelkich abstrakcji, odnoszących się do spraw społecznych. Z czasem nieufność ta przerodziła się w kompletną niewiarę. Stało się to pod wpływem kolejnych wypadków, jakich był już bardziej świadkiem niż uczestnikiem. Oto w politycznym życiu kraju nastąpiły wiadome zmiany: tzw. „odwilż” uwieńczona pamiętnym Październikiem, wstrząsy w hierarchii partyjnej i rządowej, przeobrażenia w codziennym życiu społeczeństwa. Na przeciąg kilku miesięcy zapanowała atmosfera ożywionych dyskusji, odkłamywania i odkupywania niedawnej przeszłości. Wszystko to napawało nadzieją, w ludzi z różnych środowisk i pokoleń wstąpiła nowa wiara i chęć działania. Wydawało się, że nie wszystko jest jeszcze stracone, że ideały nie zostały skompromitowane nieodwracalnie, że można jeszcze wszystko naprawić i pchnąć na nowe, dobre tory. Ta wiara i nadzieja udzieliła się tyleż bohaterowi, co i jego sceptycznemu ojcu. Na fali tego pokrzepiającego ożywienia ich rozchodzące się dotąd nieraz drogi zbiegły się w jedną. Ale euforia nie trwała długo. Bohater uczestnicząc w przełomowych wiecach i masówkach, znów aktywnie obecny wszędzie tam, gdzie żarzyły się ogniska rozruchunkowych dysput, począł zauważać rzeczy napawające go zrazu zdumieniem, a następnie pogłębiającą się nieufnością. Oto najbardziej zajadłymi orędownikami odnowy i naprawy okazali się ludzie, którzy do niedawna byli najbardziej zażartymi fanatykami stalinowskimi. Oto w ferworze radykalnych przemian krzywdzono nieraz niewinnych. Oto rodził się fanatyzm *à rebours*, który coraz częściej wykorzystywany był dla celów określonej polityki władzy. Przypięcętowaniem tego stanu rzeczy było właśnie brutalne rozpędzenie słynnego wiecu studenckiego, zorganizowanego w pierwszą rocznicę Października, jako protest przeciwko zaostrażającym się restrykcjom nowej ekipy rządzącej (m.in. zamknięcie tygodnika *Po prostu*). Bohater, obecny na wiecu, ujrzał nareszcie i

pojął mechanizm totalitarnej propagandy i władzy. Zrozumiał, że władza ta, wbrew temu, co głośli jej hasła, nie tylko nie daje możliwości autentycznego uczestnictwa w kształtowaniu zbiorowości, do jakiej się należy, ale że władza ta dławi po prostu wszelkie przejawy twórczego i niezależnego wkładu, wymagając jedynie ślepego posłuszeństwa i pokornego wykonywania poleceń. W tej sytuacji nie ma miejsca dla ludzi, którzy posiadają prawdziwy, zdrowy temperament organizacyjny lub nawet zwykłe, naturalne poczucie współodpowiedzialności za los społeczeństwa. Ludzie tacy — a w końcu jest ich większość — skazani są albo na nieuchronne wypaczenia, które prędzej czy później staną się ich hańbą, albo na całkowitą klęskę osobistą. W tej sytuacji, jeśli chce się uniknąć wykolejenia, należy zdecydowanie opuścić wyznaczoną przez fałszywe alternatywy płaszczyznę polityczną i oddalić się w rejon konkretnej, wymiernej pracy pozytywnej. Z wszelkich kompromisów, jakie na człowieka czyhają w kontrolowanym przez totalitarną władzę układzie, ten wydaje się jeszcze najniewinniejszy. I takie właśnie wyjście zdaje się widzieć dla siebie bohater *Kto to zrobił?* na końcu pierwszego rozdziału. Skuteczna ucieczka z wiecowego placu, a następnie zwycięski pojedynek z milicjantem są wyrazem jego rozejścia się ze sprawami społeczno-politycznymi. Odtąd będzie zajmował się tylko nauką, a w życiu prywatno-codziennym będzie przekornym ironistą, nie angażującym się w nic chłodnym obserwatorem. Czy uda mu się ten eksperyment? Czy postawa taka wytrzyma ciśnienie rzeczywistości? A jeśli tak, to jak długo? Odpowiedzi na te pytania udziela drugi odcinek *Kto to zrobił?*

Odcinek drugi, czyli pierwsza porażka

Od intensywnych i burzliwych przeżyć z okresu szkoły i studiów minęło trochę lat. Społeczeństwo zastępyło w magmowatej stabilizacji, a bohater — zgodnie ze swym postanowieniem — poszedł drogą ściśle naukową. Trafił do dobrego instytutu badawczego, i czynił w nim szybką, błyskotliwą karierę. Sprawom społeczno-politycznym mało okazywał zainteresowanie, odnosił się do nich — jak niegdyś jego ojciec — z rezerwą (tyle, że nacechowaną kpiarstwem i ironią), nigdy jednak nie przekraczał w tej błazenadzie granicy, poza którą czuwała represyjna machina władzy. Nie uwikłał się także, jak większość jego rówieśników, w rodzinę, wiódł więc życie wolnego i niezależnego ptaka, gdzieś na wąskim marginesie głównego nurtu rzeczywistości. Był przy tym koleżeński i uczynny, toteż cieszył się powszechną sympatią. I tak ciągnęło się to jakiś czas. Czas wypełniony naukową dyscypliną i grą: sterylną, wymierną pracą i niewinnym, przekornym igraniem. Aż wreszcie nadszedł moment, gdy bohater ocknął się nagle z tego osobliwego — bezpiecznego i czystego jakby się zdawało — stanu. Otrzymał mianowicie stypendium naukowe do

Ameryki. Otworzyła się przed nim możliwość i perspektywa nowego, innego życia. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się więc, że nic lepszego nie mogło go spotkać: oto zdolny naukowiec, niepokodzony z rzeczywistością, w jakiej wypadło mu żyć, duszący się w niej na swój sposób i odczuwający, że ogranicza go ona nie tylko pod względem osobistym, ale i naukowym, ma szansę bezbolesnego rozstania się z nią i rozpoczęcia całkiem odmiennego życia, takiego, o jakim zdawał się zawsze marzyć. Przecież nic go nie trzyma, przecież jest właśnie w sile wieku, w najlepszym okresie swego intelektualnego rozwoju. Wyjeżdżając zatem nie tylko wyrwałby się z dławiącej atmosfery powszechnego zakłamania i obłudy, jaka go nękała, wyruszałby także po swoje największe zapewne osiągnięcia naukowe, jakich tu, na miejscu, nigdy by nie dokonał. A jednak sprawa tak prosta i jasna, jak wynika to z przesłanek racjonalnych, nie jest zupełnie oczywista dla bohatera. Oto zamiast ucieszyć się i doznać ulgi, popada on w głębokie, paraliżujące rozterki.

Ich opis to właśnie treść drugiego odcinka. Sytuacja, jaką tu zastajemy, jest następująca: bohater siedzi w swym pokoju i słuchając natarczywych dzwonek telefonu (dzwoni Profesor i Onio ma mu dać ostateczną odpowiedź) rozmyśla nad swym życiem i analizuje wszelkie za i przeciw swego ewentualnego wyjazdu. Różne są przyczyny, dla których uległ wahaniu, jakie przerodziło się w końcu w stan kompletnego odrętwienia. Różne i wielopiętrowe.

Pierwsza z nich, najbardziej powierzchowna — to procedura starania się o paszport. Konieczność wypełnienia dziesiątków kwestionariuszy, uzyskania szeregu podpisów popierających i wyrażających zgodę, wreszcie czasochłonne składanie, dowiadывanie się, jak sprawa idzie, i nerwowe oczekiwanie na ostateczną odpowiedź napawa bohatera wstrętem i paraliżującą niechęcią. Oto musiałby, przynajmniej na jakiś czas, zawiesić swoją grę, i z niezależnego, niepodległego ironisty przedzierzgnąć się w pęta, poddańczo uśmiechniętego, niewolniczo zabiegającego. A czy zawieszenie gry nawet na jakiś czas nie jest formą poddania się, nie jest kompromisem przekreślającym dotychczasową dumną niezależność i czyniącym z niej zaledwie uzurpatorski mit? Czyż zgoda na narzucone warunki nie jest rodzajem kapitulacji? W głowie bohatera powstaje nieznośna wizja swoistego tryumfu oficjalnej zwierzchności, od której pragnął być niezależny. Wyobraża sobie zwycięskie miny osób pełniących urzędowe funkcje, słyszy nietrudne do przewidzenia docinki z ich strony: taki był niezależny i prześmiewczy, a jednak przyszedł wreszcie do nich, a jednak prosi ich o coś! Sytuacja ta może sprawić, że złośliwie odmówią. A wówczas piękące upokorzenie. Oto będzie jednym z wielu, uzależnionym, udreńczonym, pokonanym.

Druga przyczyna wahania jest o wiele głębsza. Wiąże się ona z poczuciem przynależności do określonej sytuacji społecznej i trudno uchwytniej, lecz dojmującej współodpowiedzialności za nią. Bohater niby już dawno wziął rozbrat z aktywnym uczestni-

eniem w kształtowaniu społecznego losu, niby świadomie od tego odszedł, widząc w tym teren zdradliwy i jałowy, teraz jednak, gdy staje w obliczu definitywnego odejścia ze środowiska, w którym wzrastał i dojrzewał, gdy ma opuścić plac, na którym rozgrywał swoją grę, znajduje nagle to posunięcie jako ucieczkę, rejteradę. Znowu widzi się oczami tych, którzy zostaną, i to zarówno tych, z którymi toczył swą osobliwą rozgrywkę, jak i tych, którzy — tak czy owak — byli bliżej niego. Wobec pierwszych czuje się tak, jakby ustępował placu, wobec drugich — jakby ich opuszczał. Wszystkie te odczucia są oczywiście w jakiś sposób absurdałne, stanowią wypadkową fałszywie przyjętej perspektywy, nie mniej — choć Onio zdaje sobie z tego sprawę — są one na tyle silne, że raczej rozsądkowe nie mogą ich przezwyciężyć. Okazuje się, że od chorej sytuacji, w jakiej się żyje, nie sposób się nawet oderwać, tak mocno uwikłuje ona człowieka.

Wreszcie przyczyna trzecia — brak dostatecznej wiary w siebie i ogólna niepewność. Bohater obawia się, czy po tym wszystkim, co przeszedł dotychczas, po tego rodzaju „szkole uczuć” potrafi sprostać tak całkowicie odmiennej sytuacji życiowej. Czy w jego wieku (trzydzięci parę lat) i w takim stanie wewnętrznego ukształtowania może on skutecznie rozpoczynać życie na nowo? Czy poradzi sobie z nową obyczajowością i odmiennymi stosunkami międzyludzkimi? Jak wreszcie wyjdzie mu w takich warunkach praca zawodowa? Czy nie stanie się przypadkiem tak, że nieporadność i nieprzystosowanie całkowicie sparaliżują jego potencjał intelektualny? Czy nie skończy się to wszystko przykrą, upokarzającą kompromitacją? Te rozterki wydają się najsilniejsze. Bohater ma w pamięci różne przypadki osób, które powyjeżdżały na Zachód, a następnie nadawały stamtąd rozpaczliwe komunikaty, świadczące o całkowitej przegranej życiowej. Takiego wariantu boi się najbardziej. Jest to bowiem najgorsza porażka, jaką w ogóle można ponieść — jest to porażka z samym sobą. Tutaj, na miejscu, coś takiego mu nie grozi. Tutaj zna teren, zna warunki gry, wie, jaka jest konkurencja. Tam wszystko jest nieznane, tam nawet on sam jest zagadką.

Telefon uporczywie dzwoni. Onio, spętany sprzecznymi racjami, w kółko — maniakalnie — rozważając całą sprawę, nie podnosi słuchawki. Telefon wreszcie milknie. Dopiero to budzi go z niebezpiecznego letargu. Rodzima rzeczywistość, wcielając się w nagłą ciszę wiosennego wieczoru, przywołuje go do porządku i przywraca zachwiany rozsądek. Chwyta za telefon, oddzwania do Profesora i potwierdza chęć i gotowość wyjazdu.

Uczyniwszy to, nie czuje jednak ulgi. Przeciwnie, czuje jakiś niewysłowny ciężar. Podjęta decyzja, przecinając pasmo drezczących wątpliwości, otworzyła drogę narostemu zmęczeniu. Do głosu dochodzi poczucie samotności i opuszczenia. Świadomość rychłego wyjazdu nastraja melancholijnie: coś się kończy, trzeba zacząć się żegnać. I bohater nie mogąc dłużej wysiedzieć w cichym przyciemnionym mieszkaniu (nie zapalił światła) wychodzi

na przechadzkę po mieście. Ale obraz znajomych ulic, barów, pojazdów wzmaga tylko nastrój przygnębienia i rodzącej się nostalgia. Więc Onio wkracza rytualnie do knajpy na wódkę. Alkohol rozluźniając stan uciążliwej samokontroli pozwala zadomnować sferom podświadomym, te zaś — podstępnie — domagają się od swego nosiciela jakiegoś dowodu siły, dziecinnego potwierdzenia się, dokazania sobie, że jest wciąż młodym i sprawnym. Ta absurdalna potrzeba wciela się w pomysł, by pójść w rejon miasta, gdzie przed wieloma laty skrył się po ucieczce z wiecu, i — dla osobliwego zmysłu kompozycji — powtórzyć „numer”, jaki wówczas wykonał (sprowokować milicjanta faktem ostentacyjnego załatwienia się pod drzewem). Tak się też dzieje. Onio odszukuje pamiętne drzewko i gdy tylko zjawia się patrol, przystępuje do celebracji wiadomej sceny. Niestety finał zdarzenia odmienny jest od tego sprzed kilkunastu lat. Mistrzowski cios nie wychodzi bohaterowi, milicjanci z łatwością pacyfikują jego akcję i z wyraźnym pobłażaniem, zabarwionym szczyptą pogardy zabierają go radiowozem do aresztu.

Na tym odcinek się kończy. Nie trudno jednak domyśleć się dalszego ciągu. Bohater nie dość, że na żadne stypendium nie pojedzie, to jeszcze przesiedzi się w więzieniu, straci swą pozycję w instytucie i znajdzie się na życiowym bezdrożu. Powstaje pytanie, czy taki obrót rzeczy jest wynikiem przypadku, fatalnego zbiegu okoliczności, tzw. „niefartu”, czy też jego przyczyną leżą gdzieś głębiej? Opis przeżyć i rozterek bohatera, oraz przebieg zdarzenia, jakie przedstawione jest w części II-iej *Kto to zrobił?* zdają się przemawiać za tym drugim. To nie przypadek, to nie fałszywy krok zaprowadził Onia w sekretne miejsce jego szczególnych „mszy osobistych”. To nie głupi wybryk go zgubił. Przegrana z milicjantem, sam fakt, że poszedł mierzyć się z nim w chwili, gdy powinien robić wszystko, aby tego rodzaju kontaktów uniknąć, oznacza, że był już wydrążony od środka, że był do wyjazdu niezdolny. Podświadomość, która od początku to czuła (która o tym „wiedziała”) wynalazła tylko w ten sposób odpowiedni pretekst zewnętrzny.

A więc zaprojektowany ileś tam lat temu eksperyment (być z boku, igrać z rzeczywistością, kpić i przedrzeźniać) nie udał się. Przez cały czas dawał niby rezultaty pozytywne (niezależność, energia, humor), jednakże odbywało się to widocznie zarazem jakimś niezauważalnym, a wielkim kosztem duchowym, który powoli, lecz systematycznie nadwątlął psychiczny fundament. Oto w sytuacji próby cała budowla runęła, ujawniając bohaterowi, że cała maskarada, jaką uprawiał, także była formą życia ułatwionego, że była ona wartością bardzo względną: chroniła jedynie jego zewnętrzną powłokę, i to wyłącznie tu, w danym układzie stosunków. W szerszej, pozalokalnej, czy po prostu ludzkiej skali — była zwykłym oszustwem; wobec świata, względem samego siebie. I za to trzeba teraz zapłacić. Jaką cenę? O tym mówią następne odcinki.

Odcinek trzeci, czyli podrygi i upadek

Przewidywane konsekwencje incydentu wieńczącego drugi odcinek okazały się trafne. W odcinku trzecim, którego akcja toczy się w jakieś 2-3 lata później, spotykamy bohatera całkowicie już odmiennego. Z dawnego żartownisia i zdyscyplinowanego pracownika naukowego nie zostało prawie nic. Przed sobą mamy człowieka wykolejonego, rozbitego, zniewolonego przez alkohol. Zastajemy go oto w bramie, gdzie wraz z obdartym przypadkowym pijaczkiem „obciąga błyskawiczną flaszkę”. Kilka słów naracyjnego komentara potwierdza przypuszczenia zrodzone na końcu odcinka drugiego: Onio oczywiście nigdzie nie pojechał, natomiast, jak najbardziej, przesiedział się w kryminale; stracił też oczywiście pracę w instytucie i ze „wschodzącej gwiazdy naukowej” przeistoczył się w „gimnazjalnego nauczyciela bez widoków”. Nastąpiły też inne zmiany — Onio ożenił się. Jednakże małżeństwo to, zrodzone ni to z miłości, ni z solidniejszej potrzeby założenia domu, bardzo szybko okazało się nieporozumieniem. Zawarte w pośpiechu, z jakąś desperacką determinacją, miało w sobie raczej coś z kolejnej rezygnacji i klęski, niż z ducha odradzania się i odbudowywania wewnętrznego. Obecnie, a więc niedługo po ślubie, jest dla Onia ciężarem, kameieniem u szyi. Młoda żona — zupełnie mu obca, pochodząca z innego pokolenia (nie ma z nią wspólnego języka, nie ma o czym z nią mówić). Dom — siedlisko udręki i nudy, miejsce, z którego najchętniej ucieka. Tak właśnie dzieje się w dniu, w jakim toczy się akcja trzeciego odcinka.

Po wielogodzinnym (dziennym?) picu z różnymi, na ogół przypadkowymi kompanami, bohater trafia do starego, o dobrej renomie lokalu, z którym wiązą go rozliczne wspomnienia (do „Kameralnej” na ul. Foksal?). Tam spotyka swego kolegę jeszcze z lat szkolnych, obecnie wysokiego funkcjonariusza Urzędu Bezpieczeństwa. Kolega ten, mimo bardzo określonych poglądów na świat i jednoznacznej postawie (wola szybkiej kariery, chęć przewodzenia i władania) zawsze budził w Oniu przychyłność, a nawet rodzaj sympatii. Brała się ona stąd, że kolega ów nigdy z niczym się nie krył i niczego nie udawał. Był silny, żywotny, wesoły, i z rozmachem realizował swe życiowe plany. Choć może to zabrzmieć jak ponura ironia, ale od człowieka tego — w każdym razie w oczach Onia — zawsze biło coś optymistycznego, jakaś harmonia: oto określony temperament i inteligencja urzeczywistniały się na swoją miarę, oto ktoś spełniał się w życiu zgodnie ze swymi możliwościami i pragnieniami. Ze wszystko to służyło sprawie piekielnej, złej — to już całkiem inna historia. Tutaj chodzi tylko o pewną zewnętrzną, osobowościową estetykę.

Kolega, mimo że minęło wiele lat, prawie wcale się nie zmienił. Pozostał taki, jaki był — prostolinijny, jednoznaczny, rubaszny. W taki też sposób odniósł się do bohatera. Ten zaś,

podkscytowany tym niespodziewanym spotkaniem, w pierwszej chwili pragnie rozegrać z dawnym kolegą jedną ze swych uprawianych do niedawna błazeńskich gier; z czasem jednak, gdy po pierwsze wyczuwa życiową przewagę kolegi, a po drugie orientuje się w rozmiarach władzy, jaką dysponuje, spuszcza nieco z tonu, a wreszcie załęga się w nim idea, by wykorzystać sprzyjający zbieg okoliczności i uzyskać od wpływowego kolegi jakieś poparcie, pomoc. Niestety próby te kończą się żalonym fiaskiem. Kolega dobrodusznie przywołuje go do porządku (jakby chciał powstrzymać go przed poniżeniem się) i płacąc za rachunek rozstaje się z nim z nieprzenikną serdecznością.

Onio zostaje sam pośród szarego, deszczowego świtu. Czuje gorycz upokorzenia, gardzi sobą. W tym stanie rodzi się w nim rozpaczliwa wola zmiany, odnowy. Jeszcze raz — i chyba już ostatni — próbuje poderwać się w sobie. Niewiele jednak widzi dla siebie szans czy form odrodzenia się. Toteż kurczowo czepia się najbardziej elementarnej (i chyba jedynej, jaka mu pozostała): „mieć syna”. Ale już po chwili — gdy tylko uprzytamnia sobie z czego to pragnienie powstało, w jakich okolicznościach się zrodziło — przeraża się tego pomysłu. Zapragnąć dziecka w takiej chwili, na takim dniu fizycznego i moralnego upadku — to nie może zwiastować niczego dobrego, to nie może być przyjazny znak z nieba. Musi to być podszept szatana.

Odcinek czwarty, czyli końcówka i rozkład

Istotnie, Onio nie wydobył się już z wsysającego go bagna własnej, spapranej egzystencji. Co prawda nie wiadomo, jaki konkretny kształt przybrało jego dalsze życie (czy urodził mu się ów syn, czy nie, a jeśli tak, kim się okazał — odkupicielem czy potworem?), bo czwarty odcinek nic już na ten temat nie mówi. Jednakże z jego formy i treści jasno wynika, że cokolwiek się stało, w niczym to już bohaterowi nie pomogło: jak po równi pochyłej stoczył się do samego końca. Czym bowiem jest czwarty odcinek?

Jest on dwustronicowym opisem delirycznego ataku, jaki dopada bohatera w bliżej nieokreślonym pokoju. Bohater (po raz pierwszy nie mówi się o nim po imieniu) najprzód krąży nerwowo po izbie (jego ruch przypomina szamotanie się zwierzęcia w klatce), następnie — nie mogąc dłużej znieść jakichkolwiek doznań wzrokowych — kładzie się na łóżku, zaciska powieki i kuli się w siebie. Ta scena swoistej agonii stanowi zakończenie cyklu. W ostatnim zdaniu padają znamienne słowa: o leżącym, skurczonym bohaterze mówi się jako o „żywym trupie”.

Pora na podsumowanie. Cztery „odstępny” *Kto to zrobił?* to oryginalny pod względem formalnym obraz degradacji człowieka. Obraz ten próbuje uchwycić przyczyny i odmalować mechanizm tego smętnego procesu. Gdy się na niego patrzy, nasuwają się pytania, czy opisany przypadek jest typowy dla współczesnej sytuacji w kraju, czy też szczególny? I gdzie tkwi źródło osta-

tecznego rozkładu bohatera? W systemie? Czy w nim samym? W nadludzkiem doświadczeniu, na jakie został wystawiony? Czy w bardzo ludzkiej słabości charakteru, jaka była jego udziałem?

Pytania te kojarzą się z dyskusją, jaka toczyła się wokół innego dzieła o podobnej problematyce, jakie powstało w tym samym czasie w Polsce, mianowicie wokół *Barw Ochronnych* Zanussiego. Tam przedmiotem sporu była postać docenta Szlestowskiego (kreowanego przez Z. Zapasiewicza). Według niektórych docent ów był przypadkiem patologicznym, wobec czego osłabiał społeczną wymowę filmu. Według innych przeciwnie — stanowił wyraźne oskarżenie określonych uwarunkowań zewnętrznych (oto co w danej sytuacji dzieje się z ludźmi prawdziwie uzdolnionymi; ich walory intelektualne zaczynają służyć złej sprawie; ktoś, kto nie może naturalnie spełnić się na swojej miarę, wyrodnije, staje się potworem).

Bohater Kwarca do pewnego momentu jest do docenta z *Barw Ochronnych* bardzo podobny. Można sobie wyobrazić, że docent zanim nie stał się kompletnym cynikiem i wyrafinowanym, pełnym złej woli, graczem, mógł zachowywać się analogicznie jak Onio z odcinka drugiego. Wydaje się, że do tej chwili wiele ich łączy. Drogi rozchodzą się dopiero później. Jakkolwiek rozejście to jest w istocie pozorne — bo w końcu cóż to za alternatywa: zwyrodnienie czy stoczyć się?

Jak więc widać przyczyny wykołejania się ludzi nie dają sprowadzić się do płaszczyzny wyłącznie psychologicznej. Owszem, ludzie są różni, jedni silniejsi, drudzy słabsi, nie to jednak decyduje o ich ostatecznym ukształtowaniu, o tym, kim się w życiu staną. O tym decyduje klimat społeczny i moralny, w jakim żyją. Bohater Kwarca nie wytrzymał ciśnienia tego klimatu. Wpadł z kolei i stoczył się. Można powiedzieć — jego wina, złą obrał drogę, za łatwo się poddał. I niewątpliwie będzie w tym jakaś prawda. Jeśli jednak pomyśli się, z czego składałoby się jego dalsze życie i kariera, gdyby nie zachwiał się wewnątrz w wiadomej chwili, wówczas odkryje się, że wszelkie drogi, jakie się przed nim otwierały, były złe, wszystkie nacechowane były takim lub owym kompromisem, takim lub owym poddaniem się. Tak więc jego szczególny, tak drastyczny upadek, można tu rozumieć jako jaskrawe uogólnienie pewnej nieuchronności, wobec której stoją w Polsce ludzie o podobnym pokroju, dyspozycjach i wykształceniu.

Rudolf GACKOWSKI

Powieść kanadyjskiej Kaszubki

Pierwszą, a zarazem jedyną, grupą polskich imigrantów, która osiedliła się w Kanadzie zbiorowo, tworząc zwartą jednostkę — to Kaszubi. Ich kanadyjski rodowód sięga 1858 roku. Osiedlili

się oni w prowincji Ontario, w powiecie Renfrew, gdzie otrzymali dla zagospodarowania się niemal dziewicze tereny. Popiesznie dodajmy, że ziemia była podła: jałowa, pełna kamieni. Obszary te były wówczas niemal w całości pokryte gęstymi lasami i tylko skrawki ich można było wykorzystać natychmiast. Nie otrzymali więc ci pierwsi polscy osadnicy urodzajnej ziemi, która mogłaby zapewnić im dobre warunki rozwoju, podniesienie stopy życiowej, rozbudowę gospodarstw. Znaleźli się natomiast w warunkach trudnych, gorszych nawet aniżeli te, w których żyli w kraju. Podjęli jednak ciężką i uporczywą walkę o zabezpieczenie bytu, walkę która trwa po dziś dzień — oczywiście w bardzo zmienionych warunkach.

Kanadyjscy Kaszubi to czwarte, względnie piąte, pokolenie Kanadyjczyków polskiego pochodzenia, są więc bardziej rdzenni od wielu anglo-celtyckich czołowych rodzin a także od innych licznych grup Kanadyjczyków. Powojenni imigranci odnieśli się do nich z szacunkiem należnym pionierom, uważając ich za zasłużonych poprzedników. Stwierdzili z dumą, iż zachowali oni wiele elementów polskości w nowym kraju. Krajobraz powiatu Renfrew — kanadyjskich Kaszub — przypominał Polskę i to chyba było dodatkowym czynnikiem, który przyciągał imigrantów-inteligentów, osiadłych w Ottawie i Toronto. Nabywali więc działki od Kaszubów i wokół jezior pobudowali letnie domki. Powoli cały ten obszar został w swoisty sposób „spolonizowany”. Nie tylko bowiem z roku na rok zwiększała się ilość letnich domków, ale zorganizowano obozy harcerskie, urządzano zloty, zjazdy, konferencje. Barry's Bay stało się niemal letnią stolicą Polonii ottawskiej, torontońskiej a częściowo i montrealskiej oraz centralnym ośrodkiem harcerskim.

Ta polonizacja nie doprowadziła jednak do współżycia i nawiązania stałego kontaktu nowych przybyszów z Kaszubami, mimo wielu podejmowanych w tym celu kroków. Oczywiście spotykano się, letnicy korzystali z usług tubylców — opłacanych należycie, ale poza te granice wykraczali po obu stronach tylko nieliczni.

W relacjach powojennych imigrantów rejonu kaszubskie: Barry's Bay, Wilno, Combermere, Round Lake to sublimat piękna Polski, gdzie zachowały się pewne tradycje narodowe a kanadyjscy Kaszubi są niejako narodowym reliktem, a więc otoczono ich legendą, wyidealizowano. Po prostu przystosowano ich do własnych celów i potrzeb.

I oto ukazała się powieść w języku angielskim, dająca zupełnie inny obraz życia tegoomalże rezerwatu polskości. Autorka jest autentyczną kanadyjską Kaszubką — czwarte pokolenie rodziny imigrantów — urodzoną i wychowaną w tym rejonie. Gail Olsheskie zadebiutowała pod pseudonimem Gail Henley powieścią pt. „Where the Cherries End up”*, która została dobrze przy-

* *Where the Cherries End up* by Gail Henley — wyd. McClelland and Stewart, Toronto, 1978, str. 244.

jęta przez krytykę literacką. Otrzymaliśmy więc pierwszą literacką relację o życiu kanadyjskich Kaszubów, napisaną przez członka tej społeczności. Zbędne jest podkreślać, że nawet najbardziej realistyczna powieść nie jest wiernym obrazem rzeczywistości. Nie wymaga się tego i nie jest to potrzebne; powieść nie jest reportażem ani dziełem naukowym. Autorzy często korzystają dowolnie z realiów, a wielu z nich także z własnych przeżyć, co jednak nie znaczy iż relacjonują je wiernie.

Środowisko kaszubskie w relacji powieściowej Gail Henley jest bardzo biedne, życie w nim ciężkie i smutne. Kaszubi są nie tylko biedni, ale prymitywni. Spotykają się na uroczystościach rodzinnych oraz z okazji świąt, piją wówczas na umór a później biją się i awanturują. Na kanwie życia bohaterki powieści — Geni Luckowskiej — autorka opisuje życie w rejonie Polackville i JasnoGora nie szczędząc żadnych najbardziej drastycznych epizodów, jak np. relacji o wuju, który dobierał się do pięcioletniej dziewczynki. Genia dusi się w tym ponurym środowisku i stara się z niego wydobyć wszelkimi sposobami. Nie jest to łatwe, gdyż i najbliższa rodzina kpi niemiłosiernie z jej wysiłków. Przełamuje jednak kolejno różne przeszkody i wydostaje się z rodzinnego getta do Montrealu, na studia uniwersyteckie.

Nowe środowisko, nowe warunki. Genia nie jest do nich przygotowana ani materialnie ani intelektualnie. Przeżywa romans z kolegą, synem zamożnych Żydów, który kończy się rozejściem, dokładnie zerwaniem ze strony chłopca. Tyle powieści.

Na spotkaniu urządzonym w Toronto przez Stowarzyszenie Techników Polskich 26-letnia autorka przedstawiła tło swojej powieści dowodząc, że jej spojrzenie na środowisko Kaszubów było ostre, ale że nie dała jego karykaturalnego obrazu. Zapewniała iż daleka była od chęci ubliżenia środowisku, do którego ma wiele sentymentu i z którym jest związana poprzez najbliższą rodzinę. Opuściła je wprawdzie, ale tych więzów nie zerwała.

„Where the Cherries End up” nie jest literacką rewelacją, ale świadczy o dużym zmyśle obserwacyjnym autorki, ujawnia łatwość pisania i pozwala liczyć na rozwój talentu pisarskiego Gail Henley, a co za tym idzie na napisanie przez nią dalszych powieści.

Inny kanadyjski Kaszub, nie pisarz ale muzykolog — John Gelfcheskie — omawiając na łamach tygodnika *This Week* powieść Gail Henley w artykule pt. „Spur grapes among the cherries” („Kwaśne grona wśród wiśni”) wskazał, że ludzie z zewnątrz próbowali już nieraz przedstawić środowisko kaszubskie, ale niestety wysiłki ich skończyły się niepowodzeniem. Po prostu nie potrafili tego zrobić i wyniki ich pracy były — jego zdaniem — dalekie od prawdy. Gelfcheskie ma na myśli reportaże i filmy wykonane przez powojennych imigrantów polskich.

A jak ocenia powieść swojej rodaczki?
„Teraz, w 1978 roku, ktoś inny ukazuje naszą społeczność, ktoś kto wyrósł wśród nas a potem odszedł, teraz pokazuje nam nasze oblicze w krzywym zwierciadle. Bo, niestety, wszystkie postacie — poza bohaterką — przedstawione są niemal karykaturalnie. Wszystko jest zniekształcone”. Autorka nie potrafiła dać prawdziwego obrazu swego środowiska. W konkluzji Golfcheskie stwierdza: „Wciąż czekamy na owo prawdziwe odbicie w lustrze”.

Dzisiejsza rzeczywistość na Kaszubach nie jest ani taka smutna ani taka ponura, jak w powieści „Where the Cherries End up”. I tak np. spora ilość młodzieży kaszubskiej, podobnie jak autorka powieści, opuściła strony rodzinne, zdobyła wykształcenie, różne zawody a ci, którzy pozostali żyją na znacznie wyższym stopniu życiowej. Mur dzielący potomków pierwszych imigrantów polskich od ostatnich ciągle jeszcze nie został zburzony, ale powstała w nim poważna wyłomy.

Z wypowiedzi autorki wynika m.in., że spędziła w Polsce kilka miesięcy na kursie uniwersyteckim dla obcojęzycznych słuchaczy, zaznajamiając się z kulturą i historią Polski. Wzbogaciła swoją znajomość języka polskiego, która jednak nadal jest ograniczona. Brat jej studiuje medycynę w Polsce. Te bezpośrednie kontakty kanadyjskich Kaszubów z Polską mają swoją wymowę, ale jak się rozwiną w przyszłości nie sposób przewidzieć.

Benedykt HEYDENKORN

Nadesłane nowości wydawnicze

LITWIN (Aleksander). *Myśli nieujawnione*. Str. 60 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1978; cena F.16).

LISIECKA (Alicja). *Kto jest „księciem poetów”?* Czyli rzecz o Adamie Czerniawskim i innych — z wyborem wierszy Adama Czerniawskiego. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. nakł. Autorów, Londyn, 1979).

LAKS (Szymon). *Gry oświęcimskie*. Str. 107 i 5 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1979).

HENFELD-RON (Ida). *Wczorajsze jutro*. Wiersze z Izraela. Str. 77

i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1979).

SOWIŃSKI (Kazimierz). *Z krańca na krańce*. (Poezje). Str. 78 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1979).

ŻOCHOWSKI (Stanisław). *Brytyjska polityka wobec Polski 1916-1948*; a zwłaszcza w czasie drugiej wojny światowej z Dokumentami, Bibliografią i Indekssem nazwisk. Str. 421 i 3 nlb. (Wyd. nakładem Marii i Stanisława Żochowskich, Brisbane-Londyn, 1979).

BELCH (Stanisław, ks.). *Święty Stanisław biskup i męczennik —*

życiokrótki. Str. 70 i 2 nlb. (Wyd. nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas”, seria Biblioteka *Gazety Niedzielnej*, Londyn, 1979; cena £ 0.75).

W marszu... (jednodniówka). Str. 163 i 1 nlb. (Wyd. Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Koło Nr 19, Boston, Mass., 1978; cena \$ 15).

Śpiewnik robotniczy. Str. 15 i 3 nlb. (Wyd. *Przemiany*, Monachium, 1979).

Uniwersytet Warszawski 1966-1971. Materiały bibliograficzne. Praca zbiorowa wykonana w Oddziale Informacji Naukowej BUW pod redakcją: Jadwigi Krajewskiej, Jolanty Wojciechowskiej przy współpracy Grażyny Ziolkowskiej. Str. 236 i 4 nlb. (Wyd. Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, 1978; cena zł. 46).

BRANDSTAETTER (Roman). *Bar-dzo krótkie opowiesci*. Str. 121 i 3 nlb. (Wyd. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa, 1978; cena zł. 40).

Encyklopedia katolicka: Tom I — A i Ω — Baptyści, str. 1311, wyd. w 1973 r.; tom II — Bar — Centuriones, str. 1423, wyd. w 1976 r. Oba tomy pod redakcją Feliksa Gryglewicza, Romualda Łukaszyka i Zygmunta Sułowskiego. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin; cena tomu I zł. 400, tomu II zł. 400).

ZDYBICKA (Zofia J.). *Człowiek i religia*. Zarys filozofii religii. Str. 355 i 1 nlb. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, seria: Rozprawy Wydziału Filozoficznego — 31, Lublin, 1977; cena zł. 125).

Wkład Polaków do kultury świata. Praca zbiorowa pod redakcją Mieczysława A. Krapca, Piotra Tarasa i Jana Turowskiego. Str. 883 i 1 nlb. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Zakład Duszpasterstwa i Migracji Polonijnej KUL, 101, Lublin, 1976; cena zł. 315).

FILIPIAK (Marian). *Biblia o czło-wieku*. Zarys antropologii biblijnej Starego Testamentu. Str. 292. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, seria: Rozprawy Wydziału Teologiczno-Kanonicznego — 50, Lublin, 1979; cena zł. 195).

KRAPIEC (Mieczysław A.). *Człowiek i prawo naturalne*. Str. 259 i 1 nlb. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, seria: Rozprawy Wydziału Filozoficznego — 29, Lublin, 1975; cena zł. 110).

HRYNIEWICZ (Wacław, OMI). *Rola tradycji i interpretacji teologicznej*. Analiza współczesnych poglądów dogmatyczno-ekumenicznych. Rozprawa habilitacyjna — Wydział Teologiczny KUL. Str. 350. (Wyd. Katolicki Uniwersytet Lubelski, Lublin, 1976; cena zł. 150).

Studia polonijne. Praca zbiorowa pod redakcją Mieczysława A. Krapca, Bolesława Kumora, Piotra Tarasa i Jana Turowskiego. Tom I — str. 332 i 4 nlb., wyd. w 1976 r.; tom II — str. 357 i 3 nlb., wyd. w 1978 r. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin; cena tomu I zł. 125, tomu II zł. 150).

La littérature contemporaine polonaise et le Sacré. Sous la direction: Irena Sławińska, Stefan Sawicki. Str. 179 i 1 nlb. (Wyd. Société des Lettres et des Sciences de l'Université Catholique de Lublin, Institut des Recherches sur la Littérature Religieuse — 7 — Lublin, 1978; cena zł. 98).

WINOWSKA (Maria). *Jean-Paul II tout à tous*. Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. Apostolat des éditions — Editions Paulines, Paris, 1979; cena F. 24).

MASTNY (Wojtech). *Russia's Road to the Cold War. Diplomacy, Warfare, and the Politics of Communism, 1941-1945*. Str. 409 i 1 nlb. (Wyd. Columbia University Press, New York, N.Y. 1979; cena \$ 21,20).

- SOWIŃSKI (Kazimierz). *Mono-grams*. Translated from Polish by Albert Juszcak. Str. 47 i 1 nlb. (Wyd. Sigma Press, Albany, N.Y., 1974).
- WOJTYŁA (Karol, Cardinal). *The Acting Person*. Translated from the Polish by Andrzej Potocki. This definitive text of the work established in collaboration with author by Anna-Teresa Tymieniecka for publication in the Reidel book series *Analecta Husserliana*. Str. 367 i 1 nlb. (Wyd. D. Reidl Publishing Company, Holland — Boston, USA — London, England, 1979; cena \$ 29,50 (egz. oprawny) lub \$ 15,95 (egz. zbroszurowany).
- ROSSE (Martin). *The Warning or The Ambassador's Dream*. A Political Tale of Our Times. Str. 69 i 1 nlb. (Wyd. Vantage Press, New York - Washington - Atlanta - Hollywood, 1979; cena \$ 5,95).
- Ukraine in a changing World*. Papers presented at the Conference. Dedicated to the 30th Anniversary of the Founding of *The Ukrainian Quarterly*. Editor Walter Dushnyk, Ph.D. Str. 291 i 5 nlb. (Wyd. Ukrainian Congress Committee of America, New York, N.Y., 1977; cena \$ 10).
- LEWANDOWSKI (Józef). *Swedish Contribution to the Polish Resistance Movement during World War Two (1939-1942)*. Str. 114 i 2 nlb. Acta Universitatis Upsalensis, Studia Slavica Upsaliana 20. (Wyd. Almqvist and Wiksell International, Stockholm, 1979).
- WEYDENTHAL (Jan B. de). *The Communists of Poland*. An Historical Outline. Str. 217 i 1 nlb. (Wyd. Hoover Institution Press, Stanford University, seria: Histories of Ruling Communist Parties, Stanford, Cal., 1978).
- HEYDENKORN (Benedykt). *The First Polish Umbrella Organization: The Federation of Polish Societies in Canada*. Przekład na angielski Kristina Lopinski. Str. 66 (powielacz). Occasional Papers in Ethnic and Immigration Studies. (Wyd. The Multicultural History Society of Ontario, Toronto, Ont., December 1978).
- PASIEKA (Wołodymyr, dr). *U krutezi szatu*. Str. 282 i 6 nlb. (Wyd. Naukowe Towarystwo im. Szewczenka, Toronto, Ont., Tom XX, 1979).
- DEMUS (Wołodymyra). *Na ludzkich ozerach*. Poezje. Str. 86 i 4 nlb. (Wyd. The New York Group, New York — Chicago, 1977).
- Pamięć*. Istoriceskij sbornik, wypusk 2. Str. 598 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Moskwa 1977 - Paryż 1979).
- WOJNOWICZ (Władimir). *Putim wzaimnoj pieriepiski*. Str. 256 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1979).
- KRUG (Grigorij. Inok). *Mysli ob ikonie*. 30 ilustracji. Str. 167 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1978).
- SOŁŻENICYN (A.). *Skoż czad*. „Bodaśtia tielonok s dubom” otrywok iz Szestogo Dopolnienija. Str. 60 i 4 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1979).
- Mitteilungen* Nr. 15. Str. 232. (Wyd. Arbeits- und Förderungsgemeinschaft der Ukrainischen Wissenschaften e. V. München, 1978).

POD AUSPICJAMI
TOWARZYSTWA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO W PARYŻU
z KOMITETEM WYDAWNICZYM w składzie:

Czesław Miłosz z University of California — Berkeley, Piotr Wandycz z Yale University, Henryk Wereszycki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Jacek Woźniakowski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i Czesław Zgorzelski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego — KSIĘGARNIA „LIBELLA” W PARYŻU, rozpoczęła nową serię wydawnictw pod nazwą ogólną: „HISTORIA I TERAŻNIEJSZOŚĆ”.

Druga książka tej serii (nosząca numer I-szy) ukazała się właśnie w druku. Jest to:

HENRYK WERESZYCKI
„HISTORIA POLITYCZNA POLSKI”
1864-1918

Stron: 336.

Cena F.fr. 60,00 (lub równowartość).

Poprzednio ukazała się książka z tej serii (nosząca numer 2-gi):

ANDRZEJ MICEWSKI
„WSPÓLRZĄDZIĆ CZY NIE KŁAMAĆ”
Pax i Znak w Polsce 1945-1976

Stron: 269.

Cena F.fr. 50,00 (lub równowartość).

Następna książka z tej serii (nosząca numer 3-ci) jest już w druku. Będzie to:

MARCIN KRÓL
„STYLE POLITYCZNEGO MYŚLENIA”

◆
Książki do nabycia we wszystkich polskich księgarniach na Emigracji u Przedstawicieli Pism, lub bezpośrednio u Wydawcy:

„LIBELLA”
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris.
Métro: Pont Marie lub Saint-Paul.
Telefon: 326-51-09.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

15-4-79

Nakładem niezależnego wydawnictwa lubelskiego „Biblioteka Spotkań” ukazała się w nakładzie 1.000 egz. broszura ks. Wł. Bukowińskiego pt. „Wspomnienia kaukaskie”. Znaczna część tej broszury była opublikowana w *Kulturze* (nr 4/350 z 1976 r.).

20-4-79

W przyszłym roku akademickim 300 Nigeryjczyków będzie studiować w Polsce. Koszty mają być opłacane przez rząd nigerski.

29-4-79

W Jugosławii, z powodu trudności benzynowych, wydano zakaz używania samochodów prywatnych przez 6 dni w miesiącu. ■ Na polskim dziesięciotysięczniku n/s „Reymont”, należącym do polsko-chińskiego towarzystwa okrętowego, wybuchł pożar. Dwóch marynarzy zginęło a załoga została ewakuowana na Bornholm.

5-5-79

Na zamówienie Związku Sowieckiego stocznia szczecińska rozpoczęła budowę pierwszego pełnomorskiego statku pasażerskiego. Ma on pływać w okresie Olimpiady w 1980 roku na linii Tallin - Helsinki. ■ Ogłoszono pierwsze wyniki styczniowego powszechnego spisu ludności w Związku Sowieckim. ZSSR liczy obecnie 262,5 mln. mieszkańców (z tego federacja rosyjska 137,5 mln., Ukraina — 49,7 mln., Uzbekistan — 15,3 mln.). Największy procentowo przyrost ludności mają republiki azjatyckie (Tadżykistan — Uzbekistan — Turkmenia — Armenia — Kirgizja) — np. w Uzbekistanie w ciągu ostatnich ośmiu lat ilość ludności powiększyła się o 30 %. 18 miast w ZSSR liczy ponad milion mieszkańców, a wśród nich Moskwa — 8 milionów.

8-5-79

W Warszawie odbył się VI Kongres Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Prezesem Rady Naczelnej został mianowany Piotr Jaroszewicz, a prezesem Zarządu Głównego Stanisław Wroński. ■ W Krasnogrodzie (woj. Zamojskie) powstaje filia Centrum Zdrowia Dziecka. Będzie to kompleks obiektów sanatoryjnych, na które złożą się: sanatorium, liceum ogólnokształcące, plastyczne, muzyczne, młodzieżowy Dom Kultury, zespół internatna na 1.000 miejsc oraz zespół rekreacyjny i rekreacyjno-sportowy. Całość będzie rozmieszczona na obszarze 30 ha. Koszt tej inwestycji ma przekroczyć 600 milionów złotych. ■ Z ostatnich obliczeń wynika, że straty spowodowane powodzią w PRL przekraczają 4,5 miliarda złotych. Są to tzw. szkody bezpośrednie: produkcji rolnej, urządzeń wodno-melioracyjnych i zalanych miast. To obliczenie jest zapewne tylko częściowe. Np. brak danych co do strat, jakie poniosła kolej. ■ Wartość taboru samochodowego w PRL oblicza się na około 250 mld. zł. Roczne straty, spowodowane korozją, wynoszą 10-15 mld. zł. rocznie.

ZACHÓD — EMIGRACJA

20-3-79

Na walnym zebraniu Zjednoczenia Polskiego w Johannesburgu wybrano nowy zarząd: prezes — L. Dutkiewicz, pierwszy wiceprezes — E. de Virion, drugi

wiceprezes — S. Czuba, oraz J. Luterek, J. Czetowicz, D. Nogiec, E. Nogiec, T. Kuzak, i pani Z. Gooch.

11-4-79

Uniwersytet Hebrajski w Jerozolimie wspólnie ze Światową Federacją Żydów Polskich w Izraelu dokonał fotograficznej reedycji „Bibliografii historii Żydów w Polsce i w krajach ościennych” za lata 1900-1930, opracowanej przez Majera Bałabana. ■ Action Chrétienne des Etudiants Russes, znakomicie i wydajnie pracująca pod kierownictwem C. Elczaninowa, podaje w swoim sprawozdaniu, że w I-szym kwartale br. wysłała 9 tysięcy książek do ZSSR, w tym 7.000 książek religijnych, w pierwszym rządzie Biblii; udzieliła również pomocy rodzinom wierzących, będącym w trudnej sytuacji materialnej, w sumie 23.000 franków. W tymże kwartale Action Chrétienne otrzymała F. 102.000 od osób prywatnych i F. 60.000 od różnych czynników kościelnych i Fundacji.

15-4-79

Licząca około 100 osób grupa komunistycznych kontestatorów, skupiona wokół nieregularnego czasopisma *Lutte et Debat*, wystosowała petycję do XXIII zjazdu Komunistycznej Partii Francji, który miał miejsce w maju br. Petycję tę podpisało około 100 osób, w tym p. Parmelin, J. Ellenstein, Spir i Guy Konopnicki. Sygnatariusze petycji szeroko ją rozpowszechniali, nawiązując inne ugrupowania komunistyczne do jej podpisywania i wysyłania na zjazd partii. Najważniejszymi żądaniem tej petycji są: aktywne zaangażowanie się Komunistycznej Partii Francji i pomoc dla KOR-u w Polsce, dla członków Karty 77 w Czechosłowacji i Wolnych Związków Zawodowych, które powstają w tzw. krajach socjalistycznych; spowodowanie aby oddziały zbrojne sił Układu Warszawskiego opuściły Czechosłowację; zerwanie stosunków z Czechosłowacką Partią Komunistyczną; domaganie się rehabilitacji ofiar okresu stalinowskiego.

3-5-79

Na zebraniu Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu ogłosili odczyty: Dr Tadeusz Wyrwa pt. „Duchowy rodowód Konstytucji 3-go Maja, jej spadkobiercy i problemy dnia dzisiejszego”, oraz p. Denise Wrotnowska pt. „Antoine et Ladislas Oleszczyński — artistes de la Grande Emigration”.

13-5-79

W salach Muzeum Polskiego w Rapperswilu odbyła się Międzydyscyplinarna Sesja Popularno-naukowa połączona ze spotkaniem członków i sympatyków Towarzystwa Przyjaciół PUNO, Oddział w Szwajcarii. Referaty wygłosili: prof. Z. Estreicher — „Rola modelu w muzykach tradycyjnych”, prof. J. Stryjeński — „Nowsze zdobycze nauk biologicznych i ich wpływ na architekturę”, prof. J. Mond — „Romantyzm i realizm w polskiej myśli niepodległościowej”.

14-5-79

Prezydent RP Edward Raczyński w Londynie mianował p. Kazimierza Sabata Prezesem Rady Ministrów.

16-5-79

Towarzystwo Opieki nad Polskimi Zabytkami i Grobami Historycznymi we Francji zorganizowało w gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu odczyt Paul Vialar pt. „Les Polonais de mon enfance”. ■ Nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie za rok 1978 otrzymali: Wacław Iwaniuk za całokształt twórczości, Maria Danilewicz-Zielińska za „Szkice o literaturze emigracyjnej”. Nagrody wynoszą po £ 200.00 każda.

18-5-79

W Bibliotece Polskiej w Paryżu Towarzystwo Historyczno-Literackie zorganizowało odczyt prof. dr. Kamila Dziewanowskiego pt. „Pierwsze lata Polski odrodzonej — koncepcje federalistyczne: Litwa, Ukraina, Białoruś”. Zebranie zagał dr Jerzy Mond. ■ W dniach 15-18 maja br. odbyła się w Wenecji Konferencja Międzynarodowego Instytutu „Jacques Maritain” na temat: „Twórczość artystyczna we współczesnym społeczeństwie. Ponieważ dwaj zaproszeni Polacy — Witold Lutosławski i Jacek Woźniakowski — nie mogli wziąć w niej udziału, jedynym polskim uczestnikiem był Konstanty Jeleński. Instytut „Jacques Maritain” ma siedzibę w Rzymie (181 Via dei Coronary, 00186 Roma).

25-27-5-78

W stuletnią rocznicę urodzin Simona Petlury, Prezydenta i Naczelnego Atamana wojsk Ukraińskiej Narodowej Republiki oraz w 53-cią rocznicę zamordowania go w Paryżu przez agenta sowieckiego, na cmentarzu Montparnasse, gdzie został pochowany, miała miejsce uroczysta panachida, a następnie Akademia urządzona przez Ukraińską Bibliotekę im. Petlury i Ukraiński Centralny Komitet Społeczny we Francji. Redakcja *Kultury* złożyła na grobie wiązanek kwiatów.

29-5-79

W Cercle Amical Ouvrier w Paryżu odbył się wieczór poezji w związku z ukazaniem się nowego zbioru poezji Ireny Kanfer pt. „D'autres... et de moi”.

6-6-79

W dniach 5-6 czerwca br. w amfiteatrze Lefebvre, Université Paris I, odbyło się kolokwium „Culture et pouvoir communiste”. Referaty wygłosili m.in. Michał Heller — „La langue russe et soviétique”, Aleksander Smolar — „La Pologne: une autre expérience de la résistance”. W kolokwium m.in. wzięli udział Paul Goma, Eugène Ionesco, Jakub Karpiński, Pierre Kende, Leonid Pliuszcz, Krzysztof Pomian i Pavel Tigrid.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W Miami na Florydzie zmarł Mieczysław Dobija b. dyrektor koncernu wydawnictw *Ilustrowanego Kuryera Codziennego*. Był żonaty ze znaną aktorką Zofią Nakoneczną, która zmarła rok temu. ■ Emeryci amerykańscy w PRL otrzymują obecnie ok. zł 20 za jednego dolara. Kurs ten ma obowiązywać do końca br. W latach następnych ma zostać wprowadzony kurs regularny, według oficjalnego przelicznika tj. 1 dolar = zł. 16. ■ Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce otrzymał dar w wysokości 20.000 dolarów od Ireny i L. A. Kupferwasserów z Chicago. P. Kupferwasser był jednym z założycieli Instytutu. ■ Północno-Amerykańskie Studium Spraw Polskich podaje, że w ostatnim czasie ukazały się następujące książki o tematyce polskiej: Słomczyński, Kazimierz and Tadeusz Krauze, eds., *Class Structure and Social Mobility in Poland*, Chite Plains, New York, M. E. Sharpe, Inc., 1978; Weydenthal, Jan B. de, *The Communists of Poland*, Stanford, Hoover Institution Press, 1978; *Studium News Abstracts*, Vol. III, no. 1 (The Church in Poland after the Election of John Paul II). ■ 8.4.br., w Domu Żołnierza w Nowym Jorku miała miejsce „Manifestacja katyńska” — przemawiali na niej: gen. Jan Krępa — szef sztabu Gwardii Narodowej Stanu New York oraz Andrzej Pomian, b. oficer Komendy Głównej A.K. i znany

działacz polityczny na emigracji. ■ Dr Teresa Sauer-Plewińska została zaliczona do wybitnych kobiet amerykańskich przez wydawnictwo „Marquis Who's Who, Inc.” i wymieniona w publikacji tego wydawnictwa na rok 1979-1980.

KRONIKA FRANCUSKA

25. 4. br. w paryskim Domu Kombatanta odbył się *dîner-débat* (kolacja z dyskusją) poświęcony wyborom europejskim. Organizatorem był Związek Polskich Federalistów przy współpracy Wspólnoty Polsko-Francuskiej. Mówcy: pp. Alfred Coste-Floret, prezes „Demokracji Chrześcijańskiej i Max Richard, dziennikarz. Przewodniczyli: Jerzy Jankowski. Dyskusja, w której wzięli także udział zaproszeni wschodnioeuropejczycy: Ukrainiec (dr Musianowycz), Litwin (p. Venskus) i Rumun (Michel Korne) przeciągnęła się do północy. ■ 29. 4. br. p. Pierre Mauroy, socjalistyczny burmistrz miasta Lille i prezes Rady Regionu Nord - Pas de Calais odsłaniał pomnik ku czci emigracji polskiej. Pomnik ten ufundowała Rada Regionalna na wniosek ambasadora P.R.L. Na odsłonięcie — poza Ambasadorem i mniejszymi osobistościami reżymowymi przybyła także pani Halina Skibniewska, wice-marszałek sejmu P.R.L., która nazajutrz (30 kwietnia) miała dostać w Moskwie order Lenina (obok słynnej Angeli Davis i trzech innych zasłużonych dla Sowietów pań). Wspólnota Polsko-Francuska, pod kierownictwem inż. Janusza Derynga, zorganizowała kontr-akcję. Do p. Mauroy wysłano delegację, która go poinformowała dlaczego organizacje nie-komunistyczne w tej imprezie nie wezmą udziału i prosiła, żeby nikt nie przemawiał w imieniu Polaków we Francji. Wiele osobistości polskich i francuskich — uprzedzonych o charakterze manifestacji — wysłało listy odmawiające uczestnictwa w Komitecie Honorowym. Od wczesnego ranka centralne punkty miasta zostały oklejone ulotkami podpisanymi wspólnie przez Wspólnotę, Kongres Polonii Francuskiej i dwie organizacje kombatantek oraz afiszem: „Zaprzestaniecie prześladowań w Polsce!”. — Prasa regionalna pisała niemal tyle samo na temat uroczystości co i kontr-manifestacji. Podobno w konsulacie P.R.L. w Lille przewiduje się zmiany personalne. ■ 10. 5. br. Przewodniczący Senatowi p. Alain Poher wręczył krzyż kawalerski Ordre National du Mérite Jerzemu Brodzkiemu, skarbnikowi Wspólnoty Polsko-Francuskiej. W swoim przemówieniu p. Poher wspominał o swoich kontaktach z Polską, a zwłaszcza o stażu w kopalni w Sosnowcu (1930-31 r.) jako młody inżynier-górnik. ■ Majowy numer *Revue Parlementaire* zamieścił tekst przemówienia Jerzego Jankowskiego, wygłoszonego na zebraniu publicznym w sprawie wyborów europejskich w Paryżu (1. III. br.) pod tytułem „Les élections européennes et les Européens de l'Est”.

Paryż, 14 maja 1979 r.

J. J.

KRONIKA KANADYJSKA

Prof. Wiktor Szyryński zorganizował szereg odczytów oraz spotkań Ryszardowi Matuszewskiemu. Wywołało to powszechne zdziwienie ze względu na osobę prelegenta. ■ Na posiedzeniu w dniu 29. 3. br. jury Konkursu na pomnik Katyń przyznało pierwszą nagrodę p. Tadeuszowi M. Jankowskiemu. Na konkurs wpłynęło ogółem 38 prac, w tym: 14 z Kanady,

9 z Wielkiej Brytanii, 8 ze Stanów Zjednoczonych, 3 ze Szwecji, 2 z Australii i po jednej z RFN i ze Szwajcarii. Dotychczasowa zbiórka na budowę tego pomnika przyniosła około 16 tysięcy dolarów. ■ 13. 4. br. zmarł w Ottawie, w wieku 63 lat, prof. Konstanty Bida, kierownik Wydziału Sławistycznego University of Ottawa, wykładowca literatury ukraińskiej. ■ Wydział Sławistyczny University of Toronto otrzymał od Polonii trzecią doroczną dotację w wysokości 10 tysięcy dolarów. Złożyły się na nią dary: \$ 5.750 — Fundusz Wieczysty Millenium, \$ 1.250 — Kasa Pożyczkowo-Oszczędnościowa (Credit Union) parafii św. Stanisława i św. Kazimierza, \$ 1.000 — Zarząd Główny Kongresu, \$ 1.000 — Fundacja im. Adama Mickiewicza i \$ 1.000 — p. Ryszard Piątkowski. ■ 16 lutego br. zmarł w Westland k. Toronto, Mirosław Siczynski, który w 1908 roku dokonał zamachu na Namiestnika Małopolski Andrzeja Potockiego. Po ucieczce z więzienia Stanisławowskiego Siczynski zamieszkał w Stanach Zjednoczonych, gdzie związał się z „progresywnymi” kołami emigracji ukraińskiej.

KRONIKA SZWEDZKA

Prof. Stanisław Swianiewicz podczas swojego pobytu w Szwecji w dniach 28. 4. br. - 3. 5. br., z inicjatywy Federacji Uchodźstwa Polskiego w Szwecji, wygłosił dwa odczyty — w Sztokholmie i Västeras — pt. „Niewyjaśnione aspekty sprawy katyńskiej” i „Triumfy i klęski mego pokolenia”. ■ Założone w swoim czasie przez p. Wiesława Patka, przedstawiciela rządu polskiego w Szwecji, towarzystwo szwedzkie wolnej Polski „Pro Polonia”, urządziło z okazji Święta Narodowego 3-go Maja akademię z udziałem wybitnych przedstawicieli społeczeństwa szwedzkiego, bałtyckiego i miejscowej Polonii. Pierwszym prezesem tego towarzystwa był szwedzki laureat literackiej nagrody Nobla, Eyvind Johnsson. Do założycieli towarzystwa należało także dwóch innych laureatów nagrody Nobla — Harry Martinson i prof. Bertil Olin. Wiesław Patek odznaczył w dniu 4 maja Złotym Krzyżem Zasługi kilku czołowych działaczy bałtyckich, zamieszkałych w Szwecji; odznaczenie otrzymali: Litwini — Jorna Lindis, Valentinas Vilkenas, Jonad Pajaulis; Estończycy — Tönis Kint, Heinrich Mark, Endel Krepp, arcybiskup Konrad Veen, Arvo Horn, Johan Kokl i Adelaida Lemberg; Łotysze — Arvid Padelis i Voldemar Ginters. ■ Miesiąc maj był bogaty w polskie wydarzenia kulturalne. Szwedzki Instytut Filmowy kontynuuje wyświetlanie serii filmów Andrzeja Wajdy. W komercyjnym kinie „Puck” miał miejsce tydzień filmów polskich w reżyserii Zanussiego, Wajdy i innych. Wielkie zainteresowanie wywołał film Wajdy „Człowiek z marmuru”. W Domu Kultury w Stockholmie występował w dniach 11-14 maja br. polski teatr Cricot 2 Tadeusza Kantora. Jak podała szwedzka prasa, dyrekcja Domu Kultury już od 4-eh lat czyniła starania, aby sprowadzić do Stockholmu teatr Kantora, wymieniając telegramy i prowadząc rozmowy z „polską biurokracją”, która stała na przeszkodzie tych występów. W dniach 24-26 maja br. polskie Trio Barokowe wystąpiło w Stockholmie z koncertem muzyki barokowej.

N. Ż.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »
TOM 302 — JERZY BARTECKI

GOSPODARKA NA MANOWCACH

Praca zawiera rozdziały: Dorobek 30-lecia; Potencjał i efekty; Erozja systemu planowania i zarządzania; O cenach, płacach, spożyciu, sile kupna i zarobkach; Rolnictwo i gospodarka żywnościowa; Problem mieszkaniowy; Stosunki gospodarcze z zagranicą; Niektóre przyczyny niskiej efektywności; Błędy w sterowaniu gospodarką; Refleksje końcowe.

oraz

Uwagi na Marginesie — Pawła Tenczyńskiego
Str. 80. Cena F. 20,00.

KSIĄŻKI UKRAIŃSKIE W PARYSKIEJ KSIĘGARNI POLSKIEJ

Księgarnia Polska w Paryżu, 123 Bld. St.-Germain,
75006 Paris

wprowadza — w porozumieniu z wydawnictwem ukraińskim P.I.U.F. (3, rue du Sabot, 75006 Paris) dział publikacji ukraińskich w języku francuskim. Dział ten dysponuje obecnie następującymi książkami:

- Valentin Moroz, *Chronique de la résistance* — F. 40.
- Viatcheslav Tchornovil, *Je ne vous demande rien* — F. 36.
- Viatcheslav Tchornovil, *Le malheur d'avoir trop d'esprit* — F. 25.
- *Ethnocide des ukrainiens en URSS* — F. 36.
- *Persécution de l'Eglise en Ukraine* — F. 15.
- i w języku ukraińskim: Israel Kleiner, *Les problèmes nationaux du dernier empire* — F. 45.

Inne tytuły w miarę ich uzyskiwania — będą podawane do wiadomości czytelnikom *Kultury*.

Należy oczekiwać, że inicjatywa ta zostanie życzliwie przyjęta zarówno w ośrodkach polskich i ukraińskich jak i w kołach francuskich interesujących się rozwojem stosunków polsko-ukraińskich oraz sytuacją narodu ukraińskiego.

Humor krajowy

- Jaka jest różnica między kłeską Wrześniową a żywiolową?
— Po Wrześniowej Rząd uciekł...



- Jak to się stało, że mądrzy Żydzi nauczyli Rosjan tak wadliwej doktryny jak marksizm?
— To jasne! Zemścili się za carskie pogromy!



- Co to znaczy jeżeli czterech robotników niesie pijanego milicjanta?
— Władza w rękach Ludu...



- Dlaczego w Polsce klasa robotnicza nie pracuje?
— Bo klasy rządzące nigdy nie pracują...



Na Wybrzeżu mówią, że nasze stocznie produkują statki na eksport a niedostatki na wewnętrzny użytek stoczniowców...



O sekretarzach, aktywistach i dygnitarzach: — Cała bieda, że w gospodarce są niezdolni do niczego, a w polityce zdolni do wszystkiego...

JESZCZE O WYBUCHU W „ROTUNDZIE”

Nowe hasło: PKO Twoim bankiem krwi...

— Jaka jest różnica pomiędzy gazem na Zachodzie a gazem w Polsce?
Na Zachodzie gaz ulatniając się wydaje dźwięk tsssss, a w Polsce — tik-tak, tik-tak, tik-tak...

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Paryż, 14 maja 1979.

Drogi Panie Redaktorze,

W tekście mego listu, dotyczącego udziału policji granatowej w walkach przeciw powstaniu getta warszawskiego (*Kultura* Nr 5/380, maj 1979 r.), błąd drukarski (kropka zamiast dzielnika, oddzielającego oficerów od ogółu szeregowców i podoficerów) zmienił podaną liczbę. Odnosne zdanie (str. 154, wiersz 17 i 18 od dołu) winno brzmieć: „ich przeciętny stan liczebny wynosił każdego dnia 4/363 plus 166 strażaków” itd. (a nie „4.363 plus” etc.).

Łączę mocny uścisk dłoni i najlepsze pozdrowienie,

Michał BORWICZ

Londyn, 25 kwietnia 1979.

Drogi Redaktorze,

Spieszę zaprotestować przeciw szkalowaniu dobrego imienia niedawno zmarłej Izy Landsberger w artykule pt. „Epitafium” w numerze kwietniowym *Kultury*. J. P. Wawrzyńska przytacza urywki z artykułu ks. H. M. Malaka, które brzmią jak telewizyjny serial amerykański, oparty na książce pt. *Roots*, opisującej barbarzyńskie sprowadzanie niewolników murzyńskich do Stanów Zjednoczonych.

Z Izą współpracowałam bardzo blisko w New Yorku i niemal co dzień widywałam ją w „The Polish Women’s Committee”, gdzie pracowała do późna w noc przy wysyłaniu paczek do jeńców wojennych. A gdy już komitet był dobrze zorganizowany, dosyć było rąk do pracy ochotniczej i dość funduszów, Iza przeszła do Amerykańskiego Czerwonego Krzyża i tam dzięki swym talentom organizacyjnym i swym znajomościom wystarała się o wysłanie do kraju lekarstw za setki tysięcy dolarów. Następnie była jedną

z twórców Committee for the Blind of Poland i ściągnęła do tego komitetu paru wybitnych Amerykanów z Mrs. David Challinor, która przez lata była prezeską tegoż komitetu. Po ukończeniu wojny, Amerykanie widząc talenty organizacyjne Izy, zaangażowali ją do IRO — pracowała ona w Egipcie i na terenie Niemiec. Byłam świadkiem gdy po ukończeniu przez nią pracy duże grono Polaków, deportowanych z Polski do Niemiec, a potem sprowadzonych dzięki staraniom Izy do Ameryki urządziło dla niej przyjęcie w New Yorku i wręczyło jej symboliczny złoty klucz do nieba.

A gdy zdarzyło się jakieś nieszczęście czy choroba wśród rodaków w New Yorku Iza była pierwsza, która niosła pomoc i opiekę nie szczędząc ani pomocy finansowej ani przyjacielskiej troskliwości. Toteż gdy sama złożona była śmiertelną chorobą — przyjaciele jej nie opuścili bo wdzięcznym sercem chcieli odplacić to wszystko dobre, co od tej osoby niezwykle czulej na niedolę ludzką otrzymali. Bo taka była Iza Landsberger.

W tymże numerze *Kultury* ukazało się żywo napisane Wspomnienie o Polakach w Argentynie pióra Z. Baua. Chciałam zwrócić uwagę, że min. Mirosław Arciszewski nie zmarł w drodze do kraju dokąd sprowadzał go brat-lekarz; niebawem po jego przyjeździe tenże brat umarł niespodziewanie, a w rocznicę jego zgonu — wdowa popełniła samobójstwo. Znaleźli się wówczas pp. Arciszewscy w tragicznej sytuacji materialnej. Liczni przyjaciele i koledzy z MSZ przyszlizli ze Stanów Zjednoczonych ze stałą miesięczną pomocą tak że finansowo powodziło się ministrowi zupełnie nieźle, a gdy poprosił o specjalny fotel na kółkach, w którym sam mógł się poruszać, i miałam na to zbierać odpowiednie fundusze, przyjechał z południowej Ameryki p. Berenbau i pokrył całkowicie koszty kupna i przesyłki do kraju fotela.

Serdeczne pozdrowienia łączę,

Anieli MIECZYŚLAWSKA

Artykuł p. J. P. Wawrzyńskiej, zamieszczony w kwietniowym numerze „*Kultury* z br. — w dziale polemicznym, spowodował dużo listów do Redakcji, które pokrywają się z listem p. Anieli Mieczysławskiej. Otrzymaliśmy listy od pp. Felicji Krance, Haliny Rodzińskiej i Karin Falenckiej z USA oraz od Tadeusza Smitkowskiego i Tadeusza Staraka ze Szwajcarii.

Cheśmy podkreślić dwie rzeczy: Artykuł p. Wawrzyńskiej dotyczył działalności IRO, a incydentalnie tylko osoby p. Izy Landsberger, gdyż wspomnienia o niej wybiły jej pracę w tej właśnie Instytucji.

Otrzymane listy pochodzą od osób, które łączyły z p. Izą Landsberger-Poznańską bliskie stosunki towarzyskie. Nikt z korespondentów nie należał do tzw. Dipisów, wysyłanych przez IRO do USA, Kanady czy Australii, a jeśli ktoś z nich korzystał z pomocy tej instytucji, to na warunkach raczej uprzywilejowanych. Byłoby dla nas interesujące otrzymanie relacji tych właśnie „prostych ludzi”, którzy byli podopiecznymi IRO. Jest poza tym ciekawe, że artykuł ks. Malaka, wydrukowany dawno temu w nowojorskim *Nowym Dzienniku*, a który p. Mieczysławska scharakteryzowała jako „telewizyjny serial amerykański”, nie wywołał żadnych protestów. — *Redakcja*.

6 maja 1979.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielką satysfakcją odnotowuję fakt, iż szachy coraz częściej pojawiają się na łamach *Kultury*. W tej starożytnej grze dziennikarze znajdują symbo-

liczne skojarzenia ze współczesnością, przy pomocy zamkniętego kwadratu pokazują beznadziejność kolizji politycznych. Niestety, często przy tym wychodzi na jaw brak podstawowej wiedzy szachowej.

Najpierw Brukselczyk w artykule „Aby wygrać, trzeba nienawidzić przeciwnika” (*Kultura* Nr 9, 1978 r.) stworzył całą komedię błędów szachowych, teraz w jego ślady podążył A. Kruczek, co prawda, „kombinacje szachowe” ostatniego są znacznie ograniczone.

Otóż, w 4-tym numerze *Kultury* w artykule „W sowieckiej prasie” A. Kruczek pisze:

„W szachach znany jest termin: pat. Określa się nim sytuację, w której jeden z partnerów, na którego jest kolej w grze, wie że każdy jego ruch pociąga za sobą straty albo matę”.

„Chiny znalazły się w sytuacji pat i wtargnęły do Wietnamu”.

Przytoczone powyżej słowa są przykładem abrakadabry szachowej, niwczą cały sens artykułu. Pat — to antonim Mata. Pat — to niezmiennie *status quo*, Pat — to pokój na szachownicy i remis na tablicy turniejowej.

Z życzeniami pracownikom *Kultury* bardziej uważnego stosunku do pięknej gry.

E. SZTEIN

Komentator Szachowy
Nowego Rosyjskiego Słowa

London, 2 maja 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z ukazaniem się w dziale Zachód-Emigracja wydarzenia miesiąca Nr 3/378 *Kultury* (1979) wzmianki pod tytułem „Zabiegi o Stanowisko Prezydenta” uprzejmie proszę o umieszczenie w *Kulturze* następującego sprostowania: „Nie jest prawdą że sprowadzałem posła Czaję do Londynu, natomiast prawdą jest, że sekretarka posła Czaji poinformowała prof. Jerzego Gawędę o przyjeździe do Londynu, na zaproszenie posłów parlamentu angielskiego, wiceprzewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych Bundestagu, który chciałby będąc w Londynie złożyć kurtuazyjną wizytę Prezydentowi RP na emigracji. Po uzyskaniu zgody Prezydenta Ostrowskiego na przyjęcie posła Czaji, prof. Gawęda zadzwonił do Bundestagu i zawiadomił sekretarkę posła Czaji o dacie i godzinie przyjęcia.

Kurtuazyjnej wizyty posła Czaji, byłego asystenta Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i wiceprzewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych Bundestagu, złożonej Prezydentowi RP na emigracji, nie można oceniać jako wydarzenia szkodliwego dla sprawy polskiej. Kto dąży do ułożenia dobrych stosunków między narodami polskim i niemieckim, nie może negować pożyteczności rozmów między przedstawicielami tych narodów.

Nie jest prawdą, że oskarżałem Skarb Narodowy o nadużycia, natomiast prawdą jest, że gdybym bezpodstawnie oskarżał Skarb Narodowy o nadużycia, to Prezydent Ostrowski nie forsowałby, jak pisze informator, mojej kandydatury na stanowisko Prezydenta.

Łączę wyrazy poważania,

A. URBĄŃSKI

Tilburg, 6 maj 1979.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Na zakończenie trwającego tu w Holandii przez szereg dni „maratonu” w związku z wyświetlaniem głośnego serialu telewizyjnego „Holocaust” wraz z całym repertuarem naświetlań, omówień, reakcji, dyskusji etc., etc. (O ile chodzi o najbardziej nas obrażające „poloniki” to zostały one usunięte z filmu prawdopodobnie w rezultacie bardzo energicznych starań i zabiegów tutejszego Oddziału S.P.K.) redakcja tutejszej rozgłośni telewizyjnej TROS w swej rubryce informacyjnej *Aktua* podała dłuższy wywiad holenderskiego dziennikarza z premierem Izraela Beginem.

W niesłychanie emocjonalnych wypowiedziach na temat różnych aspektów żydowskiej gehenny z ostatniej wojny światowej i na temat antysemityzmu premier Begin przeszedł nagle na polską tematykę słowami, które przytaczam jak mogę najdokładniej:

„... tak samo jak na ziemi niemieckiej, moja stopa nie postanie na ziemi polskiej... owszem Polacy walczyli i mieli ruch oporu, ale na 30 milionów Polaków najwyższej stu pomagało Żydom... duchowieństwo polskie to antysemici... teraz rozumiecie dlaczego obozy Żydów były ulokowane na terenie Polski”. I że on się antysemitami brzydzi...

Zachodzę w głowę, czy *Kultura*, którą chyba nikt na świecie o nawet cień antysemityzmu posądzić nie może, nie mogłaby się zdobyć na jeszcze jeden wielki wysiłek: na znalezienie dróg i sposobów, które by jednak spowodowały bardziej obiektywne i wyważone stanowisko w tej nieszcześnie sprawie kierowniczych kół żydowskich w świecie i w Izraelu. To już nie jest wypowiedź dziennikarza czy małej plówki politycznej, ale przywódcy, kierownika spraw swego narodu!

Już nie mówiąc o szeregu zdolnych publicystów czy historyków polsko-żydowskiego pochodzenia, czy taki np. człowiek dużego kalibru jak S. Wiesenthal nie mógłby być w pewnym sensie „zmobilizowany” do spokojnej, miarodajnej wypowiedzi?

Nota-bene, czy już nie najwyższy czas by dostał on wysokie odznaczenie od naszego rządu emigracyjnego nie tylko za jego ofiarną aktywność, ale i za zawsze bardzo zrównoważone i nie uprzedzone wypowiedzi w sprawach polskich, które śledzę tu czasami w holenderskich środkach przekazu? A może te sugestie to tylko namawianie do przyszłowiego bicia głową o mur? Ja sam, na bardzo pojednawczą i spokojną reakcję na może znany *Kulturze* superbrzydliwy list niejakiego Maxa Fajna w amerykańskim *Newsweek* z 4. 12. 1978 otrzymałem nie tylko odmowę zamieszczenia, ale i stwierdzenie, że: „... *Fajn's letter represented the view of many of our readers*”. A przecież nie można dopuścić do sytuacji, że przy natężeniu podobnych przemyślnych akcji ze strony żydowskiej, przyzwoici, a „skołowani” ludzie przestaną nam ręce podawać!

I na zakończenie jeszcze jedno, trochę po powyższym paradoksalne ale pocieszające: W marcu br. zaproszeni przez naszych żydowskich przyjaciół uprawialiśmy wraz z żoną intensywną, kilkutygodniową turystykę po Izraelu. Mówiliśmy wszędzie swobodnie po polsku ze sobą, co każdego dnia powodowało co najmniej kilka miłych, życzliwych kontaktów, najrozmaitszą informacyjną pomoc, drobne zaproszenia, czy tylko po prostu życzliwe zainteresowanie.

A polszczyzna tych ludzi, choć to już tylko język konieczności, bo hebrajski jest bardzo trudny, jest często zdumiewająco dobra. Nawet ich gazeta po polsku *Kurier Nowiny* (tzw. tam popularnie, *excusez le mot*, „kurwiny”) daje się zupełnie dobrze czytać.

Niemiełych, agresywnych kontaktów w ogóle nie przeżyliśmy, owszem, parę osób miało stare, zadawnione żale o stosunek do nich Polaków, ale raczej filozoficznie wypowiedziane. Szereg osób bardzo żałowało że nie mogą dostać wiz do Polski.

A rośnie nowe, doskonale się przedstawiające pokolenie, które na pewno wspomnień, a i pewnie kompleksów, mieć nie będzie.

Z poważaniem,

Nazwisko znane redakcji

Paryż, 24 maja 1979.

Wielce Drogi i Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Z uwagą przeczytałem Pańską ważką wypowiedź pt. „Nowy Prezydent R.P.” (*Kultura* Nr 5/380). Wydaje mi się, że ten znakomity tekst winien stać się wstępem do rzeczowej dyskusji nad właściwym wykorzystaniem cennego symbolu jakim jest urząd Prezydenta R.P. na wygnaniu. Jest ważne, by Polacy byli odpowiednio reprezentowani na Zachodzie a zwłaszcza na forum zachodnioeuropejskim. Nową szansę w tej dziedzinie daje nam nominacja Edwarda Raczyńskiego, człowieka o międzynarodowym autorytecie. Biorąc udział w posiedzeniach Rady Ruchu Europejskiego, przekonałem się jak wielkim wzięciem i zaufaniem cieszy się E. Raczyński w środowisku europejskich działaczy i polityków. Skądinąd wiem także, że w kraju ludzie bardzo różnych nierzaz orientacji są często zgodni w ocenie E. Raczyńskiego, jako autentycznego i autentycznie bezpartyjnego patrioty. Odnotowuję wreszcie, że i we Francji, drugiej każdego Polaka ojczyźnie, w sferze politycznej sporo kluczowych postaci świetnie wie kim jest E. Raczyński, i z uznaniem wyraża się o jego rozważnej politycznej i zawsze godnym zachowaniu.

Sądzę też, że zgodnie z Pańskim projektem, przy Prezydencie winna powstać Rada. Rada taka winna zapewne być rodzajem polonijnego senatu polskiej kultury i myśli, senatu złożonego nie tylko z wirylistów ale z nominatów: czołowych polonijnych naukowców, pisarzy, działaczy...

Łączę wyrazy szacunku,

Maciej MORAWSKI

Ś. † P.

PAWEŁ ZAREMBA

Historyk, publicysta, redaktor, członek kierownictwa Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, przyjaciel i współpracownik „Kultury” zmarł w Monachium 23 kwietnia 1979 roku w wieku 64 lat.

REDAKCJA „KULTURY”

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt Légal: 2^e Trimestre 1979.

Imprimé en France



KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 19,50	R. 37,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Dakling House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 4,00	\$ A 20,00	\$ A 38,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla-temgasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 160,00	F.B. 900,00	F.B. 1 700,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czekow do adm. „Kultury”	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 17,00	F. 90,00	F. 170,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 8,50	Fl h. 50,00	Fl. h. 90,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362; B. Krauski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowlec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 5,00	\$ Can 26,00	\$ Can. 50,00
NIEMCY : St Mikicluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.	DM 9,00	D.M. 50,00	D.M. 90,00
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kalliskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 17,00	F.S. 95,00	K.S. 180,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tél. 475-8886. Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tél. 871-48-47 Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-8271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, Tel. 886-2128; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski. Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103.	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
POLONIA , Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, tel. (312) 489-2554; R.J. Sas-Babczynski, 776 N. Van Ness Av., apt. 27, Los Angeles, Cal. 90039, tél. (213) 463-1817; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich, 48211	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	£stg. 2,15	£stg. 12,00	£stg. 22,50
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 180; półroczna — F. 95.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

TOM 303 — SERIA „BEZ CENZURY”
STANISŁAW BARAŃCZAK

ETYKA I POETYKA

SZKICE 1970-1978

Str. 272.

Cena F. 65,00.



TOM 304 — SERIA „BEZ CENZURY”
BRONISŁAW KRZYŻANOWSKI

WILEŃSKI MATECZNIK

1939 - 1944

Wspomnienia z Ruchu Oporu na Wileńszczyźnie a przede wszystkim z działalności „Wachlarza” i Armii Krajowej.

Str. 264.

Cena F. 65,00.



TOM 305 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIESTY ÓSMY

Zawiera m.in. prace: Prof. Władysława Kulskiego — *Zachód a Polska od czasów rozbiorowych*; Wiktora Sukiennickiego — *Wojna? — Nie, dialog*; A. Nowak-Przygodzkiego — *Wojskowa Służba Społeczna (Warszawa sierpień-wrzesień 1944)*; Jana T. Grossa — *Okupacja sowiecka i deportacje do Rosji w oczach dzieci*; „Wolność i Niezawisłość” — *Wytyczne ideowe*; Anieli Steinsbergowej — *Ze wspomnień obrońcy: kariera art. 23*; Bronisława Krzyżanowskiego — *Kampania Wrześniowa w oczach D-cy plutonu* oraz bogaty dział RECENZJI i LISTÓW DO REDAKCJI

Str. 240.

Cena F. 40,00.